

TRYPTYK KRYMINALNY

**GUZOWSKA**  
MARTA

**ŹŁA  
MIŁOŚĆ**



WIELKA LITERA

**GUZOWSKA**

MARTA

ZŁA  
MIŁOŚĆ

 WIELKA LITERA

Projekt graficzny okładki  
*Karolina Żelazińska*

Redaktor prowadząca  
*Monika Koch*

Redakcja  
*Karolina Macios*

Korekta  
*Berenika Wilczyńska*  
*Ida Świerkočka*

Copyright © by Marta Guzowska, 2022  
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN 978-83-8032-786-3



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa  
tel:691962519

Odwiedź  
nas na 

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)

## Rozdział 1

Tamtego wieczora Sonia Marchlewska była z wizytą u koleżanek. Tak to sformułowali na stronie internetowej brukowca, a ja zaczęłam się zastanawiać, czy specjalnie zatrudniają ludzi, którzy układają idiotyczne zdania. I jeśli tak, ile ci ludzie zarabiają, bo może powinnam się zainteresować. To na pewno potrafiłabym robić.

W każdym razie Sonia Marchlewska wybrała się do Brwinowa na spotkanie z dawnymi przyjaciółkami z liceum. Wszystkie chodziły do jednej klasy i – co podkreślił brukowiec – nie widziały się od matury.

Już samo to wydało mi się dziwne. Kto normalny spotyka się z koleżankami po dziesięciu latach przerwy? Po co? Żeby porównać zmarszczki? To raczej nie był problem Soni Marchlewskiej – jej chirurg plastyczny na pewno zadbał, żeby nie miała żadnych. Próbowałam sobie wyobrazić cel tego spotkania i jakoś nie potrafiłam.

Nie żeby mnie to obchodziło. Po prostu zabijałam czas. Chciałam doczekać do północy, żeby móc się położyć do łóżka i tam też zabijać czas liczeniem baranów i przewracaniem się na drugi bok. Od kiedy nie było Marcina, sypiałam źle i już się nawet do tego przyzwyczaiłam.

Niewykluczone, że Sonia Marchlewska chciała wkurzyć byle przyjaciółki tym, co osiągnęła w życiu, a było tego całkiem sporo. Kojarzyłam jej nazwisko wyłącznie dlatego, że tak jak ja spędziła dzieciństwo w Brwinowie i chodziła tu do szkoły – telewizor włączamy tylko wtedy, kiedy ojciec schodzi z góry, a on ogląda głównie mecze. Reszta kraju na pewno doskonale wiedziała, kim jest Sonia Marchlewska. Brukowiec podawał szczegóły: jeden serial, drugi serial, trzeci serial, bo ten pierwszy spadł z anteny, dwie komedie romantyczne. Kiedy wyspecjalizowała się już w roli najlepszej przyjaciółki głównej heroiny, przyszedł czwarty serial, tym razem kryminał z ambicjami, i Sonia Marchlewska dostała główną rolę. Jeśli nie tym zamierzała wkurzyć dawne koleżanki, najpewniej księgowe, pracownice w prywatnych firmach i być może nauczycielki, to ja nie wiem niczego o ludziach. A lubię myśleć, że jednak coś tam wiem.

Wiedziałam na przykład, dlaczego na spotkanie wybrały tamten dzień. Następnego zamknęły wszystkie kawiarnie, bary i wszystkie knajpy – wciąż nie wiadomo, na jak długo i czy otworzą przed świętami. Niektórych pewnie w ogóle już nie otworzą, bo padną. Jeśli Sonia Marchlewska i jej koleżanki z liceum miały się spotkać, nie mogły czekać.

Nadal jednak nie rozumiałam, dlaczego nie umówiły się wcześniej. Na przykład w lecie, kiedy można było zająć stolik w ogródku...

No, nieważne. Sonia Marchlewska zobaczyła się z nimi w kawiarni w Brwinowie. Ciekawe, czemu nie zaprosiła ich do żadnego modnego lokalu w stolicy, tylko wróciła na stare śmieci albo, patrząc na to z innej strony, weszła na ich terytorium. Chociaż brukowiec o tym nie pisał, wiedziałam, dokąd poszły. W tej dziurze jest tylko jedno miejsce, gdzie można się napić przyzwoitej kawy w kulturalnych warunkach.

Świadkowie (to znaczy wszyscy, którzy się tam wybrali ostatniego wieczora przed lockdownem) twierdzili, że nieźle się bawiły. Spotkaniu towarzyszyły wybuchy śmiechu. Tak, zdecydowanie mają w tym brukowcu kogoś od konstruowania sztampowych zdań, może nawet cały zespół.

Po tych wybuchach śmiechu okazało się, że kawiarnię w Brwinowie zamykają o dwudziestej. Panie były na to najwyraźniej przygotowane, bo kwadrans przed zadzwoniły do lokalu w Podkowie Leśnej, otwartego normalnie do dwudziestej drugiej, ale w ostatni wieczór przed lockdownem do północy. Dziennikarz z brukowca dotarł nawet do pracownika tej drugiej kawiarni, studenta zatrudnionego na śmieciówce lub na jedną tysięczną etatu, który nie wie, co ma ze sobą zrobić, od kiedy zamknęły uczel-

nie. Dzięki temu dowiedziałam się, że Sonia Marchlewska i jej koleżanki podjechały pod kawiarnię jednym samochodem, jednak odjechały już osobno. Po zamknięciu lokalu gwiazda nie odwoziła ich do domu, skazując je na taksówkę lub – co bardziej prawdopodobne, bo trudno znaleźć taksówkę w tamtej okolicy – na zasuwanie na piechotę. Wsiadła w swoje trzydrzwiowe audi koloru gołębi metallic (brukowce nie oszczędzą człowiekowi żadnych szczegółów) i ruszyła w stronę Warszawy.

Między Podkową Leśną a Pruszkowem przy drodze właściwie niczego nie ma oprócz tego, co normalnie można wypatrzeć przy warszawskiej wylotówce: dużo reklam, kilka sklepów, pałacyk, który jest kopią jakiegoś pałacyku z Łazienek (choć nie na tyle ciekawą, żeby sprawdzić to w Google'u). Był kiedyś supermarket, ale zamknęli, za to otworzyli sklep dla zwierząt. Kupuję tam żarcie dla Loli, bo blisko i zawsze jest miejsce na parkingu. W Helenówku stoi fabryka L'Oreala, kawałek dalej firma ogrodnicza. Poza tym pola, krzaki, drzewa i jeszcze jeden czy dwa sklepy z hydraulicznymi złączkami, basenami ogrodowymi i silnikami do łodzi motorowych, czyli rzeczami, których nie kupuje żaden normalny człowiek. Oraz więcej pól, krzaków i drzew.

Ten student z knajpy w Podkowie Leśnej powiedział dziennikarzowi z brukowca, że kobiety zamówiły tylko po kieliszku prosecco. Tym trudno się upić. Poza tym piły jesienną mieszankę herbat (specjalność lokalu), a jedna z nich (student nie pamiętał która – na pewno nie Sonia) cappuccino. Wszystkie jadły ciasta; Sonia tort bezowy z owocami.

Podniosłam wzrok znad ekranu i spędziłam chwilę na rozważaniach, jak to jest, że niektórzy mogą jeść, co chcą, i nie tyją. Bo o Soni dało się powiedzieć wiele: na przykład to, że była głupią gwiazdeczką z parciem na ekran i wodą sodową zamiast mózgu, ale figurę miała nienaganną.

Otuliłam się mocniej swetrem. Ogrzewanie kosztuje, więc nie włączałam najdłużej, jak się dało. W rogu ekranu migąła reklama pączków. Przełknęłam ślinę i skoncentrowałam się na artykule.

Wynikało z niego, że Sonia wypiła tylko kieliszek słabego alkoholu, do tego rozcieńczony herbatą, na podkład z ciasta. Tak, znam przepisy, jednak chyba jeszcze nie było takiego przypadku, żeby ktoś stracił panowanie nad samochodem po jednym prosecco.

A Sonia Marchlewska, niecały kilometr po tym, jak skręciła w stronę Warszawy i minęła już szrot samochodowy, ale jeszcze przed przedszkolem i stacją benzynową, wpakowała się na drzewo.

## Rozdział 2

Brwinów to obiektywnie bardzo przyjemne miasteczko. Nie tak szykowne jak Podkowa Leśna albo Milanówek, ale też nie tak nieludsko drogie. Nie przypomina ani szarego, zabudowanego blokami Pruskowa z mafijną przeszłością, ani nijakiego Piastowa. Dużo tu starych domów i – co o wiele ważniejsze – starych drzew, na które, przynajmniej na razie, urząd miasta nie rzuca się z piłą. Prawie wszyscy mają ogrody, a osiedle bloków niedaleko stacji, które liczy więcej lat niż ja, zdążyło dorobić się własnego starodrzewia i całkowicie wtopić się w okolicę. Nowe blokowisko położone jest z kolei na tyle daleko, że nikt nie musi go oglądać na co dzień, za to blisko galerii handlowej. No, ale jak ktoś chodzi tam na zakupy, sam jest sobie winien.

Stare budynki, nie tylko te sprzed wojny, ale też z lat siedemdziesiątych, są podniszczone w sposób przyjemny dla oka, jak wygodne kapcie, których nie chce się wymienić na nowe. Co gorsze fragmenty zasłonięte są przez krzaki, tak samo jak większość zachowanych sześcianów mazowieckich, zardzewiałe bramy i zaniedbane podwórka. Od czasu do czasu zdarza się, że ktoś kupuje jedną z przedwojennych willi i pięknie ją odnawia, podczas gdy reszta, jeszcze piękniejsza, powoli obraca się w ruinę. Kiedy chodziłam do szkoły, plotki głosiły, że w jednej czai się ekshibicjonista.

Asfalt na ulicach jest połatany, jednak tu też dotarła cywilizacja i w wielu miejscach położyli progi zwalniające. Kostka Bauma, którą miasto uparło się wyłożyć nowe chodniki, nie wygląda zbyt pięknie, ale i tak wiadomo, że z czasem porośnie brudem i trawą, wtapiając się w krajobraz.

Obiektywnie więc miasteczko jest bardzo przyjemne, a do tego korzystnie położone. Od kilkunastu lat, gdy już wyremontowali przelotówki, do centrum Warszawy za dnia jedzie się niecałą godzinę, a nocą zdarza się i pół godziny. Jest też stacja kolejowa. Pociągi, co prawda, kursują nie za często, jednak jazda do centrum trwa trzydzieści minut, a z pobliskiej Podkowy jeździ wukadka – dłużej, ale za to częściej i taniej.

Pewnie dlatego w ostatnich latach do Brwinowa ściągnęło tyle osób. Na szczęście nie aż tak dużo, jak do okolicznych siół, bo Żółwin czy Nadarzyn wciąż przeżywają eksplozję nowych osiedli, domów i filii Żabki. U nas to wszystko trzymało się jakoś w ryzach. Miasteczko łagodnie przeszło przez transformację ustrojową w latach dziewięćdziesiątych i przez kolejne kryzysy na początku nowego wieku. Wprawdzie już nie każdy napotkany mieszkaniec mówi „dzień dobry” mojemu ojcu, jak wtedy, gdy jako dziecko chodziłam z nim za rękę, ale co trzeci już tak, a Żabki mamy tylko dwie.

Miasteczko z duszą. Żadne anonimowe nowe osiedle. Zawsze było jak zaczarowane. Stanowiło zamknięty krąg, w którym nie może się wydarzyć nic złego, a w każdym razie nic naprawdę złego. Miejsce, gdzie dzieci ciągle jeżdżą rowerami po ulicach, ludzie nadal mają oko na sąsiednie domy i wpadają do siebie na kielicha, a po zakupy chodzi się na piechotę. Jak w pieprzonym amerykańskim filmie.

Nienawidzę go.

Nienawidziłam tego miasteczka już w dzieciństwie, kiedy śmigałam na wrotkach po nierównym asfalcie i wracałam sama ze szkoły, bo nikt nie przyprowadza i nie odprowadza dzieci, którym nie może się przytrafić nic złego. Nienawidziłam, kiedy bawiłam się w piaskowych lejach po wojnie, w których – jak głosiła legenda miejska – ciągle kryły się niewybuchy. Nienawidziłam tych krążących historii: kolega mojego kolegi (nigdy mój kolega!) wrzucił granat do ogniska i urwało mu palec/dłoń/całą rękę. Nienawidziłam mówić na ulicy „dzień dobry” rodzicom moich koleżanek, przewidywalnym jak ruchy planet, których każdego dnia można było spotkać o tej samej godzinie w tym samym miejscu, i „niech będzie pochwalony” siostrze zakonnej z miejscowego oddziału Caritasu.

Uciekałam, kiedy tylko mogłam. Na studiach traktowałam dom rodziców jak sypialnię i zazdrościłam wszystkim, którym przysługiwało miejsce w zapyziałym akademiku na Kicu. A potem złapałam pierw-

szą pracę i poznałam Marcina mieszkającego w kawalerce. Do Brwinowa wpadaliśmy czasem w weekendy, częściej, kiedy urodziła się Miśka, a jeszcze częściej po śmierci matki. Nigdy jednak nie myśleliśmy o przeprowadzce. Przeciwnie, wzięliśmy horrendalny kredyt i kupiliśmy mieszkanie w Warszawie. Wszyscy znajomi, którzy razem z nami przyjeżdżali czasem do Brwinowa na grilla, zachwycali się świeżym powietrzem i zielenią, jednak ja nigdy nie przestałam kochać anonimowych ulic i smrodliwego powietrza stolicy, uchodzącej za najbrzydsze miasto w Polsce.

I było tak pięknie, dopóki wszystkiego nie trafił szlag. Marcin zarabiał dużo i dostawał przelew co miesiąc. Bez niego nie byłam w stanie spłacać kredytu. Sprzedałam mieszkanie i z podkulonym ogonem wróciłam do ojca.

Czy to nie jest upokarzające, kiedy czterdziestolatka znowu musi mieszkać w swoim pokoju z dzieciństwa?

## Rozdział 3

W Warszawie najbardziej kochałam anonimowość. Oczywiście, gdy kupiliśmy mieszkanie, trwało to zaledwie kilka tygodni, zanim przestałam być anonimowa dla kioskarki, faceta z budki z warzywami i nawet – tak mi się przynajmniej wydawało – sprzedawczyni w supermarkecie, ale wiedzieli o mnie tylko tyle, że mam przystojnego męża, wesołą (zanim została ponurą nastolatką) córkę i lubię dojrzałe pomidory.

W Brwinowie najbardziej nienawidzę tego, że wszyscy wszystko o mnie wiedzą. Jak mam na imię i na nazwisko po mężu, kim jest mój ojciec i na której kwaterze na cmentarzu leży matka. Jak nazywa się moja córka, którą, kiedy była mała, ubierałam za cienko (w każdym razie zdaniem miejscowych matron). Jak miał na imię mój mąż, który był bardzo przystojny i który mnie pozostawił „nieutuloną w żalu”. Że wróciłam do ojca, bo nie mam kasy. Że jestem prywatną detektywką i „Sama pani wie, droga pani, że z tego nie da się utrzymać rodziny”...

Co gorsza, ja też wiem wszystko o innych. Jeden sąsiad co wieczór o 00.02 z dokładnością co do minuty (przysięgam, sprawdzałam!) wychodzi przed dom na papierosa – bez względu na porę roku w szlafroku i kapciach. Pali i gada przez telefon. Gdybym wykazała minimum zainteresowania, z łatwością mogłabym się dowiedzieć, czy ma kochankę. Inny sąsiad pięć minut po północy (o tej porze nie ma korków, więc też z dokładnością co do pół minuty) podjeżdża samochodem pod dom i ze zgrzytem otwiera bramę. Wiem nawet, że za trzy minuty zadzwoni sprzedawca pieprzonej fotowoltaiki, który chyba wziął tę fuchę po godzinach, bo zawsze dzwoni o północy – co wieczór, mimo moich prośb, gróźb i zapewnień, że nawet gdybym miała za co (a nie mam), to nic u niego nie kupię. Zresztą, może niepotrzebnie się denerwuję – może to tylko bot.

Znam rozkład życia tego miasteczka równie dobrze, jak ono zna mój.

Najbardziej jednak nienawidzę duchów przeszłości. Przybierają postać ludzi, których kiedyś znałam, z którymi chodziłam do klasy w podstawówce albo w liceum, a także ich braci, sióstr i rodziców. Tylko zamiast mieszkać w mojej pamięci, wylegają na ulice. Moje koleżanki i koledzy wyglądają teraz dokładnie tak, jak kiedyś ich rodzice, a ich rodzice wyglądają jak własne cienie. Najgorsza jest świadomość, jak ja muszę wyglądać w ich oczach.

– Franka? – spytała mnie raz jakaś baba.

Weszłam akurat do punktu telefonii komórkowej, bo karta mi nie działała. Ustawiłam się grzecznie w trzyosobowej kolejce, a ona zaszła mnie od tyłu. Choćby zależało od tego moje życie, nie poznałabym jej. Była wyższa ode mnie i masywna jak ruski czołg. Nie gruba, tylko wielka.

– To ja, Dorota.

Dorota, Dorota... W ataku paniki szperałam w pamięci.

– Siostra Bożeny z twojej klasy. Przychodziłaś się bawić z naszymi kotami, pamiętasz?

Otworzyła mi się klapka w mózgu. Koty. Bożena i jej młodsza siostra mieszkały dwie ulice od nas. Ich sąsiadka hodowała kury i często chodziłam do niej po świeże jajka. Raz przyszedł po mnie ojciec, bo nie wracałam do domu przez dwie godziny. Dzisiaj rodzice pewnie spanikowaliby już po piętnastu minutach. Coś o tym wiem.

– Nic a nic się nie zmieniłaś. Wyglądasz zupełnie jak wtedy, mówię ci.

Przełknęłam ślinę, bo nie byłam w stanie odwzajemnić komplementu. Ciągłe nosiłam ten sam rozmiar dżinsów co na studiach i chociaż przybyło mi zmarszczek i niechętnie pokazywałam na plaży brzuch po cesarce, nie było najgorzej. Przyszło mi do głowy, że gdybym została w tym cholernym miasteczku, wyglądałabym teraz jak Dorota: kilka rozmiarów większa niż kiedyś i wyraźnie bez nadziei na poprawę sytuacji.



– Podobno sprowadziłaś się do nas z powrotem?

A nie mówiłam? Wszyscy. Wszystko. Wiedzą.

Pokiwałam głową.

– No i super. Zawsze uważałam, że to musi być okropnie mieszkać w Warszawie.

– Nie było tak źle – odparłam.

Zamilkła na krótką, błogosławioną chwilę, a potem powiedziała:

– Wiesz, bardzo mi przykro z powodu twojego męża.

Na to już nie znalazłam odpowiedzi.

Postaliśmy tak sekundę czy dwie. Zastanawiałam się, ile ich musi upłynąć, żebym mogła już powiedzieć, że się spieszę, i wyjść z kolejki. Z dwojga złego wolałam mieć telefon, który wyłączał się w środku każdej rozmowy.

– Słuchaj, czego ty właściwie potrzebujesz? Załatwię ci bez kolejki. – Poklepała się po plakietce z nazwą firmy telekomunikacyjnej na obfitej piersi. Na identyfikatorze było też napisane: „kierownik punktu usługowego”. – Zawsze dbamy o klienta, nie?

Puściła do mnie oko.

– Nie chcę ci zawracać głowy.

– No coś ty! Mów, dziewczyno, mów!

Mogłam się odwrócić i uciec albo powiedzieć. Wybrałam to drugie. Dorota pogrzebała w szufladzie na zapleczu, wymieniła mi kartę, przerejestrowała numer telefonu i chciała jeszcze dać na raty nowy aparat, ale udało mi się ją powstrzymać.

– A wiesz, że myśmy tu o tobie rozmawiały nie dalej niż wczoraj? Z Mariolą.

Cholera, teraz jakaś Mariola!

– Powiedziała, że podobno jesteś prywatną detektywką. Rozwody i takie tam?

– Nie tylko. – Naprawdę nie miałam siły jej tego tłumaczyć.

– A wiesz, że ona tu pracuje? W punkcie firmy ubezpieczeniowej. Chodź, wpadniemy do niej. Na pewno się ucieszy.

– Muszę wrócić do domu, zrobić obiad... – próbowałam się bronić, ale słabo mi szło.

– No chodź, tylko na chwilę. Po co wracać na stare śmieci, jak się nie spotyka starych znajomych? Ale mi się powiedziało, nie?

I pociągnęła mnie za łokieć.

Tak wyglądało moje życie. Co chwila ktoś mnie rozpoznawał, cieszył się na mój widok, składał kondolencje, pytał o ojca, o dzieci, kiedy się umówimy na wódkę.

Zastanawiałam się, czy nie nosić tej pandemicznej maseczki dzień i noc. Wszyscy to olewali, jednak istniała szansa – mała, ale zawsze – że w maseczce nikt mnie nie rozpozna.

Zostawiłam Marioli (której też bym nie rozpoznała, nawet gdyby ktoś mi przystawił pistolet do głowy) swoją wizytówkę. Nie żebym na coś liczyła – najwyraźniej w tym miasteczku wszyscy sami rozwiązują swoje problemy, ale kilka dni później zadzwoniła do mnie wieczorem. Akurat robiłam to, co zawsze: na zmianę przeglądałam internet i wpatrywałam się w ciemność za oknem.

– Nie przeszkadzam? Masz teraz chwilę?

Już chciałam powiedzieć, że niestety nie mam ani jednej wolnej sekundy, ale ugryzłam się w język.

– Franka, bierzesz czasem zlecenia od firm ubezpieczeniowych?

Naprawdę nie miałam kasy. Byłam gotowa powiedzieć, że robię prace nawet dla firm wodociągowych.

– Zależy jakie.

– Ale ty masz, oczywiście, licencję?

– Oczywiście.

– Taka prościutka robota nam się trafiła. I nieźle płatna. Potrzebujemy niezależnego opisu miejsca wypadku samochodowego. I to na szybko, domykamy okres finansowy.

Przełknęłam ślinę.

Od ponad roku robiłam wszystko, żeby nie dopuszczać wypadków samochodowych do swojej świadomości. Jakichkolwiek wypadków. Tyle że Mariola powiedziała „nieźle płatna”.

– A to nie policja pisze takie raporty? – spytałam.

– Potrzebne nam są dwa, niezależne. Ale ty na pewno jesteś bardzo zajęta.

Owszem, bardzo. Siedzeniem i martwieniem się. Byłam też zajęta klóceniem się z ojcem, z córką i myśleniem o Marcinie...

– Mogę znaleźć trochę czasu.

– Naprawdę?

Miałam sporządzić krótki opis miejsca, w którym doszło do wypadku Soni Marchlewskiej: sytuacja drogowa, podstawowe pomiary. Już wcześniej zajmowałam się takimi rzeczami.

Dlatego właśnie siedziałam o północy i przeglądałam internet. Robiłam wszystko, żeby tylko nie widzieć tego zakrętu na drodze. Bo dokładnie tam rok wcześniej zginął w wypadku samochodowym mój mąż.

## Rozdział 4

Było późno, było mi zimno i byłam już tym wszystkim cholernie zmęczona. Bezsilność i źle przesypiane noce, i jeszcze to czytanie o wypadku, który wydarzył się na tej samej drodze co wypadek mojego męża... A najbardziej męczyła mnie myśl, że będę musiała tam pojechać. Dlaczego ja się zgodziłam na tę robotę?!

Bo nie miałam forsy. W czasie pandemii nikt nie potrzebuje usług prywatnych detektywów. Wszyscy siedzą w domach, nikt nie melduje się z kochanką w hotelu, nie wyjeżdża w wymyśloną delegację ani nie wymienia pozamałżeńskich pocałunków w ciemnym zaułku. Teraz można się zdradzać tylko na Zoomie, a co to za zdrada, do cholery?

Zdrady małżeńskie stanowiły dziewięćdziesiąt dziewięć procent moich dochodów. Ludzie przestali się zdradzać, a ja muszę wyżywić nastolatkę, ojca staruszka (z jego minimalną emeryturą) i psa – kolejność dowolna. Muszę kupować jedzenie, płacić za wodę i prąd, komputery, nowe adidas i cholernie drogie leki, na które znieśli refundację. Muszę płacić za to wszystko sama, bo ten cholerny palant dał się zabić w wypadku na pustej drodze!

Głęboki wdech, głęboki wydech. Płacz nic nie pomoże. Wiem, bo już swoje wyplakałam.

O tej porze powinnam być w łóżku z książką i Lolą. Po sesji przy komputerze moje szanse na zaśnięcie były jeszcze mniejsze. Podobno ekran komputera emituje specjalne światło, niebieskie czy inne, które pobudza coś tam w mózgu i nie pozwala spać.

Tak, powinnam już leżeć, a tym bardziej powinna Michalina. Nastolatki muszą się wysypiać. Nie mogą siedzieć całymi dniami i nocami przed komputerem. W ogóle nie mogą tyle siedzieć – powinny wychodzić i ruszać się na świeżym powietrzu, spotykać się z przyjaciółmi, jarać szlugi za murem szkoły i chichotać z niezdarnych chłopaków, którym jeszcze nie sypnął się zarost.

Tylko że wszystko to poszło się gonić. Świat stanął na głowie, a nastolatki oberwały najmocniej. Chociaż był dzień powszedni, 23.45, a Michalina miała prawie szesnaście lat, w jej pokoju ciągle świeciło się światło. W domu było tak cicho, że słyszałam stukot klawiatury. Postąpiłam chwilę pod jej drzwiami, a potem odeszłam.

Zdalna szkoła zaczynała się o ósmej – wystarczyło obudzić Miśkę kwadrans przed, albo nawet i za dziesięć, więc pozwoliłam jej jeszcze pograć w te idiotyczne gry o świecie tak prostym i przewidywalnym, że niedługo będzie się śnił po nocach.

Lola pochrapywała cicho w koszyku pod biurkiem. Tego psa nie obudziłaby nawet wojna. Marcin mówił, że jak go weźmiemy, obroni nas przed ewentualnym włamywaczem. Naprawdę nie wiem, skąd wziął ten absurdalny pomysł...

Odgoniłam tę myśl, bo bolała. Pochyliłam się, poklepałam Lolę po głowie (podobno psy tego nie lubią, ale ona nawet nie drgnęła) i wyprostowałam się. Strzyknęło mi w kolanie. To z tego cholernego zimna. Muszę zacząć grać. Muszę zacząć palić forszą, której nie mam.

Uznałam, że szybciej zasnę, jeśli zrobię sobie gorącą kąpiel i herbatę. Postawię kubek obok wanny, będę leżała, aż woda ostygnie, a potem powiem Miśce, żeby poszła już spać.

Ruszyłam w stronę łazienki i wtedy zadzwonił telefon.

Spojrzałam na wyświetlacz komórki. Cztery zera.

Siedzę w domu z ojcem i córką, poza nimi nie mam krewnych ani bliskich przyjaciół. Nie mam nawet męża, a facet (albo bot) od fotowoltaiki już dzwonił tego wieczora. Szansa na to, że ktoś właśnie próbuje zawiadomić mnie o czymś wypadku lub śmierci, jest równie mała, jak ta, że jutro wygram na loterii i skończą się moje kłopoty finansowe.

Telefon odezwał się jeszcze dwa razy i umilkł. A potem znowu się rozdzwonił.

Usłyszałam szuranie krzesła w pokoju Miśki.

Podeszłam do biurka i nacisnęłam zieloną słuchawkę.

– Franka Kruk – warknęłam.

Już od dawna nie mówiłam przy odbieraniu: „Prywatna firma detektywistyczna. W czym mogę pomóc?”. Nie chciało mi się. Ludzie, którzy do mnie dzwonili, zazwyczaj wiedzieli, po co to robią, a tym, którzy wybrali numer przez pomyłkę, i tak było wszystko jedno.

Moi klienci nie zachowują się według jednego wzorca. Niektórzy długo milczą, zanim w ogóle się odezwą (ważne: nie rozłączać się, pozwolić im milczeć, ile chcą), inni najpierw dopytują o moje kwalifikacje (proszę bardzo, chętnie opowiem) albo przechodzą od razu do cennika.

Jednak dotąd żaden klient nie dzwonił o północy. I nie zaczął rozmowy jak ten facet.

– Ja jej nie zabiłem – powiedział.

## Rozdział 5

Znałam ten głos.

– To dobrze – wybąkałam w odpowiedzi, bo tylko to przyszło mi do głowy.

– Przysięgam, że tego nie zrobiłem. Słyszysz mnie, Franko?

Przeszedł mnie dreszcz. Taki przenikający, od palców stóp po czubek głowy.

Oparłam się o ścianę, która była lodowata jak wszystko w tym pieprzonym domu.

– Wiem, że nie widzieliśmy się całe wieki... – dodał po chwili.

– To prawda – powiedziałam powoli. – Rzeczywiście nie widzieliśmy się całe wieki, a teraz dzwonisz do mnie o północy...

– Co? Ja... Przepraszam, nie zorientowałem się, że już tak późno.

Bo żyjemy w średniowieczu i jedyny dostępny zegar jest na miejskiej wieży, a nie w komórce w kieszeni.

Milczałam.

– Proszę... pomóż mi.

Wzięłam głęboki wdech.

– Czy ty się słyszysz? Dzwonisz do mnie zniemacka, po nocy, mówisz, że nikogo nie zabiłeś, co w sumie jest dobrą wiadomością, i prosisz o pomoc. Masz kłopot z głową?

Nie oczekiwałam, że się roześmieje.

– Zawsze taka sama, Franka Różycka. Nic się nie zmieniłaś.

– Nie możesz tego wiedzieć. Nie widzieliśmy się dwadzieścia lat. Teraz nazywam się Kruk. Fajnie było cię usłyszeć, ale jestem trochę zmęczona. Miałam ciężki dzień. – I to nie jeden. Właściwie nie miałam już lekkich. – Dobranoc, Łukasz.

– Franko, zaczekaj!

Zawiesiłam w powietrzu palec, którym zamierzałam dotknąć czerwonej słuchawki.

– Przepraszam... – Usłyszałam, jak wciąż powietrze, jakby szykował się do nurkowania. – Masz rację. To, co powiedziałem do tej pory, jest bez sensu. Przepraszam, jeśli cię obudziłem. Mogę zadzwonić rano...

– Nie obudziłeś mnie.

– W takim razie posłuchaj mnie przez chwilę, proszę.

Myslałam o wannie. Rachunki za wodę były równie wysokie jak za ogrzewanie.

– Ja jej nie zabiłem – powtórzył.

– Wspominałeś – westchnęłam. – Ale nadal nie wiem kogo.

– Tak, ja... Rzeczywiście powinienem opowiedzieć po kolei.

Doskonały pomysł.

– Policja przyszła dzisiaj z samego rana z nakazem przeszukania. Na szczęście pozwolili mi zadzwonić do adwokata i jakoś mnie wybronił od aresztowania. Mam zakaz opuszczania miejsca zamieszkania i tak dalej.

– Aha.

– Ale przysięgam, że jej nie zabiłem.

Nie chciało mi się nawet pytać, o co mu właściwie chodzi. Wpatrywałam się w czerń za oknem. Od strony ogrodu nie rozpraszało jej światło z ulicy. Była gęsta i nieprzenikniona, ukrywała wszystko.

Kiedy znowu się odezwał, drgnęłam i telefon omal nie wypadł mi z ręki.

– Nie widzieliśmy się od dwudziestu lat, nawet ze sobą nie rozmawialiśmy, ale od razu poznałaś mnie po głosie, prawda? – dodał ciepło. – Nawet nie wiesz, jak mnie to cieszy.

Poznałabym go nawet w piekle, Łukasza Wolskiego, moją wielką miłość z czasów młodości, kiedy człowiek jest jeszcze naiwny i głupi i wydaje mu się, że uczucie z liceum przetrwa wieki.

– Ty też się nie zmieniłeś. Nadal masz o sobie bardzo wysokie mniemanie.

– Przepraszam, Franko. Normalnie nie prowadzę w ten sposób rozmowy z kobietą, którą... – Odechnął głęboko. – Musisz mi wybaczyć, usprawiedliwiają mnie okoliczności. Chodzi o moją żonę, Sonię Marchlewską. Nie zabiłem jej.

## Rozdział 6

W ciszy, która zapadła po tych słowach, nasłuchiwałam odgłosów z pokoju Michaliny. Nie słyszałam nic, nawet klekotania myszki. Położyła się spać? Sama z siebie, bez mojego gadania? Do tego pewnie znowu nie umyła zębów...

– Słyszysz mnie?

– Doskonale.

Próbowałam zebrać myśli.

– Nie wiedziałam, że Sonia była twoją żoną – powiedziałam w końcu.

– Nie czytasz tabloidów? – Zaśmiał się. – Ani Pudelka?

– Miałam ostatnio własne problemy.

Spowaźniał.

– Wiem, słyszałem. Strasznie mi przykro.

Od śmierci Marcina minął już rok, a ja ciągle nie wiedziałam, jak odpowiadać na wyrazy współczucia.

– Myślałam, że nikt nie zabił twojej żony. Gazety piszą, że zginęła w wypadku.

A konkretnie plotkarskie portale, ale teraz to przecież wszystko jedno, prawda?

– To skomplikowane. Czy moglibyśmy się spotkać?

– Jest po północy.

– Tak, tak. – Prawie usłyszałam, jak pociera ręką czoło. – A jutro? To znaczy... już dzisiaj. Mógłbym przyjechać rano.

– Czego ty ode mnie oczekujesz? – przerwałam mu. – Sam przed chwilą powiedziałeś, że masz adwokata.

Milczał przez moment, zupełnie jakby rozważał moje słowa, chociaż mogłam się założyć o sumę potrzebną na ogrzanie tej rudery przez całą zimę, że tak nie było.

– Czy mogę do ciebie rano przyjechać? – powtórzył.

– Wolałabym...

– Franko, ja naprawdę potrzebuję twojej pomocy. Wyjaśnię ci wszystko, dobrze?

Westchnęłam.

– Zapraszam na dziewiątą. Parkowa...

– Myślisz, że zapomniałem adres?

– Ciągle pijasz kawę? – rzuciłam w odpowiedzi i rozłączyłam się.

Znowu popatrzyłam za okno. Zrobiło się jeszcze ciemniej. Miałam wrażenie, że czarna dziura wsysa mnie do swojego wnętrza. Zdaje się, że tak to właśnie działa – wsysa wszystko i już nie wypuszcza. Chyba chodzi o grawitację, albo coś. Nigdy nie byłam mocna z fizyki, ale przecież na tym nie musiałam się znać. Od jakiegoś czasu żyłam w swojej prywatnej czarnej dziurze. I już nawet się w niej urządziłam.

## Rozdział 7

Zaskrzypiały schody. Cały ten cholerny dom skrzypi albo rozpada się przy dotknięciu. Wszystko jest stare, wymaga napraw, przyciąga kurz. Czasem bawię się myślą, że ubezpieczam tę rudę, a potem podkładam ogień. Powstrzymuje mnie tylko wiedza na temat nowych technik śledztwa w sprawie pożaru. Strażacy zorientowaliby się raz-dwa.

Znów schodek. Dolny stopień, w którym trzeba wymienić deskę, zanim ktoś złamie sobie nogę. Czy to nie chore, że poznaję po dźwięku, co skrzypi? Potem zatrzeszczała podłoga w salonie. Odwróciłam się od okna.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz, tato?

– Dlaczego jeszcze nie śpisz, córeczko?

Nie był aż tak stary i na pewno nie miał alzheimera, czyli po prostu mnie przedrzeźniał.

– Obudził mnie telefon – dodał. – Znowu fotowoltaika?

– Tym razem nie. To był Łukasz Wolski – odpo-wiedziałam po prostu, bo nie chciało mi się klócić. – Pamiętasz go?

– Łukasz Wolski, czekaj, czekaj, skąd ja znam... – Wreszcie sobie przypomniał. – Łukasz Wolski? Naprawdę?

Wzruszyłam ramionami.

– Czego od ciebie chciał?

Westchnęłam.

– Nie wiem dokładnie. Potrzebuje pomocy z jakąś sprawą.

Środek nocy to nie najlepsza pora, żeby rozwijać przed ojcem wątek małżeństwa Łukasza z gwiazdą polskiego ekranu i podejrzenia o morderstwo.

– Nie mógł poczekać do rana? Nie wie, że dobrze wychowani ludzie nie dzwonią po dwudziestej drugiej?

Mój własny ojciec, dżentelmen w każdym calu. Szkoda tylko, że nie dostaje większej emerytury. Wtedy jego córka mogłaby być prawdziwą damą i nie odbierać telefonów w środku nocy.

– Idź się położyć, tato – powiedziałam tylko. – Już bardzo późno.

Nie odpowiedział. Chrząknął tak, jak chrząkają starzy mężczyźni, podszedł do szafki i wyjął szklankę. Lola, której nie budzi wystrzał z armaty, ale najdelikatniejsze stuknięcie porcelany w kuchni już tak, momentalnie się przy nim zmaterializowała. Ojciec poklepał ją i nalał sobie wody z kranu. Na schodach jeszcze się odwrócił i spojrzał na mnie. Wolałabym, żeby trzymał się poręczy i patrzył pod nogi.

– Śpij dobrze, córeczko.

– Ty też, tato.

Pokonał dwa schodki i znowu się zatrzymał.

– Musimy porozmawiać o Michasi – dodał.

– O Miśce?

Zawsze miała dobrą relację z dziadkiem, lepszą niż ze mną.

Ojciec pokiwał głową.

– Jutro – odparłam. – Teraz idź już spać.

I ruszył na górę, noga za nogą, a ja zostałam sama, z tą całą ciemnością za oknem.

Lola patrzyła na mnie, ogon rytmicznie stukał o deski podłogi: puk, puk, puk. To był jedyny dźwięk w całym domu.



– Wpół do pierwszej to taka sama dobra pora na jedzenie jak każda inna, co, Lolita? Daj spokój, przecież wiesz, że nic ci nie dam.

„Kocham cię”, mówiło jej spojrzenie. Puk, puk, puk, mówił ogon.

– Chodź, dziewczyno, przewietrzmy się trochę przed snem.

Zgarnęłam z wieszaka kurtkę i czapkę. Lola wiała się pod drzwiami w ekstatycznym tańcu.

Uznałam, że nie będę zmieniać butów, bo domowe crocsy wystarczą do ogrodu. Nie wiem, po co się szukałam. Przecież w kieszeni mojej kurtki podzwaniały cichutko kluczyki od samochodu.

## Rozdział 8

Wiał wiatr, mżyło i było czarno, już nawet nie jak w czarnej dziurze, ale jak w czarnej dupie. Nawet Lola cofnęła się pod drzwi.

Wpakowałam ją do samochodu, żeby nie musieć zamykać za sobą bramy. O tej porze nie zawracałam sobie głowy maseczką – podwarszawscy policjanci przewracali się pewnie na drugi bok. Wyjechałam na Parkową, potem skręciłam w prawo. Sygnalizacja była wyłączona, migąło tylko żółte światło.

To był błąd. Błędem było już wyjście z domu. Wszystko wróciło do mnie w ułamku sekundy.

Telefon o wypadku Marcina też dostałam w środku nocy. Też jechałam sama. Też skręciłam w tę samą przecznice.

Nacisnęłam gwałtownie hamulec. Autem szarpnęło. Lola spadła w przerwę między fotelami i popatrzyła na mnie z wyrzutem, a potem wdrapała się z powrotem. Mokre od potu dłonie ślizgały mi się na kierownicy, chociaż wewnątrz samochodu było zimne jak trumna.

Niepotrzebnie wzięłam to zlecenie z firmy ubezpieczeniowej. Niepotrzebnie rozmawiałam z Łukaszem i umówiłam się z nim na jutro, zamiast grzecznie się pożegnać i wyłączyć telefon. Od jakiegoś czasu popełniałam same błędy.

Ukryłam twarz w dłoniach.

Z tylnego siedzenia słyszałam cichutkie sapanie Loli. Musiałam wziąć się w garść. Musiałam zarobić na dom i dziecko, nawet na tego psa, który rozumiał tylko komendy: „Siad” i „Chodź, mam coś dobrego”. Nie mogłam tak dalek żyć, kurczowo trzymając się przeszłości.

Problem w tym, że przeszłość kurczowo trzymała się mnie.

Zwolniłam hamulec, wrzuciłam bieg i powolutku ruszyłam. Skręciłam w jeszcze jedną małą uliczkę, potem w kolejną i wyjechałam na trasę w Warszawy do Grodziska.

Na przelotówce wiatr szarpał autem i było ślisko od mżawki, ale nie aż tak, żeby nie dało się zapanować nad samochodem. Tyle że ja miałam starego forda, którego klocki hamulcowe były w kiepskim stanie już za prezydentury Lecha Kaczyńskiego, a nie nowe audi jak Sonia Marchlewska.

Inna sprawa, że fordem, zwłaszcza takim rżęchem jak mój, nie da się za bardzo rozpędzić, a to jest dojazdówka do podwarszawskich osiedli, w których ludzie chodzą spać z kurami. Kiedy Sonia Marchlewska wyruszyła z knajpy w Podkowie Leśnej, był pewnie taki ruch jak teraz, czyli żaden.

Coś przebiegło przez drogę, kuna albo łasica. Wdepnęłam gwałtownie hamulec i fordem zarzuciło. Zacisnęłam palce na kierownicy. Koła się zablokowały i wyjechałam bokiem na środek drogi.

Gdyby teraz ktoś pojawił się z naprzeciwnika...

Ale moje auto było pewnie jedynym w promieniu kilkunastu kilometrów.

Na tej drodze zawsze tak to wyglądało: w dzień samochód za samochodem, nocą pusto. Rok temu też nic nie jechało. Tylko ten jeden jedyny dostawczak, który wypadł zza zakrętu. Kierowca też pewnie myślał, że ma przed sobą pustą drogę. Uderzył w wóz Marcina, akurat kiedy mój mąż...

Oparłam czoło o kierownicę lepką od spoconych dłoni. Zacisnęłam powieki i pięści. Wzięłam głęboki wdech.

Muszę się pozbierać, przestać o tym myśleć i podejść do sprawy profesjonalnie. Jestem odpowiedzialna za rodzinę. Muszę w końcu zarobić jakieś cholerne pieniądze!

Obejrzałam się. Lola spała na tylnym siedzeniu, zwinięta w kłębek. Chciałabym mieć w sobie spokój tego psa.

Ruszyłam powoli, uważnie się rozglądając. Droga była ciemna, oświetlona tylko przy wjeździe do tych wszystkich dziwnych hurtowni i sklepów, więc włączyłam długie. Widziałam wyraźnie pobocze,

rów, drzewa, podjazdy do posesji, banery reklamowe, żwir na poboczu... I pod jednym z drzew wiązan-  
kę świeżych kwiatów.

Zjechałam na bok, chociaż pewnie mogłam zostawić samochód na środku drogi. Wysiadłam i podci-  
ągnęłam suwak kurtki pod szyję. Przeszłam na drugą stronę szosy.

Czyli Sonia Marchlewska przecięła przeciwległy pas i walnęła w podwójną brzozę, tuż za zjazdem do  
kolejnej hurtowni.

Wyjęłam z kieszeni telefon, żeby sobie poświęcić, i pochyliłam się nad kwiatami. Jedna wiązanka  
i tyle. Żadnych wieńców, zniczów, zdjęć czy kartek. Ofiara była gwiazdka, ale nie aż taką, żeby po jej  
śmierci ogłosili żałobę narodową.

Poświęciłam wyżej, na pień. Nie znam się na drzewach ani w ogóle na roślinach. Wszystkie krzewy  
w ogrodzie wokół domu posadził ojciec. Radzę sobie tylko ze zwierzętami i z dziećmi, choć z tymi  
ostatnimi też nie za bardzo, ale nawet ja wiedziałam, że drzewo nie powinno mieć kory zdartej z poło-  
wy pnia. Ani śladu po uderzeniu tak głębokiego, że sterczały drzazgi.

Lola zaszczeaka krótko w samochodzie. Rozejrzałam się – nadal byłam sama. Wiatr zaczął, deszcz  
padał poziomo. Wyszłam na środek drogi. Popatrzyłam w jedną stronę, potem w drugą.

Owszem, zakręt był ostry, ale ona nie zdążyła w niego wejść. Jechała prostą drogą, gdzie trudno było  
stracić przyczepność. Dalej przy szosie są łąki, w wilgotny wieczór spływają z nich pasma mgły, ale nie  
tu. Tutaj po obu stronach znajdowały się wysypane żwirem zjazdy do hurtowni, płoty i słupki z rekla-  
mami.

Sonia Marchlewska mogła pruć swoim audi i dwieście, jeśli tyle wyciągało. Nawet gdyby, dajmy na  
to, pisała esemesa, poprawiała w lusterku wstecznym szminkę albo szukała telefonu w torebce i jej sa-  
mochodem zarzuciło, do drzewa nadal miała daleko, a jednak w nie wjechała. Może za długo poprawia-  
ła tę szminkę. Albo ustawiała się do selfie na Instagram z cyklu „powrót ze spotkania z przyjaciółkami,  
uda-ny wieczór”. Po prostu o kilka ułamków sekundy za długo.

Tak, to dało się jakoś wyjaśnić, gorzej było z wytłumaczeniem, jak ktoś mógł zabić Sonię Marchlew-  
ską. Bo naprawdę wszystko wskazywało na wypadek.

Miałam za mało danych i zero chęci, by zdobyć coś więcej. Nie chciałam już nigdy oglądać tego za-  
krętu.

Wróciłam do samochodu, przekręciłam kluczyk w stacyjce i gałkę ogrzewania do oporu, nie robiłam  
sobie jednak wielkich nadziei. Wiedziałam, że zanim wnętrze auta się nagrzej, będę już w domu, we  
własnym łóżku.

## Rozdział 9

W domu, we własnym łóżku, nadal nie mogłam zasnąć – nawet nie z zimna, bo Lola grzała jak piecyk. Zrobiło się raczej wcześniej niż późno, a ja przewracałam się z boku na bok dokładnie co piętnaście minut (sprawdzałam na telefonie), jakbym miała plan do wykonania.

Myślałam o Soni Marchlewskiej, gwiazdce seriali, która jechała swoim bezpiecznym samochodem na szerokiej pustej drodze, a mimo to wylądowała na drzewie niedaleko miejsca, gdzie rok wcześniej zginął w wypadku mój mąż. I której okoliczności śmierci miałam teraz zbadać dla firmy ubezpieczeniowej.

Myślałam też o Łukaszu Wolskim, moim dawnym chłopaku, z którym zerwałam ponad dwadzieścia lat temu i który następnie ożenił się z tą samą Sonią Marchlewską, a teraz został głównym podejrzanym o jej zamordowanie.

Jaki ten świat jest mały.

I myślałam o moim mężu. O Marcinie. W tamten weekend byliśmy z Miśką u ojca. Pokłóciliśmy się, okropnie. Powiedział, że musi sobie wszystko przemyśleć i chce to zrobić w samotności. Że wróci do naszego warszawskiego mieszkania i że byłoby najlepiej, gdybym do niego nie dzwoniła. Nie trzasnął drzwiami tylko dlatego, że nie chciał obudzić córki i teścia.

W końcu przestałam się wygłupiać. Przesunęłam Lolę, włożyłam sweter i szlafrok, a na nogi dwie pary skarpet, po czym zeszałam na dół i włączyłam laptopa.

Otworzyłam nowy dokument i przez dłuższy czas gapiłam się w biały ekran. Wreszcie zmusiłam się, żeby napisać: „prosta droga”, a potem jeszcze: „dobre warunki atmosferyczne”. To brzmiało tak idiotycznie, że skasowałam ostatnie słowa, a zamiast nich dałam: „dobra pogoda, sucho, bezwietrznie”. Pomyślałam chwilę i dopisałam: „pusta droga” ze znakiem zapytania. Poklikałam enterem, zjechałam na dół dokumentu i wy-stukałam: „pytania”, po czym podkreśliłam to słowo podwójnie.

„Z jaką prędkością jechała Sonia?”

„Czy z jej komórki wynika, że rozmawiała przez telefon (albo esemesowała)?”

„Świadkowie?”

„Czy ktoś był w samochodzie oprócz Soni?”

Zacisnęłam powieki. Uczucie, jakby ktoś nasypał mi piasku do oczu, pozostało.

Sonia Marchlewska była rozpoznawalną gwiazdką na najlepszej drodze do większej kariery. Zginęła w wypadku samochodowym, który najwyraźniej nie był wypadkiem, skoro policja podejrzewała męża o zamordowanie żony. A ten mąż, w dodatku mój były chłopak, szukał pomocy u mnie.

Co w tym było nie tak?

Wszystko.

Za oknem zaczęło świtać. Jesienią słońce wygląda, jakby się wahało, czy wstać, czy wrócić do łóżka. Ja nie miałam po co tam wracać. Powinam wziąć długi gorący prysznic (pieprzyć koszty wody), zrobić sobie kawę i może nawet śniadanie. Obudzić Miśkę, bo o ósmej miała siedzieć przed monitorem i przynajmniej udawać, że bierze udział w lekcjach. Podać ojcu leki i jeszcze dopilnować, żeby je połknął, oraz nakarmić Lolę (która nadal spała w moim łóżku). Zrobić sobie makijaż, włożyć coś innego niż bluzę z kapturem i spodnie od dresu, żeby dla odmiany wyglądać jak profesjonalistka i wyrzucić dobre wrażenie na facecie, którego kiedyś kochałam, a potem nie widziałam przez dwadzieścia lat. A przynajmniej spróbować.

Oparłam się wygodnie w fotelu, przechyliłam głowę w jedną stronę, potem w drugą, ale to nie pomogło, bo nadal miałam ramiona jak z kamienia. Pomasaowałam kark. Najpierw kawa, potem prysznic,

a później wezmę się za Miśkę. Poświęcam jej za mało uwagi. Nawet jeśli piętnastolatka marzy tylko o tym, żeby matka się od niej odczepiła, to wcale nie znaczy...

Obudził mnie dzwonek. Macałam dookoła w poszukiwaniu komórki, ale nigdzie jej nie było. Bałam się, że zrzuć z szafki nocnej szklankę z wodą, jednak szklanki też nie było. Ani szafki.

Dzwonek zadzwonił jeszcze raz. Otworzyłam oczy i natychmiast je zamknęłam, bo poraziło mnie słońce. W mojej sypialni okno jest od północy, słońce nigdy tu nie wpada...

Kolejny dźwięk dzwonka.

– Mamo, otwórz! – rozległo się z pokoju Miśki.

Zaraz potem usłyszałam kroki ojca na schodach.

– Córeczko, kto jest przy furtce.

Cholera! Cholera jasna! Zasnęłam w fotelu. Była dziewiąta, przed domem stał Łukasz, a ja ciągle miałam na sobie piżamę!

– Tato, otwórz i poproś Łukasza do środka! Ja zaraz przyjdę. Miśka, pomóż dziadkowi!

W drodze do łazienki łapałam ubrania, jakie mi wpadły w ręce. Bluza z kapturem, spodnie od dresu, majtki z szuflady. Cholera, wszystkie staniki są na suszarce!

Usłyszałam, jak na dole ojciec szura nogami i skrzypią drzwi wejściowe. Zrzuciłam piżamę, naciągnęłam bluzę i spodnie. Ochlapałam twarz wodą, maznęłam skórę kremem. Wcale nie wyglądałam lepiej, a na dodatek zaczęłam się świecić. Potarłam się ręcznikiem – niepotrzebnie, bo teraz nie tylko się świeciłam, ale i zrobiłam się cała czerwona. I to tyle w temacie: będę imponującą profesjonalistką i pokażę byłemu, że u mnie wszystko dobrze.

Przyglądałam palcami włosy, po czym wyszłam z łazienki.

Łukasz stał przy oknie w salonie i spoglądał na podwórko. Ze swojego miejsca widział akurat kawałek z niezgrabionymi liśćmi i połamanymi sztachetami płotu tam, gdzie kilka lat wcześniej przewróciło się drzewo w czasie burzy. Ojciec pokazywał mu na wpół uschnięty orzech.

– To też po burzy, pamięta pan? Chyba byliście wtedy w liceum. Piorun trafił i połowa uschła. Powinnyśmy go właściwie ściąć, ale jakoś nadal się trzyma...

– Panie Hubercie, przecież kiedyś mówił mi pan po imieniu.

Chrząknęłam. Łukasz się odwrócił.

Boże, jak on się zmienił!

Podeszłam szybko, zanim zdążył otworzyć usta, podałam mu rękę. Mocno uściśnęłam jego dłoń. Palce miał ciepłe i suche.

Uśmiechnął się niepewnie. Pamiętałam, że ma piękny uśmiech, ale zapomniałam już, jak na mnie działał.

– Franko, no co ty! – Przyciągnął mnie i ucałował w oba policzki. Pachniał drogą wodą kolońską.

– Kawy? – spytałam, bo naprawdę nie wiedziałam, co innego powiedzieć.

– Z przyjemnością – odparł, patrząc mi w oczy.

Poszłam do kuchni.

– Cukier?! – zawołałam. – Mleko?

– Wszystko jedno, nie jestem wybredny, przecież wiesz. Byle zawierała kofeinę.

Wiedziałam. Jeszcze pamiętałam.

– A ty, tato? – zapytałam. – Napijesz się z nami?

Miałam nadzieję, że nie, ale gdybym nie spytała, obraziłby się co najmniej do jutra.

Ojciec na szczęście pokręcił głową i zaczął wchodzić po schodach. Pokazałam Łukaszowi fotel, ten, na którym było mniej kłaków Loli, i postawiłam kawę na stoliku.

Przesunął ręką po włosach, lekko już szpako-watych na skroniach. Nosił je półdlugie, bez śladów żelu. Jasnoszary garnitur, ciemna koszula, ciemny krawat i starannie wymanikiurowane palce sugerowały pieniądze. Pasował do mojego salonu jak pięść do nosa. Przynajmniej na lewym policzku miał zadrapanie. Pewnie się zaciął przy goleniu. Dobrze było wiedzieć, że nawet taki chodzący ideał ma jakąś skazę.

– O rany, nie wiem, co powiedzieć, Franko. Właściwie nic się nie zmieniłaś przez te wszystkie...

– Dzięki. Mam w domu lustro.

Uśmiechnął się.

– Kiedyś nie nosiłeś takich garniturów.

Spojrzał na przód swojej marynarki, jakby dopiero teraz się zorientował, co włożył.

– To? Daj spokój. Do pracy. Sama wiesz. – Wzruszył ramionami. – Ludzie patrzą, jak wyglądasz.

Tak, wiedziałam. Łukasz właśnie patrzył na mój stary dres.

Rozejrzał się.

– Ten dom, to wszystko... Czuję się, jakbyśmy znowu mieli po kilkanaście lat. Strasznie dziwne uczucie, wiesz?

Pokiwałam głową.

– Może je przezwyciężysz, jeśli mi opowiesz, o co właściwie chodzi.

– Mówiłem, że nic się nie zmieniłaś. – Znowu się uśmiechnął. – Sam konkret.

Bo tylko konkret utrzymuje mnie na powierzchni. Gdyby nie on, dawno bym utonęła.

– No dobrze. Właściwie już wszystko opowiedziałem ci przez telefon. Policja podejrzewa mnie o zamordowanie mojej byłej żony, Soni Marchlewskiej.

Wychwyciłam słowo, które wydawało mi się w tym zdaniu najbardziej interesujące.

– Byłej?

Po raz kolejny przesunął dłonią po włosach.

– Jesteśmy w separacji – powiedział. – To znaczy byliśmy... Przepraszam, nie mogę się przyzwyczaić...

Wszystko jasne. Były mąż, ale jeszcze nie całkiem były, to według policji podejrzany numer jeden.

– W separacji – powtórzyłam. Nie zapytałam, dlaczego nie siedzi w areszcie, skoro policja uważa go za mordercę. To pytanie było bez sensu. Faceci w garniturach droższych niż roczny koszt ogrzania mojej rudery czekają na wynik śledztwa we własnych mieszkaniach. Wróciłam do najważniejszego tematu. – Wszystkie portale piszą, że to był wypadek.

Rozłożył ręce.

– Gliniarze, którzy wczoraj przeszukali mój dom i biuro, twierdzą inaczej.

– Jakież szczegóły?

Pociągnęłam łyk czarnej kawy bez cukru i natychmiast mnie zemdliło. Jeszcze nic dzisiaj nie jadłam, a wczoraj odpuściłam sobie kolację. Mocna kawa na pusty żołądek to słaby pomysł.

Łukasz też podniósł filiżankę do ust i upił, jakby to była kawa z przyzwyczajonego ekspresu, a nie obrzydliwa lura.

– Nic więcej nie wiem. Sonia zginęła w nocy z poniedziałku na wtorek. Wczoraj koło południa policjanci weszli do mojego biura. Nie było to przyjemne, wierz mi.

Mogłam sobie wyobrazić.

– Mój prawnik ma się dowiedzieć, dlaczego przypuszczają, że to nie był zwykły wypadek. – Przy słowie „zwykły” zakreślił palcami cudzysłów w powietrzu. – To jeden z najlepszych adwokatów w stolicy, mecenas Wojnar.

Pokiwałam głową, chociaż nazwisko nic mi nie mówiło.

– Ale to trochę potrwa.

Spojrzałam na niego.

– Czego ty ode mnie chcesz, Łukaszu?

Popatrzył tak, jakby dopiero teraz mnie zobaczył.

– Myślałem, że to jasne. Muszę znaleźć coś, co pomoże mi oczyścić się z zarzutów. Szybko.

Odchyliłam się w fotelu.

– Sama rozumiesz – dodał. – Inwestorzy nie lubią, kiedy ich kontrahent jest podejrzany o zabójstwo. To źle wpływa na transakcje.

Nie, nie rozumiałam, ale mogłam sobie wyobrazić.

– Ale ty jej nie zabiłeś?

– No skąd! Jezu, jak ty w ogóle możesz pytać o coś takiego?

Wyciągnął rękę i ujął moje palce. W odróżnieniu od niego nie miałam manikiuru.

– Franko, spójrz na mnie. Wiem, że nie widzieliśmy się dwadzieścia lat. Wiem, że wiele się pozmieniało po tym, jak mnie rzuciłaś.

Nie musiał teraz tego przypominać. Jeśli chciał zapewnić sobie moją pomoc poprzez wzbudzenie u mnie wyrzutów sumienia, to źle trafił. Miałam na sumieniu gorsze rzeczy niż rzucenie chłopaka na studiach.

Chociaż w sumie to prawda – wiele się zmieniło. On został bogaczem i ożenił się z gwiazdką. Ja straciłam męża i wróciłam do domu rodziców. Normalnie niebo a ziemia.

– Ale to cały czas jestem ja, Łukaszu. Przecież dobrze mnie znasz. Proszę cię, pomóż mi. Nie chcę z tym iść do nikogo obcego.

– Adwokat na pewno cię wybroni – powiedziałam, wysuwając palce z jego dłoni. – Nie wiem, na jakiej podstawie cię podejrzewają, ale jeśli nie ma to nic wspólnego z rzeczywistością...

Pokręcił głową.

– To nie takie proste – rzucił.

Tyle to już sama zrozumiałam. Z faktu, że w ogóle tu jest – w moim salonie, w moim fotelu.

Łukaszu odetchnął głęboko, po czym dodał:

– Jako ostatni rozmawiałem z Sonią przed jej śmiercią. I prawdopodobnie ostatni ją widziałem.

## Rozdział 10

Opowieść Łukasza Wolskiego, mojego ekschłopaka i męża Soni Marchlewskiej (czy też eksmęża – zależy, jak na to spojrzeć), była tak banalna, że nawet nie chce mi się przytaczać wszystkich szczegółów.

Poznali się na wyjeździe organizowanym przez sponsora młodej gwiazdki w Sorrento, najbardziej romantycznym (a w każdym razie najbardziej przereklamowanym) miejscu we Włoszech. Łukasz był już znany (w swoich kręgach) i bogaty, Sonia sławna (także poza swoimi kręgami) i całkiem zamożna. Zobaczyłam to oczami wyobraźni: ona w zwiewnej sukience (stroje wyszczególnione w umowie sponsorskiej), on w letnim garniturze, z koszulą rozpiętą pod szyją. Bez względu na stroje (lub ich brak) z Sorrento wrócili jako para. On miał kasę, ona wdzięk, a oboje przyszłość. Ślub (oczywiście piękny) odbył się szybko (już mi się nie chciało wyobrażać, w co byli ubrani). Dolce vita trwało dwa lata, plus minus – nie dopytywałam o dokładne daty, bo to bez znaczenia. Później zaczęły się pretensje: jego do niej, że za dużo pracuje i nie chce mieć dzieci, jej do niego... Już za późno, żeby się dowiedzieć u źródła.

– Czyli nie masz dzieci? – przerwałam mu.

Pokręcił głową.

– A ty?

– Córkę. Niedługo skończy szesnaście lat i każdego dnia urządza mi piekło na ziemi.

– Rozumiem.

Wątpiłam. Żeby zrozumieć, trzeba to przeżyć. Za to ja, w każdym razie tak mi się wydawało, rozumiałam, co on czuje po śmierci żony. Jeśli choć połowę tego, co ja po wypadku Marcina...

Wracając do tematu: złożyli pozew o rozwód. Umówili się, że ona zatrzyma willę. Łukasz powiedział, że audi kupiła sama, już później (może był w to zamieszany kolejny sponsor).

Słuchałam jednym uchem, drugim starałam się wylapać dźwięki z pokoju Miśki, ale nic stamtąd nie dochodziło. Mogło to oznaczać jedną z dwóch możliwości: albo uczestniczy w lekcji online, albo z prostem położyła się spać. Stawiałam na to drugie.

Zorientowałam się, że od dobrej chwili Łukasz nie powiedział ani słowa.

– I od kiedy się wyprowadziłeś, nie utrzymywaliście żadnych kontaktów?

Pokręcił głową.

– Trudno powiedzieć, że żadnych. Mieliśmy wielu wspólnych znajomych. Sama wiesz, jak to jest.

Pociągnęłam kolejny łyk kawy i znowu tego pożałowałam. Łukasz dopił resztkę swojej i odstawił filiżankę na stolik elegancko, bez stuknięcia. Dopiero teraz zorientowałam się, że nie podałam spodeczków.

– To może powiesz mi, dlaczego policja podejrzewa cię o morderstwo.

Popatrzył na mnie.

– To było tak – zaczął, jakby opowiadał dziecku bajkę. – Tej nocy, kiedy Sonia miała wypadek, wracałam ze spotkania pod Warszawą.

– Spotkania z kim? – przerwałam mu.

– Z kontrahentami. Nieważne. Policja zapisała ich dane, wszystko można sprawdzić. W każdym razie na przelotówce między Grodziskiem a Warszawą, na wysokości Podkowy Leśnej, złapałam gumę. Udało mi się zjechać na pobocze. Zadzwoiłem do Soni. Ona mieszka... mieszkała parę ulic stamtąd.

No proszę, nie wiedziałam, że byliśmy nieomal sąsiadkami. Teoretycznie mogłam spotykać Sonię w warzywniaku, bo w Podkowie też czasem robię zakupy. Ale tam mieszka dużo sławnych osób, wszyscy się przyzwyczaili.



– Poprosiłem ją – mówił dalej Łukasz – żeby mnie podrzuciła. Sonia nigdy nie kładzie się wcześniej spać.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś po pomoc drogową?

– Zadzwoniłem, ale powiedzieli, że będą najwcześniej za godzinę, a ja marzyłem, żeby znaleźć się we własnym łóżku. Miałem ciężki dzień.

Najwyraźniej jednak nie tak ciężki jak Sonia.

Przechyliłam głowę na bok. Milczałam.

– No co? – Uśmiechnął się niepewnie.

– Nie przyjrzałam się dokładnie twojemu samochodowi – powiedziałam w końcu – ale garniturowi już tak. Faceci w takich garniakah mają do dyspozycji pomoc drogową, która dojeżdża do nich w dwieście minut. Do dowolnego miejsca na kuli ziemskiej.

– Zawsze byłeś przenikliwi.

Wzruszyłam ramionami.

– No dobrze, powiem ci całą prawdę.

Najwyższy czas.

– Po prostu chciałem jeszcze raz zobaczyć się z Sonią. Pomyślałem, że ta guma to świetny pretekst. Dlatego nie zadzwoniłem ani po pomoc drogową, ani po ubera, ani po nikogo innego.

W jego głosie brzmiała szczerłość. Nie miałam powodu, żeby mu nie wierzyć.

– Co było potem? – spytałam.

– Sonia powiedziała, że żaden problem, zaraz podjedzie. Właśnie wychodziła z knajpy w Podkowie, gdzie była z przyjaciółkami, ale nie piła.

– Bardzo miła ta twoja eks.

Teraz to on wzruszył ramionami.

– Czekałem na poboczu, koło samochodu. Droga była pusta. I nagle Sonia nadjechała. Śmignęła koło mnie, chyba wyciągała ze sto osiemdziesiąt.

– Jesteś pewny, że to ona? Jeśli jechała z taką prędkością, mogłeś nie rozpoznać...

– To musiała być ona. Tylko ten wóz mnie minął. Dojechała do zakrętu, tego przed stacją benzynową.

Pokiwałam głową. Wiedziałam aż za dobrze, o jaki zakręt chodzi.

– A potem wjechała w drzewo.

Odczekałam chwilę, zanim zdołałam zapytać:

– Widziałeś to?

– Nie, ale słyszałem. Na początku nie wiedziałem, co się stało. Nie skojarzyłem tego łoskotu z Sonią. Tam obok jest szrot samochodowy, więc myślałem, że to jakaś karoseria spada. – Westchnął ciężko. – Nie wiem, jak mogłem być taki głupi.

Bo ja wiem, czy głupi. Pewnie nikt by nie powiązał takiego dźwięku z wypadkiem. Skąd w ogóle wiadomo, jakie są odgłosy wypadku?

– Czekałem jeszcze trochę i w końcu uznałem, że wystawiła mnie do wiatru, więc zadzwoniłem po tę cholerną pomoc drogową. Trochę się pomyliłaś z tymi dziesięcioma minutami: przyjechali po dwudziestu. Gdy wymienili mi koło, pomyślałem, że cofnę się kawałek i pojadę przez Brwinów do autostrady, żeby być szybciej w domu. Kiedy wykręcałem, słyszałem karetkę. Ale przecież człowiek ciągle słyszy jakieś karetki, nie?

Cały czas.

– Dowiedziałem się dopiero rano.

Patrzyłam na niego i nic nie mówiłam.

– Byłem kilkaset metrów od miejsca wypadku, zadzwoniłem do Soni kilka minut wcześniej. Teraz rozumiesz?

Rozumiałam. I przestałam się już dziwić, dlaczego policjanci podejrzewali akurat jego. Spróbowałam inaczej.

– A skąd w ogóle przypuszczenie, że to było morderstwo, a nie wypadek?

Kolejne wzruszenie ramion.

Milczałam przez chwilę. Obracałam w dłoniach filiżankę z resztką zimnej lury. Przydałby mi się marnikiur. Wiele rzeczy by mi się przydało.

– Słuchaj, Łukasz – powiedziałam w końcu. – To bardzo dziwna historia, ale mówiłeś, że masz dobrego adwokata, więc pewnie włos ci z głowy nie spadnie. Co do policjantów, to oni zawsze na początku podejrzewają męża, jednak zmieniają zdanie, gdy znajdą nowe dowody.

– No właśnie, dokładnie tego potrzebuję: nowych dowodów, tropów! Czegoś, co mógłbym jak najszybciej podrzucić tym pieprzonym psom, które tylko kręcą się w kółko z nosem przy ziemi! – oznajmił podniesionym głosem.

Wyprostowałam plecy. Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby Łukasz tak mówił.

Dostrzegł mój wyraz twarzy.

– Przepraszam, poniosło mnie. Franko – przysunął się bliżej – naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

– Jesteś bogatym człowiekiem – powiedziałam powoli. – Możesz sobie wynająć każdego detektywa.

– Nie chcę każdego. Potrzebuję kogoś, kto mnie zna i mi ufa, kto wierzy, że jestem niewinny.

Odwrociłam głowę i popatrzyłam na drzwi do pokoju Miśki. Ciągłe panowała tam cisza.

Nie mogłam pomóc Łukaszowi. Po prostu nie mogłam. Gdyby Sonia zginęła w wypadku gdzie indziej, może tak, ale umarła dokładnie tam, gdzie Marcin.

– Łukasz, posłuchaj. Nie sądzę, że bym...

– Przepraszam, że mówię to wprost, ale wiem o twoich trudnościach finansowych.

Spojrzałam na niego gwałtownie.

Patrzył na mnie tym szczerym i otwartym spojrzeniem, które jeszcze ciągle pamiętałam.

– Nie przeszywaj mnie tak wzrokiem. Nie miałem na myśli nic złego. – Próbował się uśmiechnąć, ale w końcu zrezygnował. – Chciałem tylko powiedzieć, że zapłacę dowolną sumę, jaką zaproponujesz. Dowloną.

Wyprostowałam się. Odstawiłam filiżankę na stół.

– Pięćdziesiąt tysięcy. Plus koszty. W sumie pięćdziesiąt pięć.

Czekałam, aż wybuchnie śmiechem albo oburzy się, wstanie i wyjdzie bez pożegnania. Tak właśnie powinien był zareagować, gdy tylko minie mu pierwszy szok wywołany ceną, zupełnie nieprzystającą do zlecenia, on jednak po prostu rzucił:

– Płatne z góry czy z dołu?

Całe szczęście, że zdecydowałam się już nie pić tej obrzydliwej kawy. Na pewno bym się zakrztusiła, gdybym akurat miała ją w ustach.

– Połowa z góry – odparłam mimo to ze spokojem. – Oczywiście cena jest niezależna od wyników śledztwa. Dam ci wizytówkę z numerem konta. – Sięgnęłam po portfel.

– Nie trzeba, dostałem ją od znajomych. Jak myślisz, skąd miałem twój numer? – Zaczął się klepać po kieszeniach. – Chyba została w samochodzie. Jeszcze dzisiaj puszcze ci przelew, tylko daj mi... A może wolisz gotówkę?

Co za pytanie!

– Może być. – Wzruszyłam ramionami, udając, że nie zrobiło to na mnie najmniejszego wrażenia.

– Przywiozę ci pieniądze jutro, dobrze?

Wyprostowałam się.

– Doskonale. To ja na jutro przygotuję umowę do podpisu.

– Nie potrzebuję umowy, ale rozumiem, że chcesz się zabezpieczyć.

Przede wszystkim chcę się rozliczyć ze skarbowką, bo któryś z sąsiadów może na mnie donieść, jak zobaczy, że mam kasę na naprawę ogrodzenia.

– Nie musisz być taka oficjalna – dodał miękko Łukasz. – Po tym wszystkim, co przeszliśmy razem...

– To było dawno – przerwałam mu. – Potem przeszłam o wiele więcej. Bez ciebie.

Łukasz Wolski, mój były chłopak i były mąż Soni Marchlewskiej, podniósł się z fotela, zaplął guzik marynarki w sposób, który świadczył, że robił to już miliony razy, i uśmiechnął się.

– Dziękuję ci, Franko. Cieszę się, że znowu... – Urwał, a potem odwrócił się i wyszedł.

Stałam przy oknie i patrzyłam, jak idzie do furtki, po czym wsiada do czarnego volvo.

Wiedziałam, że ta sprawa śmierdzi.

## Rozdział 11

Nie zdążył chyba jeszcze dotrzeć do przelotówki, kiedy do niego zadzwoniłam, więc mógł bez trudu zjechać na pobocze. Zresztą to bez znaczenia – w nowym modelu volvo na pewno był zestaw głośnomówiący.

– Z kim Sonia spotkała się wieczorem w dniu wypadku?

Długo milczał, więc w końcu uznałam, że nie dosłyszał i muszę powtórzyć pytanie.

– Pytałam, z kim...

– Tak. To znaczy nie wiem. Skąd mam wiedzieć?

Dobre pytanie.

– Mieliśmy wspólnych znajomych, ale nie znałem jej koleżanek ze szkoły. Sonia była ode mnie dwa-nastu lat młodsza.

No tak, jasne. Rozłączyłam się bez pożegnania, dopiłam zimną już kawę, jeszcze ohydniejszą, i wpatrzyłam się w porysowany blat stołu. To był stół jeszcze po babci, na oko dębowy. Przydałoby mu się renowacja. Przydałoby się wiele rzeczy.

Usłyszałam, jak w drzwiach pokoju Miśki obraca się klucz. Po sekundzie skrzypnęły zawiasy.

– Mamo, skończyły mi się czyste bluzy! O wpół do jedenastej mam prezentację z geografii, muszę włączyć kamerę.

Cud nad cudy, chociaż to Brwinów, a nie Jerozolima. Moje dziecko nie śpi, uczy się i nawet odezwało się do matki.

– Zobacz na suszarce – rzuciłam, nawet nie podnosząc wzroku. – Zjadłaś śniadanie?

Nie raczyła odpowiedzieć, po prostu zamknęła się w łazience. Wiedziałam, że będzie tam siedziała co najmniej pół godziny, więc wstałam i zrobiłam sobie drugą kawę. W chlebaku została tylko jedna bułka, którą dało się jedynie wbijać gwoździe. Powinnam była zrobić zakupy, a później obiad, wziąć prysznic, umyć włosy i zrobić makijaż. Powinnam była się pozbierać, a nie być tylko wiecznie rozmawianą wdową, której nie stać na ogrzewanie.

Chociaż teraz już było mnie stać.

– Miśka, umyłaś zęby?! – krzyknęłam w stronę łazienki.

– Zostaw mnie! – wrzasnęła. – Nie jestem już małym dzieckiem!

– Nie powinnaś jej tak ciągle zwracać uwagi. – Ojciec schodził po schodach. I znowu nie patrzył pod nogi.

Bardzo, naprawdę bardzo mocno zacisnęłam dłonie na filiżance. Nie bałam się, że pęknie; była z jakiegoś gównianego duraleksu.

– Tato, wzięłaś leki? – zapytałam.

– Skończył mi się coaparin.

Westchnęłam i wstałam. Ojciec za to opadł ciężko na fotel przed telewizorem, ale nie sięgnął po pilota, tylko po gazetę – sprzed dwóch dni, bo wczoraj nikt nie był w kiosku.

Może chciał w ten sposób wzbudzić we mnie wyrzuty sumienia. Cóż, nie udało mu się. Miałam zdecydowanie gorsze rzeczy na sumieniu.

– Pójdę po zakupy – powiedziałam. – I do apteki.

– Nie dadzą ci bez recepty.

– Ostatnio dali.

– Ale to był inny lek. Ten jest tylko na receptę.

Głęboki wdech. Głęboki wydech. I jeszcze raz.

– Wiesz co, zapytam.

– Jak tam sobie chcesz. – Ojciec odwrócił głowę do gazety.

– Zjedz śniadanie – poprosiłam. – Bo to potrwa, zanim wrócę.

– Jadłem, jak spałaś.

Nie miałam siły wnikać, czy kłamie, czy mówi prawdę. W końcu nie był już małym dzieckiem.

– Tato, kojarzysz Sonię Marchlewską? – spytałam.

Zamyślił się.

– Jacyś Marchlewscy mieszkali na Poprzecznej i mieli córkę. To wiem na pewno, ale czy Sonię...?

– Poprzeczna ile?

– Chyba czternaście. Albo szesnaście. Ale oni już tam dawno nie mieszkają. Marchlewska dostała raka i szybko się zawięła. Młoda jeszcze była, może z pięćdziesiątkę miała. A on umarł parę lat po niej, ale nie pamiętam na co.

Szkoda. Skoro w tym miasteczku wszyscy wszystko wiedzą, to rodzice Soni też mogliby coś wiedzieć. Gdyby żyli.

– Mieli tylko jedno dziecko?

– Tak. To pamiętam na pewno. Sporo młodsza od ciebie była ta dziewczynka.

Dzięki, tato, że wypominasz córce wiek!

– To ja się zbieram. Nie wychodź nigdzie – poprosiłam.

– A na ogród chociaż mogę?

Nie, nie był małym dzieckiem, ale zachowywał się gorzej niż małe dziecko.

Jeszcze jeden głęboki wdech.

– Wiesz co, weź telefon i zadzwoń do przychodni. – To powinno mu zająć czas, dopóki nie wrócę. – Poproś o e-receptę na coaparin, to potem ci wykupię.

O dziwo nie dyskutował. Pogrzebał w kieszeni, wyjął telefon i zapatrzył się w niego, jakby widział go pierwszy raz w życiu.

Nienawidziłam tych chwil, kiedy przypominał mi, że jest już starym człowiekiem, który niedługo umrze. A zanim umrze, straci pamięć i nie będzie wiedział, jak nazywa się jego córka, wnuczka czy nawet pies, którego tak lubi. Nie będzie wiedział, kim są ci obcy ludzie w jego domu ani czy to na pewno jest jego dom.

Wtedy pięknie mi serce.

– Numer jest wpisany pod „przychodnia” – powiedziałam cicho.

– Nie mam alzheimera – burknął.

Wdech, wydech. Muszę wyjść z domu, bo grozi mi hiperwentylacja.

– Jak nie masz alzheimera – odparłam powoli – to nakarm Lolę i wypuść ją, jak będzie piszczała pod drzwiami. I sprawdź, czy Miśka siada do lekcji. O dziesiątej.

Nie odpowiedział, nadal wpatrywał się w komórkę.

Stwierdziłam, że pieprzę prysznic. Poszłam do sypialni i zamieniłam spodnie od dresu na dzinsy. Przez kurtkę i tak nie będzie widać, że nie mam stanika.

Cofnęłam się jeszcze od drzwi, bo przypomniałam sobie o maseczce. Dobrze, że w domu, a nie w sklepie.

– Kup mi jeszcze krzyżówkę w kiosku – powiedział ojciec. – I pamiętaj o gazecie.

## Rozdział 12

Byłam już kiedyś w tej szkole. To znaczy bywałam regularnie, bo spędziłam tu dwanaście lat, podstawówkę i liceum, ale byłam też później, raz. Zostałam zaproszona na tak zwane spotkanie z ciekawym człowiekiem. Ogarnęło mnie wtedy szczęście, że godzina lekcyjna trwa tylko czterdzieści pięć minut. Dzieciaki z liceum wpatrywały się we mnie tępych wzrokiem, bibliotekarka, która prowadziła spotkanie, rozmaszała się szminka i nikt nie miał pytań na koniec. Przysięgłam sobie, że moja noga nigdy więcej tu nie postanie.

Kiedy już miałam przekroczyć bramę i po raz kolejny złamać złożoną obietnicę, przypomniałam sobie, że jest lockdown i nie ma lekcji, ale w jednym oknie na parterze paliły się światła, a drzwi do budynku były otwarte. Pchnęłam je, licząc, że to nie jest ten moment, kiedy dwoje nauczycieli korzysta z nieobecności uczniów, żeby spędzić razem kilka miłych chwil. Chociaż wcale bym się nie zdziwiła. Jak człowiek prowadzi prywatną firmę detektywistyczną, ma wrażenie, że widział już wszystko.

Na drzwiach, które – jak sobie wyliczyłam – prowadziły do oświetlonego pomieszczenia, wisiała tabliczka „dyrekcja”. W środku nie było żadnych kochanków, tylko sekretarka za kontuarem. Szybko naciągnęła maseczkę, a ja wygrzebałam swoją z kieszeni.

– Pani dyrektor jest na zebraniu – powiedziała kobieta. – Z dziennikarzami.

Czyli bingo. Po pierwsze Sonia Marchlewska na pewno chodziła tu do szkoły i każdy robił teraz materiał o jej życiu. Po drugie musiałam się pospieszyć. Z mojego doświadczenia wynikało, że tacy ludzie jak sekretarka, ordynator czy kierownik parkingu skłonni są odpowiedzieć na wszystkie pytania, ale tylko temu, kto zada je pierwszy. Przy kolejnym pytającym nachodzi ich refleksja, czy na pewno dobrze zrobili, a wtedy milkną.

– Ja właśnie w tej sprawie – powiedziałam szybko.

– To musi pani przejść do końca korytarzem. Drugie drzwi po prawej.

– Nie, to znaczy... – Skrzywiłam się, bo kiedy wciągnęłam powietrze, maseczka oblepiła mi nos i usta. – Szef kazał mi tylko zdobyć adresy koleżanek pani Soni Marchlewskiej. Tych, wie pani, które były z nią przedwczoraj w kawiarni.

Gdyby nie to, że się spieszyłam, byłam głodna i ciągle mnie mdliło po kawie, a maseczka utrudniała mi oddychanie, miałabym frajdę, obserwując, jak sekretarka odruchowo sięga do myszy w komputerze, porusza nią, żeby obudzić ekran, zaczyna stukać w klawiaturę i dopiero wtedy przypomina sobie o RODO oraz o tym, że nie wie nawet, w jakiej redakcji pracuję.

– Niestety nie mogę podać pani tych adresów. Ustawa o ochronie danych osobowych.

– A może ma pani numery telefonów?

Sekretarka zesztywniała.

– Nie aktualizujemy informacji o naszych absolwentach. A pani z jakiej gazety?

– Nie z gazety, tylko z portalu – poprawiłam ją z pobłażliwym uśmiechem, który jednak nie miał szansy zostać doceniony z powodu cholernej maseczki. – Z „Niusów”.

– Ale to... Wszystko jedno, nie mogę pani udostępnić danych osobowych.

– Nawet pani Patrycji?

Sekretarka pokręciła głową.

– Ani pani Marty?

Tym razem zacisnęła wargi. Wiedziałam, że jeszcze chwila i wezwie woźnego, żeby mnie stąd wyrzucił. Chyba że woźny pracował zdalnie.

– Nawet adresu pani Justyny nie może mi pani podać? – spróbowałam jeszcze raz.

– Pani Justyny z nimi nie było! – wyrzuciła z siebie sekretarka.

No i poszło lepiej, niż przypuszczałam.

– Bardzo pani dziękuję za pomoc. – Uśmiechnęłam się i wyszłam. Nie dałam jej szansy powiedzieć, że przecież wcale mi nie pomogła. Bo pomogła: miałam teraz dwa imiona na cztery.

Rocznik Soni zdał maturę w dwa tysiące dziewięćdziesiątym. W jej klasie były dwie Joanny, dwie Pauliny i dwie Sylwii oraz trzy Agnieszki, ale tylko po jednej Justynie, Marcie i Patrycji. Sprawdziłam to już wcześniej, w samochodzie – na stronie internetowej szkoły wisiała lista nazwisk z każdego rocznika. Były też, oczywiście, inne dziewczyny, ale nie mogłam przecież wyrecytować sekretarce całej listy. Nie musiałam. Wystarczyło zapytać o kilka imion, które się nie powtarzały, i już wiedziałam, że tamtego wieczora z Sanią Marchlewską herbatkę zimową piły Marta Kozłowska oraz Patrycja Biezuńska.

Na początek całkiem niezłe.

Oczywiście obie mogły wyjść za mąż i teraz nazywać się zupełnie inaczej, chociaż może nie zrobiły tego zaraz po maturze, a jak już założyły konta na Facebooku, to nie chciało im się potem zmieniać danych.

Jako pierwszą wystukałam Martę Kozłowską. Znalazłam sześć kobiet o takim imieniu i nazwisku, ale to nie był problem. Ludzie aż nazbyt chętnie piszą w mediach społecznościowych, gdzie mieszkają i jaką szkołę skończyli.

Postanowiłam, że będę kontynuować poszukiwania w domu, bo przyszło mi do głowy coś innego: mogłabym się dowiedzieć, jak one wyglądają.

Kiedyś liceum mieściło się w innym budynku, na najwyższym piętrze podstawówki. Co prawda miało wtedy znacznie mniej uczniów, nauczycieli, sal i tak dalej, ale pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Za moich czasów na korytarzu wisiała oszklona gablota, a właściwie kilka gablot, jedna obok drugiej. Prezentowano w nich legitymacyjne zdjęcia absolwentów – rocznikami, od początku istnienia liceum, czyli od lat siedemdziesiątych. Roczników i absolwentów z pewnością przybyło, jednak w nowym budynku mieli też o wiele więcej miejsca na ścianach.

Ruszyłam korytarzem w prawo. Doszłam do końca, ale nie znalazłam nic ciekawszego niż instrukcja BHP na drzwiach do kibla. Wróciłam, a potem zmieniłam kierunek. I znowu nic.

Cholera, źle to sobie wymyśliłam?

Znaczna część mojej pracy polega na tym, że odgaduję, co myślą ludzie, co nimi kieruje, czego pragną i czego się boją, a także dlaczego robią to, co robią, a nie coś przeciwnego. Jestem w tym dobra. Mam dużo empatii, kilka lat doświadczenia i sporo wiem. Zazwyczaj potrafię rozszyfrować klienta w ciągu pół godziny, bo tyle mniej więcej trwa pierwsza rozmowa. Nie myślę się częściej niż raz na sto przypadków.

Chyżby to był właśnie ten raz?

Wróciłam do korytarza, którym szłam na początku. Biblioteka musiała być na parterze, bo mieściła się tam od niepamiętnych czasów.

Zobaczyłam na drzwiach tabliczkę i zapukałam. Nie spodziewałam się odpowiedzi, więc nie zdziwiłam się, gdy jej nie otrzymałam, jednak kiedy nacisnęłam klamkę, ta ustąpiła. Nie rozumiałam, dlaczego podczas pandemii, kiedy w szkole nie ma (prawie) żywego ducha, bibliotekarka musi tkwić na posterunku, ale chętnie bym się z nią zamieniła. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby ktoś płacił mi za siedzenie przez osiem godzin dziennie w miejscu, gdzie jest ciepło i nikt niczego ode mnie nie chce.

Zakładałam, że będzie czytać książkę, ona jednak układała pasjansa na komputerze.

Ściany były puste, tylko przy kontuarze wisiała korkowa tablica z kilkoma kartkami ogłoszeń. Co, do cholery, zrobili z gablotami absolwentów? Wyrzucili je na śmietnik? Niemożliwe, w tym miasteczku niewiele było rzeczy, którymi dało się pochwalić, więc gdy ktoś już coś znalazł, chwalił się, jak mógł.

– Przepraszam, pomyliłam drzwi – powiedziałam, po czym odwróciłam się do wyjścia i zamarłam w pół kroku.

Całą ścianę za mną, od sufitu prawie do podłogi, pokrywały gabloty, a w każdej znajdowały się dziesiątki małych zdjęć. Te na samej górze były czarno-białe, gdzieś za połową zaczynały się kolorowe.

Oczywiście, że miałam rację!

– Ja tylko na chwilę. – Zademonstrowałam bibliotekarce najszczęśliwszy uśmiech, na jaki było mnie stać, i znowu maseczka zniweczyła moje wysiłki. – Chciałabym zerknąć na te gabloty.

Bibliotekarka wzruszyła ramionami, co pewnie miało oznaczać „proszę bardzo”, po czym pochyliła się nad ekranem.

Rocznik dwa tysiące dziewięć wisiał po prawej stronie. Sonia Marchlewska nosiła w klasie maturalnej idiotyczną grzywkę. Na szczęście ktoś jej później powiedział, żeby zmieniła fryzurę. Marta Kozłowska była wyżej, a Patrycja Bieźuńska jeszcze wyżej, bo B jest wcześniej w alfabecie.

Ustawiłam się tak, żeby w szybie nie odbijało się światło z okna, i zrobiłam zdjęcia telefonem. Najpierw Patrycji, później Marty i Soni. Dałam krok do tyłu, żeby trzasnąć fotkę całej klasy.

– W bibliotece nie wolno korzystać z telefonu!

Rozejrzałam się, ale naprawdę nie było tu nikogo, komu mogłaby przeszkadzać moja komórka.

– Tylko sfotografuję te gabloty, dobrze?

Bibliotekarka zmaterializowała się koło mnie i zasłoniła je ciałem.

– W bibliotece nie wolno korzystać z telefonu!

Zabrakło mi riposty.



## Rozdział 13

Zamierzałam sprawdzić te kobiety w komórce, jak tylko wsiądę do samochodu, ale wewnątrz auta było lodowate. Sprawdzanie mogło zaczekać, aż dojadę do domu.

Zrobiłam zakupy, a potem, mimo ostrzeżeń ojca, postanowiłam spróbować szczęścia w aptece. Co chwila wprowadzali nowe przepisy i sama już nie wiedziałam, jakie teraz obowiązują. Szansa na to, że aptekarka też się w tym pogubiła, była minimalna, ale mogłam wziąć ją na litość.

Kolejka ciągnęła się na zewnątrz, bo wszyscy grzecznie przestrzegali odstępu półtora metra. Kiedy zbliżyłam się do drzwi, zrozumiałam dlaczego. Stojąca tam kobieta w białym fartuchu, o widocznym nawet mimo maseczki wyrazie twarzy psa łańcuchowego, odsyłała na koniec tych, którzy w oczekiwaniu na rychle wejście do środka za bardzo zbliżyli się do pleców poprzednika, oraz tych, którym maseczka nie zakrywała szczelnie nosa i ust. Wyglądała groźnie. Najwyraźniej kolejkowicze uważali podobnie, bo nikt nie dyskutował. Wszyscy patrzyli pod nogi, a niektórzy miętosili w dłoniach pliki recept.

Kiedy kolejka posunęła się do przodu, doszłam do wniosku, że znam tę groźną babę przy drzwiach. Na pewno już ją kiedyś spotkałam, tylko nie byłam sobie w stanie przypomnieć gdzie i kiedy. Maseczka skrywająca pół jej twarzy nie pomagała, a oczy zasłaniała grzywka.

To w sumie było nieistotne. Miałam jedynie przekonać aptekarkę, żeby wydała mi lek bez recepty, a nie socjalizować się z personelem.

Gdy w końcu przekroczyłam próg apteki, podeszłam do lady pewnym krokiem i równie pewnym głosem poprosiłam o coaparin.

– To jest na receptę – poinformowała mnie farmaceutka.

– No właśnie, to dla mojego taty – odparłam, co prawda nie na temat, ale tylko tyle zdołałam wymyślić. Kod również: jakiś ciąg cyfr, który przyszedł mi do głowy.

Farmaceutka postukała w klawisze komputera.

– Ja tu nic nie mam z takim kodem – powiedziała.

– Jak to? – zdenerwowałam się. – Przecież dostałam dzisiaj mejlem.

Westchnęła. Pewnie słyszała to od każdego pacjenta, albo przynajmniej od co drugiego.

– Niech pani jeszcze raz sprawdzi – poprosiła.

Sprawdziłam. Otworzyłam w komórce mejla z reklamą butów, których na pewno nie kupię, i powtórzyłam ciąg cyfr.

– Nic takiego tutaj nie mam.

– Jezu, co za bałagan... – Teraz ja westchnęłam. – Już drugi raz mi się to zdarza. To dla taty, musi brać codziennie, a poprzednie opakowanie się skończyło.

Pokręciła głową.

– Wie pani co, wydam pani i zrobię sobie adnotację, że to na ten pesel. Pani pójdzie do ośrodka po właściwy kod i później mi doniesie.

– Bardzo dziękuję. – Nie musiałam ukrywać ulgi. – Naprawdę bardzo.

– Proszę. – Farmaceutka skinęła głową.

I nie byłam pewna, czy nie mruknęła do siebie: „I tak nie da się tym naćpać”.

Wybiegłam na zewnątrz, a kobieta o wyrazie twarzy psa łańcuchowego wpuściła następną osobę z kolejki. Poprawiła przy tym maseczkę i przez ułamek sekundy zobaczyłam jej twarz. Naprawdę skądś ją znałam. Ale przecież w tym pieprzonym miasteczku wszyscy się znają!

Wciągnęłam zapach zbutwiałych liści. Co za udany dzień! Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio miałam taki. I to nawet pomijając fakt, że pokazałam się dawnemu ukochanemu w rozciągniętym dresie. Najpierw zarobiłam mnóstwo kasy, później zrobiłam mały, ale wyraźny postęp w śledztwie i zyskałam uczucie, że te pieniądze nie są całkiem za nic, a na koniec załatwiłam ojcu leki. Jeśli tylko nie zapomnę o tej cholernej gazecie i krzyżówce, to będzie chyba najlepszy dzień całego tego pieprzonego potwornego roku.

Ruszyłam w stronę kiosku i nagle się zatrzymałam.

Wiedziałałam już, skąd znam tę babę spod drzwi. Pół godziny wcześniej widziałam jej zdjęcie na ścianie w bibliotece.

## Rozdział 14

Ktoś, kto prowadzi prywatną firmę detektywistyczną, często musi wyciągać od ludzi informacje. Robiłam to już w przeszłości tyle razy, że znałam zasady, a zwłaszcza tę najważniejszą: jeśli chcesz coś od kogoś dostać, najpierw musisz mu coś dać. Coś, czego pragnie.

Pytanie brzmiało: czego pragnie kobieta o wyrazie twarzy psa łańcuchowego, która pilnuje dystansu społecznego przed drzwiami apteki?

Na pewno nie władzy, bo z tym radziła sobie doskonale. Być może pieniędzy, ale tu miałam ograniczone możliwości. Niechętnie rozstałabym się nawet z ułamkiem sumy obiecanej mi przez Łukasza. Co do seksu, wolałam nie wnikać. Z rzeczy oczywistych pozostała mi tylko jedna.

– Przepraszam, chciałam panią o coś zapytać...

Podeszłam do drzwi apteki i od razu się zaczęło.

– Ta pani nie stała w kolejce!

– O, właśnie, wpycha się bez kolejki! Pani jej powie, żeby przeszła na koniec!

Kobieta w białym fartuchu rzuciła jedno spojrzenie i kolejka umilkła.

– Słucham – warknęła do mnie.

– Jestem z „Niusów”. To taki niusowy portal.

– Wiem. Czytam.

Wyciągnęłam do niej rękę i obdarzyłam ją uśmiechem spod maseczki. Cofnęła się o krok i nie uściśnęła mojej dłoni.

– Nazywam się Marta Kruk – powiedziałam. – Pani chodziła do liceum z Sonią Marchlewską, do jednej klasy, prawda?

W „Niusach” naprawdę pracuje jakaś Marta Kruk, sprawdziłam to już wcześniej, bo nie pierwszy raz robiłam ten numer. Imiona Marta i Franka mają podobną długość i w środku „r”. Szansa na to, że ta kobieta dokładnie przypomni sobie później moje dane, była minimalna. Będzie pamiętała z grubsza, więc nawet gdyby doszło do konfrontacji, nie zarzuci mi, że ją okłamałam.

– Tak – usłyszałam w odpowiedzi.

Wyczułam ruch za plecami i obejrzałam się. Kolejkowicze na dźwięk imienia i nazwiska świeżo zmarłej gwiazdki przysunęli się o pół kroku.

– Chciałabym z panią porozmawiać. Zadać kilka pytań.

Z apteki wyszła kobieta bez maseczki, za to owinięta szalikiem tak, że wyglądała jak mumia.

– Następną osobą – warknęła moja rozmówczyni. – I proszę zachować dystans!

Kolejkowicze cofnęli się o krok.

– Zna pani Martę Kozłowską? – zapytałam. – Albo Patrycję Biezuńską?

– Chodziłam z nimi do klasy.

No tak. Głupio sformułowane pytanie.

– Chciałabym porozmawiać z paniami, które spotkały się przedwczoraj na kawie z Sonią Marchlewską. Z pani koleżankami z klasy. Czy ma pani z nimi kontakt? Może numer telefonu albo mejla?

Wpatrywała się we mnie bez ruchu. Przysięgam, że nawet nie mrugała.

– Chcemy dać duży materiał o Soni, zanim została gwiazdą – bredziłam dalej. – Wie pani, rodzinne miasteczko, szkolne przyjaźnie, sentyment do dawnych miejsc...

Gdy ze środka wyszedł mężczyzna, gestem pokazała następnej osobie, żeby ruszyła tyłek. Wciąż nic nie mówiła. Z sekundy na sekundę coraz bardziej czułam, że to był zły pomysł.

– Bardzo chętnie porozmawiam też z panią – brnęłam. – Nasz portal zamieszcza dużo zdjęć. Możemy panią zacytować z imienia i nazwiska albo anonimowo, jak pani będzie chciała.

Nadal milczała.

– Ale jeśli woli pani bardziej dyskretnie, możemy też porozmawiać przez telefon. – Uczepiłam się ostatniej deski ratunku.

Cisza.

Rany, niektórym ludziom nie da się dogodzić!

Trudno, uznałam, zbieram się do domu. Zrobię coś do jedzenia, a potem poszukam Marty Kozłowskiej i Patrycji Biezuńskiej w internecie. Tam jest wszystko.

Zaczęłam schodzić ze schodów. Odpuściłam sobie „do widzenia”, bo kobieta o wyrazie twarzy psa łańcuchowego i tak na nic nie reagowała.

Mijałam właśnie kolejkowicza na najniższym schodku, kiedy usłyszałam:

– Ja też byłam przedwczoraj z Sonią.

Odwrociłam się.

– Mogę się z panią spotkać dzisiaj o dziewiętnastej.

– Doskonale. Tylko...

– Niech pani przyjdzie do kawiarni. Tej samej.

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Kawiarnie były zamknięte. Wątpiłam, czy jest w Polsce choć jedna osoba, która o tym nie wie.

– Niech pani zastuka do drzwi z boku, tych dla personelu.

Pewnie, przyjdę i zastukam. Nawet jeśli nikt mi nie otworzy, muszę to sprawdzić. W końcu taki sobie wybrałam zawód.

– Dziękuję – powiedziałam, a gdy z apteki wyszedł facet i jego miejsce zajęły dwie kobiety, które utrzymywały, że są razem, poszłam do samochodu.

## Rozdział 15

Nie zaszedłam daleko.

– Franka, to ty?

Naprawdę lockdown byłby fajną sprawą, gdyby ludzie go przestrzegali, siedzieli w domach i pilnowali swojego nosa! Gdyby nikt nie czuł się w obowiązku odnawiać starych znajomości.

– O rany, to naprawdę ty! Nie wierzę własnym oczom.

Nie wiedziałam, kto to jest. Nie kojarzyłam nawet przy założeniu, że wyglądała tak, jak dwadzieścia lat temu jej matka.

– No nie rób takiej miny. To ja, Ewa!

Aha.

– Ewa Kałas... To znaczy, o rany, Ewa Grabowska. Już całkiem z przyzwyczajenia podaję nazwisko męża.

Ewa Grabowska. Siedzieliśmy razem w liceum w jednej ławce przez dwa lata albo coś koło tego. Nie wiem, jak jest w dużych miastach, ale w małych miasteczkach siedzenie z kimś w ławce oznacza, że przyjaźnisz się z tą osobą na śmierć i życie. Odwiedzacie się po lekcjach, wszędzie razem chodzicie, właściwie wszystko robicie razem.

Po dwóch latach w naszą przyjaźń na śmierć i życie wkraść się chłód i usiadłam w ławce z taką jedną Moniką.

– Słyszałam, że wróciłaś podobno już jakiś czas temu. Dlaczego nie zadzwoniłaś?

Nawet gdybym chciała – a nie chciałam! – nie miałabym jak. Kiedy ostatni raz rozmawiałam z Ewą, telefony komórkowe były wielkie jak cegły i mieli je tylko najważniejsi ludzie w państwie.

– Oj, Franka, musimy się koniecznie spotkać! Pogadać! O wszystkim.

– Jasne – powiedziałam.

– Daj mi swój numer telefonu, to do razu sobie wpiszę. – Wyciągnęła komórkę.

Miałam dwa wyjścia. Odwrócić się i odejść (i za dwa dni wiedziałoby o tym całe miasteczko) albo dać jej ten cholerny numer.

Na widok wizytówki gwizdnęła.

– Profeska! Prywatna detektywka. Coś słyszałam. U nas w miasteczku wiadomości szybko się rozchodzą.

No właśnie.

Wstukała cyfry w komórkę i zadzwoniła do mnie, a wizytówkę schowała do kieszeni.

– Teraz ty też masz mój. Musimy się koniecznie niedługo spotkać.

– Jasne. Oczywiście. Niedługo.

– To super – ucieszyła się. – Może we wtorek?

Pokiwałam głową, bo nie miałam innego wyjścia.

## Rozdział 16

Na obiad zrobiłam makaron z sosem. Miśka narzekała, czemu raz nie mogę ugotować czegoś innego, a ojciec jadł w milczeniu, obrażony, że zapomniałam o gazecie i krzyżówce. Powiedziałam, że przywiozę mu później, ale sama w to nie wierzyłam, dlaczego więc on miałby uwierzyć? Poza „Dziękuję za leki” nie odezwał się ani słowem przez całe popołudnie. Z dnia na dzień robił się coraz bardziej milczący.

Oni chyba też tak musieli mnie postrzegać – niewiele mówiłam poza okazjonalnym: „Umyj zęby”, „Tato, nigdzie nie wychodź” albo „O której masz lekcje?”. Cała ja, zamknięta w sobie, zasklepiona we własnej skorupie.

Żyliśmy tak obok siebie: trzy skorupiaki. Gdyby nie pies, pewnie w ogóle odczylibyśmy się mówić.

Do wieczora wyszukiwałam na pudelkach i innych portalach tego, co kiedykolwiek napisano o Soni Marchlewskiej. Chciałam poczuć, że pracuję, chociaż zgodnie z umową, którą zamierzałam dać do podpisania Łukaszowi, stawka obowiązywała bez względu na wynik śledztwa. Podkreśliłam ograniczenie, pozmyślałam po obiedzie, pobawiłam się z Lolą, przeszkadzając jej w spaniu, dwa razy wypuściłam ją do ogrodu i dwa razy wpuściłam z powrotem, zapewniając, że jutro pójdziemy na długi spacer.

Wyszedłam z domu o wpół do siódmej. Do kawiarni było pięć minut samochodem, ale chciałam się przejść. W drzwiach jeszcze obiecałam ojcu, że tym razem nie zapomnę krzyżówki, chociaż nie miałam pojęcia, do której są otwarte kioski. Ani czy w ogóle ich nie zamknęły w lockdownie.

Było już ciemno, ale jeszcze nie tak jak w nocy. Ot, zwykły dołujący jesienny wieczór. Pachniało zgnilizną, pod nogami szeleściły liście. Kiedyś chodziłam w takie wieczory na długie spacery. To był pomysł Marcina, żeby – jak mówił – „nie siedzieć tylko pod kołdrą przez całą zimę”. Braliśmy Lolę, która była wtedy jeszcze młoda i chciało jej się biegać, i zasililiśmy, patrząc, jak ciemnieje niebo.

Miałam wrażenie, że to wszystko działo się w innym życiu, w innej epoce geologicznej, jeszcze przed upadkiem meteorytu, który zniszczył dinozaury. I tego drugiego, który zniszczył moje życie.

Podeszłam do bocznego wejścia kawiarni, od strony parkingu, i zastukałam dwa razy.

Czułam się jak idiotka. Jakbym bawiła się w podchody, chociaż wyrosłam z tego trzydzieści lat temu. Jeszcze tylko brakowało, żeby ktoś spytał mnie o hasło.

Zaczęłam liczyć. Przy dziesięciu miałam zamiar odwrócić się i odejść, a następnego dnia jeszcze raz iść do apteki i zagadnąć tamtą kobietę, której imienia i nazwiska nadal nie znałam. Istniała szansa, że odpowie na jakies pytanie w przerwie między dyscyplinowaniem kolejkowiczów.

Przy sześciu usłyszałam kroki. Coś zaskrobało w zamku. Drzwi uchylily się i zobaczyłam wewnątrz czerń.

– Jest pani sama? – usłyszałam.

– Tak, i starałam się, żeby nikt mnie nie śledził – mruknęłam.

– Co?

Szpara w drzwiach zrobiła się szersza. Dałam krok do środka.

Wnętrze kawiarni wyglądało jak scena seansu spirytystycznego. Spowijała je ciemność, tylko na okrągłym, centralnie ustawionym stoliku paliła się świeca. Na krzesłach wokół niego siedziały dwie kobiety. Trzy miejsca były puste.

Ta, która otworzyła mi drzwi, tym razem nie miała wyrazu twarzy psa łańcuchowego.

– Z ulicy nic nie widać przy zaciągniętych roletach – powiedziała, gdy popatrzyłam na okno.

Podeszłam do stolika i bez przywitania opadłam na pierwsze wolne krzesło. Uznałam, że przy takim poziomie konspiracy „dobry wieczór” zabrzmiał zbyt banalnie. Kobieta z apteki usiadła obok.

Żadna nie miała maseczki, ale w świetle pojedynczej świecy ledwo widziałam ich twarze. Właśnie dzięki lekko rozmytym rysom nie było widać ostatnich dziesięciu lat, co pomogło mi rozpoznać w tych kobietach dziewczyny ze szkolnej gabloty.

– To może ja też zdejmę? – zaproponowałam, wskazując swoją maseczkę. – Czy wolą panie, żebym...

– Niech pani zdejmuje. – Machnęła ręką kobieta spod apteki, ta, która wcześniej tak broniła reżimu sanitarnego. – Przecież wiadomo, że ta cała pandemia to bzdura.

– Plandemia – dorzuciła Marta Kozłowska. – Chciała pani z nami porozmawiać.

– Ustaliliśmy, że wszystko opowiemy – dodała Patrycja Biezuńska.

– Chcemy pomóc – oznajmiła trzecia.

Bo przecież nie mogła powiedzieć: „Chcemy mieć swoje pięć minut na plotkarskim portalu”, prawda?

Powoli zdjęłam maseczkę i wsunęłam do kieszeni kurtki. Naprawdę nie wiedziałam, od czego zacząć. Miałam, oczywiście, przygotowane pytania. Najpierw kilka na rozgrzewkę. Czym panie się zajmują? Jak długo mieszkają panie w Brwinowie? Czy w liceum się przyjaźniłyście? Potem chciałam przejść do konkretów. Czy w liceum byliście blisko z Sonią? (Zakładałam, że odpowiedź będzie brzmiała „tak”, bo inaczej po co miały się spotykać po dziesięciu latach). Dlaczego umówiłyście się na to spotkanie? Z czyjej inicjatywy? Jeśli Soni, to dlaczego? O czym rozmawiałyście? Jak się zachowywała (była wesoła, smutna i tak dalej)? Miałam doświadczenie w zadawaniu takich pytań. Każdy lubi mówić o sobie. Jeszcze nie spotkałam wyjątku, który potwierdzałby regułę. Zamierzałam im na to pozwolić – położyć na stole komórkę, żeby wiedziały, że je nagrywam, na koniec zrobić kilka zdjęć (choć w tych ciemnościach nie miało to sensu), a potem dać im adres mejlowy prawdziwej Marty Kruk (ze strony portalu), żeby przysłały swoje zdjęcia, które chcą pokazać publicznie.

Po takiej rozgrzewce odpowiedziałyby na każde moje pytanie dotyczące Soni. Odpowiadałyby jedna przez drugą, na wyścigi, żeby się pochwalić, ile o niej wiedzą.

Zawsze tak było, ale nie tym razem. Coś mi nie pasowało. Coś nie pozwalało mi się skupić. Spojrzałam na puste krzesło.

– Przyjdzie ktoś jeszcze?

– Tak – odpowiedziała krótko ta, która mnie wpuściła.

– No dobrze. – Spróbowałam się skoncentrować. Wyjęłam komórkę, położyłam ją na blacie, naciśnęłam przycisk nagrywania. – Może zaczniemy od...

– Sonia się bała! – wypaliła Patrycja.

Kobieta spod apteki zmierzyła ją dokładnie takim samym spojrzeniem, jakim wcześniej straszyla kolejkę.

Nieźle. Jeszcze dobrze nie zaczęłyśmy, a już miałam punkt zaczepienia.

– Czego? – spytałam.

Popatrzyły po sobie. To były porozumiewawcze spojrzenia. Nie wiedziałam tylko, co mają znaczyć.

Kiedy cisza stała się już nie do zniesienia, zaproponowałam:

– To może od początku. Najpierw poproszę panie o nazwiska. Jeśli to ma pójść do artykułu...

Znowu na siebie popatrzyły, jakbym powiedziała coś głupiego.

– Wolimy pozostać anonimowe – odparła w końcu Patrycja Biezuńska.

Żaden problem – dwa nazwiska już znałam, a resztę mogłam sprawdzić w szkolnej bibliotece, ale i tak się zdziwiłam. Jeśli nie chodziło im o pięć minut sławy, to o co?

– Oczywiście. Spotkałyście się przedwczoraj...

– Tak, tutaj, w tym samym miejscu. – Kobieta spod apteki nie czekała, aż dokończę pytanie. – Siedzieliśmy przy stoliku w rogu. – Machnęła ręką w stronę ciemnego kąta.

Jej koleżanki wpatrywały się we mnie oczami błyszczącymi w świetle świecy. Skojarzenie z seansem spirytystycznym było tak silne, że spodziewałam się za chwilę usłyszeć głos ducha. To znaczy Soni Marchlewskiej.

– Dlaczego się spotkałyście?

Naprawdę długo trwało, zanim Marta odpowiedziała:

– Bardzo dawno się nie widziałyśmy.

I znowu zapadła cisza. Zaczynałam mieć tego dość.

– Dlaczego spotkałyście się z Sonią? – powtórzyłam. – Przez dziesięć lat jej wam nie brakowało i nagle odczuliście potrzebę, żeby się z nią zobaczyć?

– A pani dlaczego się spotyka ze znajomymi? – przystąpiła do kontrataku kobieta spod apteki.

Pokręciłam głową.

– Kto zaproponował to spotkanie? – zapytałam.

Znowu popatrzyły po sobie.

– Sonia odszukała nas na Facebooku – powiedziała w końcu cicho Marta. – To znaczy mnie, bo dziewczycyny zmieniły nazwiska. Ja mam podwójne.

– Właściwie nie powiedziała wprost, czemu chciała się spotkać. – Patrycja utkwiała spojrzenie w płomieniu świecy. – Rozmawialiśmy głównie o starych czasach i o tym, co słychać.

– O tym, co u nas – dorzuciła Marta. – Bo co u niej, można przecież przeczytać w każdej gazecie.

Siedziałam tu już od pół godziny, a nie dowiedziałam się niczego. No dobrze, z innej strony.

– Dlaczego uważacie, że Sonia się bała?

Znowu popatrzyły po sobie. Po co mnie tu w ogóle zapraszały, skoro nie mogły odpowiedzieć na jedno proste pytanie?!

– Czego się bała? Kogo? – spróbowałam jeszcze raz. – Uciekała przed kimś tamtej nocy? Mówiła wam coś?

Czemu wciąż milczały?

– Proszę pani, Sonia była naprawdę fajną dziewczyną – odezwała się w końcu kobieta spod apteki. Wyglądała równie groźnie jak wcześniej, ale już się jej nie bałam. – Dziennikarze wymyślają różne rzeczy. – Spiorunowała mnie wzrokiem. – A ona była zwykłą dziewczyną z małego miasteczka. Taką jak my.

– Zaszła daleko. Oczywiście, miała szczęście, ale naprawdę ciężko pracowała – dodała Patrycja. – Może opowiemy wszystko od początku...

Wreszcie!

– Trochę się zdziwiłam, kiedy Sonia napisała do mnie na Facebooku – podjęła Marta. – No ale w końcu ludzie po latach wracają w miejsca, gdzie spędzili młodość.

Jak dla mnie, to Sonia ciągle była jeszcze cholernie młoda, postanowiłam jednak nie przerywać – nie teraz, kiedy się rozkręcały.

– Najpierw zaprosiła mnie do znajomych, polubiła moje posty, a potem zaproponowała spotkanie.

– Kiedy to było?

– Dzisiaj jest środa... to jakoś tuż przed weekendem.

– Przed ostatnim weekendem? – Nie potrafiłam ukryć zdziwienia. Tak szybko się umówiły? Po dziesięciu latach niewidzenia?

– No tak. Sonia nalegała. Zresztą od wczoraj zamknięte są wszystkie knajpy. Uznałyśmy, że nie ma na co czekać.

– Było bardzo fajnie – wtrąciła Patrycja. – Opowiedziałyśmy sobie wszystko, o mężach i dzieciach... Wypytywałyśmy ją też o plotki z wielkiego świata, ale wie pani, ona była taką skromną, miłą osobą. Po-



wiedziała, że szkoda czasu na gadanie o tych ludziach, bo oni mają gówno w głowie. To znaczy, przepraszam, ale tak powiedziała.

– Cały czas pytała, co u nas – dodała Marta. – I o wspólnych znajomych.

– Ciągle oglądała się na ulicę. Kilka razy miałam wrażenie, że chce nam coś powiedzieć. – To była Patrycja. – Coś ważnego. Ale w końcu nic nie po-wiedziała.

Jak na komendę popatrzyły na zasłonięte roletą okno.

– A potem zaproponowała, żeby zmienić lokal, i jak wyszliśmy, też się ciągle rozglądała. A jak wsia-dałyśmy do samochodu...

– Jaki model? – przerwałam jej. Pomyślałam, że sprawdzę, jakie zabezpieczenia są w ofercie.

Popatrzyły na mnie tak, jakbym je zapytała, jak się po chińsku mówi: „Bardzo pani dziękuję za uro-czy wieczór”.

– Jakiś taki srebrny? Srebrny metallic chyba.

– Duży. Zmieściliśmy się wszystkie i wcale nie było ciasno.

Westchnęłam.

– I co było dalej?

– Pojechaliśmy do Podkowy. Tam też było sporo ludzi. Ostatni wieczór przed zamknięciem, wie pani.

Jasne. Spędziłam go, podobnie jak inne wieczory, stawiając pasjansa i surfując do granic internetu – wszystko, żeby nie myśleć.

– I tam Sonia też ciągle się rozglądała, a za każdym razem, kiedy ktoś wchodził, patrzyła na drzwi.

– Nie przeszkadzało wam to? – spytałam w końcu.

Kobieta spod apteki popatrzyła na mnie ostro.

– Wie pani, ona była bardzo znana. Może bała się paparazzich.

Nie bardzo wiedziałam, co na to odpowiedzieć. Mogłam się mylić, ale Sonia Marchlewska chyba nie była pieprzoną księżną Dianą!

– Było bardzo miło. Siedzialiśmy do zamknięcia, a potem Sonia zapłaciła cały rachunek. Myśmy nie chciały, wiadomo, ale ona się uparła.

– Trochę nam się zeszło przy wychodzeniu, bo jeszcze czekałyśmy na Natalię, która poszła do toalety. Jak już byliśmy na ulicy, ktoś zadzwonił do Soni. Rozmawiała tylko chwilkę i nagle zaczęła się spieszyć.

– Słyszały panie, z kim rozmawiała? O czym?

Patrycja wzruszyła ramionami.

– Odeszła kilka kroków, a potem powiedziała, że strasznie jej przykro, ale nie może nas odwiedzić do domu.

Z Podkowy do centrum Brwinowa jest pięć minut samochodem, za to pieszo z pół godziny. W nocy, w październiku? Nieładnie, Soniu, nieładnie!

– Tam koło kolejki jest postój taksówek, więc nie było problemu. Ucałowaliśmy się. Sonia kazała nam obiecać, że niedługo znowu się spotkamy... – Patrycji załamał się głos. Ukryła twarz w rękach.

– Widziałyście może, czy nie jechał za nią jakiś samochód?

Znowu popatrzyły po sobie.

– Tak. Nie – odpowiedziały równocześnie.

– Coś chyba przejeżdżało, ale to duża ulica – wyjaśniła Marta. – Wie pani, nie zwraca się na takie rze-czy uwagi.

Wiem. Dopiero, kiedy jest za późno.

– Opowiedziałyśmy już to wszystko policji.

Zdziwiłam się. Policja już zdążyła je przesłuchać? Czyli to, co mówił Łukasz, nie wynikało tylko z rutynowego przekonania, że zawsze najpierw należy podejrzewać męża?

– O śmierci Soni dowiedzieliśmy się wczoraj rano... – zaczęła Marta.

– Ja się dowiedziałam – zaznaczyła z naciskiem kobieta spod apteki. – Jak tylko zobaczyłam w wiadomościach, zadzwoniłam do dziewczyn.

– Byłyśmy w szoku.

– Jesteśmy w szoku!

– Bo wie pani, to niesamowite. Nie widzimy się dziesięć lat, potem Sonia dzwoni, spotykamy się i następnego dnia ona nie żyje.

Tak. Mniej więcej coś takiego chodziło mi właśnie po głowie – że to niesamowite.

– Przypominacie sobie coś jeszcze? Jakies szczegóły?

Pokręcili głowami w tym samym wspólnym rytmie, co wcześniej. I wtedy ktoś zapukał w szybę.

Drgnęłam. Poczulałam się, jakbym popełniała jakieś przestępstwo. W sumie właśnie tak było.

– To pewnie Natalia. – Kobieta spod apteki podeszła do drzwi, uchyliła je, a potem otworzyła szeroko.

Czwarta koleżanka Soni Marchlewskiej strząsnęła wodę z parasolki. Była niska i drobna.

– Co za zgnilizna – powiedziała. – Całkiem się rozpadało.

Popatrzyła na nas, oświetlone pojedynczą świecą.

– Co jest grane? – spytała. – Mówiliście, że ma być jakaś dziennikarka.

– No właśnie jest. – Kobieta spod apteki pokazała mnie palcem.

Tamta przyjrzała mi się uważnie, a ja uświadomiłam sobie, że ją znam. I wcale nie ze szkolnej gabloty.

– To nie jest żadna dziennikarka. Ona ma prywatną firmę detektywistyczną. Rozwodziła moją siostrę.

Wszyscy. Wszystko. Wiedzą.

– Powiedzieliście jej wszystko? – Natalia nie spuszczała ze mnie wzroku.

– No coś ty! – zachnęła się kobieta spod apteki.

I to dopiero było ciekawe. Przed chwilą twierdziła coś przeciwnego.

Marta poderwała się z krzesła.

– Bardzo panią przepraszamy – powiedziała do mnie – ale lokal jest nieczynny z powodu pandemii.

– Musi pani wyjść. Jak najszybciej. – Patrycja podeszła do drzwi i otworzyła je szeroko. – Naraża nas pani na wysoką karę.

– Niepotrzebnie nas pani okłamała – dodała ponuro kobieta spod apteki.

Zrozumiałam, że następnym razem po leki dla ojca będę musiała pojechać do Milanówka.

Gdy wyszłam, zatrzasnęły za mną drzwi.

Sonia Marchlewska czegoś się bała. Czego? No i czego bały się jej koleżanki z liceum? A zwłaszcza Natalia...

## Rozdział 17

– Córeczko, muszę z tobą porozmawiać.

Trzymałam w dłoniach kubek z kawą i gapiłam się za okno. Było jeszcze wcześniej. Obudziłam się przed świtem, co jesienią, kiedy słońce wstaje koło siódmej, nie jest takie trudne, ale mnie zdarzało się rzadko. Zwłaszcza kiedy nie musiałam zrywać Miśki rano do szkoły.

Ojciec już nie spał. Podobno starzy ludzie nie potrzebują wiele snu.

Spróbowałam zebrać myśli, siłą woli, bo kofeina nie dopłynęła jeszcze do mózgu.

– Nie musisz już dzwonić w sprawie tej recepty, tato. Może uda się załatwić wizytę u lekarza, zanim znowu skończą ci się leki.

Ojciec machnął ręką.

– Nie o tym. O Michasi.

– Później, dobrze, tato? Muszę teraz zadzwonić.

Popatrzył na mnie, jakbym powiedziała coś przykrego, ale ja miałam już dosyć obchodzenia się z każdym jak z jajkiem.

W tym domu nie ma ani jednego miejsca, gdzie mogłabym spokojnie porozmawiać – to znaczy tak, żeby nikt z domowników mnie nie słyszał. Niby stare budow-nictwo, a dziwnie akustyczne, bo dźwięk przenika przez drzwi i ściany. Błogosławiłam swoje dziecko, że na ostatnie urodziny zażyły sobie wypasione słuchawki. Były drogie, ale opłaciło się. Zwariowałabym, gdybym musiała słuchać takiej muzyki, jakiej słuchają teraz nastolatki.

W kapiach i z kubkiem kawy w ręku wsiadłam do samochodu, po czym wybrałam numer Łukasza.

– Czego ona się bała? – zapytałam bez żadnego wstępu.

– O, Franka. Miło cię tak słyszeć z samego rana. O której mogę wpaść z pieniędzmi?

– Później. Dowiedziałam się wczoraj, że Sonia czegoś się bała.

Westchnął. Dyskretnie.

– Już ci mówiłem, właściwie nie mieliśmy ze sobą kontaktu. Jak się człowiek rozwodzi, wspólni znajomi robią się nagle strasznie ostrożni i wybierają jedną ze stron. Większość naszych stanęła po stronie Soni. W końcu to ona była gwiazdą.

– To może wiesz, czego boi się Natalia?

– Natalia? Strasznie przeskakujesz z tematu na temat.

Bo nie mam czasu się certolić, pomyślałam z irytacją. Został mi jeszcze milion spraw do załatwienia.

– Natalia – powtórzyłam chłodno.

– Nie znam nikogo o tym imieniu. To pewnie jakaś znajoma Soni, skoro natrafiłaś na nią podczas śledztwa. A jak ma na nazwisko?

Jeszcze nie ustaliłam, tyle że o tym nie musiał wiedzieć.

– Ale to znaczy, że praca idzie pełną parą, nie? – ucieszył się. – Powiesz mi, czego się dowiedziałas?

– Jeszcze za wcześniej – uciełam.

– Ale jeśli Sonia czegoś się bała, albo kogoś... to chyba dobra wiadomość, prawda? – spytał. – To znaczy, że nie jestem jedynym podejrzanym.

– Zadzwonię, jeśli będę potrzebować więcej informacji.

Wróciłam do domu i obudziłam Lolę, żeby ją wypuścić, następnie wpuścić z powrotem i nakarmić. Miśce dałam jeszcze pospać, ojcu powiedziałam, że porozmawiam z nim później, a potem zamknęłam się w łazience i weszłam pod gorący prysznic.

Musiałam pomyśleć.

To jednak prawda, że pod prysznicem najlepiej robi się dwie rzeczy: śpiewa i myśli. Ta pierwsza to kwestia akustyki, może ta druga też. W każdym razie stojąc w strugach wody, uświadomiłam sobie, że nie zapytałam Łukasza o bardzo ważną rzecz.

Wytarłam byle jak włosy, owinęłam się ręcznikiem i chwyciłam telefon.

– Podwójnie miło cię usłyszeć tak rano. To kiedy mogę...

– Jeszcze jedno pytanie: kto prowadzi śledztwo w sprawie śmierci twojej żony?

– Poczekaj chwilę, gdzieś tu mam wizytówkę. Komisarz Zagórski. Jan Zagórski z komendy głównej. A po co ci ta informacja? Nie sądzę, żeby policja coś powiedziała prywatnej...

Rozłączyłam się bez pożegnania.

## Rozdział 18

Komisarz Jan Zagórski był całkiem przystojny, nawet na zdjęciu ze strony internetowej, chociaż robił je chyba ten sam fotograf, który strzelał fotki przestępców do akt karnych. Młody, młodszy ode mnie o ładnych parę lat. Nawet w mundurze wyglądał na takiego, który wolny czas spędza z kumplami na siłowni, a nie z żoną przed telewizorem.

Sprawdziłam jeszcze media społecznościowe. Tak jak myślałam – kumple, nurkowanie, trenowanie do IronMana („bo kilka maratonów mam już za sobą”). Przeszukałam konta parę miesięcy wstecz i nie było mowy o żonie, dziewczynie czy przyjaciółce. Na żadnym zdjęciu nie miał obrączki na palcu.

Pomyślałam, że zaryzykuję, co mi w końcu szkodzi. Włożyłam krótką spódnicę, ale nie na tyle krótką, żeby Zagórskiemu na sam mój widok zaświeciła się czerwona lampka, wyszczuplające rajstopy i botki na obcasie, które ładnie wydłużają nogi. Darowałam sobie szminkę, bo i tak będę musiała być w maseczce, za to porządnie zrobiłam oko.

W komendzie musiałam poczekać – Zagórski był na jakimś zebraniu. Nigdzie mi się nie spieszyło. Założyłam nogę na nogę i zatopiłam wzrok w telefonie, żeby nie wyjść na nadmiernie zainteresowaną tym, co dzieje się wokół mnie.

– W czym mogę pani pomóc? – usłyszałam w końcu.

Był niższy niż na zdjęciu, ale bardziej barczysty. I zdecydowanie przystojniejszy (powinni zwolnić tego fotografa).

Uśmiechnęłam się i przedstawiłam. Widziałam, jak Zagórski zmienia się na twarzy, kiedy usłyszał „prywatna detektywka”. Nikt w policji nie lubi prywatnych detektywów.

– W czym mogę pani pomóc? – powtórzył.

– Czy możemy porozmawiać w jakimś mniej – rozejrzałam się po korytarzu – hałaśliwym miejscu?

– Jestem dzisiaj bardzo zajęty...

– Pięć minut. – Wstałam i obciągnęłam spódnicę.

Nie powstrzymał się przed zerknięciem. Żaden heteroseksualny facet w jego wieku by się nie powstrzymał.

Udawałam, że tego nie widzę.

– Mogę panią zaprosić do biura, ale naprawdę na pięć minut.

Uśmiechnęłam się jeszcze raz i pozwoliłam się poprowadzić korytarzem prosto do jego gabinetu. Tam usiadł za biurkiem, a mnie wskazał krzesło.

– Przyszła pani w sprawie Soni Marchlewskiej, prawda?

Przystojny i inteligentny. W sumie szkoda, to ostatnie zawsze utrudniało mi pracę.

– Jej mąż panią przysłał?

Pokręciłam głową.

– Proszę się nie obawiać. Przychodzę z naprawdę prostą sprawą. – Opowiedziałam mu o zleceniu od firmy ubezpieczeniowej. – Chciałabym się tylko dowiedzieć, ile policja może mi udostępnić ze swojego raportu – zakończyłam.

– Chyba pani żartuje. Nic nie możemy udostępnić.

Odchyliłam się do tyłu i założyłam nogę na nogę. Może Sharon Stone w Nagim instynkcie to ja nie byłam (no i w październiku jest za zimno na chodzenie bez majtek), ale na ułamek sekundy znowu ślizgnął mi się wzrok.

– Nic?

– Nie ma takiej możliwości. To otwarte śledztwo. A zresztą nawet gdyby było zamknięte... Pani jest osobą prywatną.

– No tak, ale może...

– Nie ma takiej opcji.

Wstałam i obchodząc jego biurko, poszukałam w jednej kieszeni, potem w drugiej. Wreszcie wyjęłam wizytówkę i podałam mu.

– Dziękuję – powiedział. – Ale niczego pani nie udostępnię. A teraz przepraszam. – Spojrzał na zegarek.

– Wszystko jasne – zapewniłam go. – Pomyślałam sobie jednak, że może miałby pan ochotę na piwo któregoś wieczora. Zresztą nie musi być piwo.

– Pani... – zerknął na wizytówkę – pani Franko... Franka to od Franciszki?

Uśmiechnęłam się najładniej, jak umiałam.

– Nie. Mój tata chciał po prostu mieć syna.

– Aha. Pani Franko, nic pani nie powiem.

– Nie ma sprawy. Ja po prostu proponuję piwo.

– Serio?

Moja mina miała go utwierdzić w przekonaniu, że jak najbardziej. Podobnie jak spódnica, która leciutko podjechała do góry, kiedy oparłam się o biurko.

– Właściwie czemu nie. – Uśmiechnął się. Też się postarał.

– No właśnie, czemu nie. A poda mi pan swój numer telefonu? – Wyciągnęłam komórkę.

Pokręcił z uśmiechem głową, a potem podyktował mi ciąg cyfr.

Wszystko starannie zapisałam.

– Właściwie to niech pan nie czeka na mój telefon, tylko sam do mnie zadzwoni.

Obdarzyłam go na koniec jeszcze jednym uśmiechem i wyszłam.

Aż mi twarz ścierpła od tego idiotycznego uśmiechania się. Rozluźniłam ją dopiero, kiedy wsiadłam do samochodu. Wyjęłam komórkę i spojrzałam na wpisany ciąg znaków: cyfr i liter.

Myślałam, że będę musiała poprosić Zagórskiego o kawę, bo nagle spadło mi ciśnienie, albo o szklankę wody – cokolwiek, co skłoniłoby go do wyjścia z pokoju, a mnie umożliwiło zerknięcie na jego biurko. Bo nawet policjanci są przecież ludźmi i większość trzyma hasła do służbowego mejla gdzieś pod ręką. Ale nie było takiej potrzeby. Zagórski okazał się człowiekiem nawet bardziej niż inni znani mi glińiarze – hasło miał przyklejone taśmą w dolnym prawym rogu na obudowie monitora.

## Rozdział 19

Przepis, który kilka lat temu zakazał kupowania telefonów na kartę bez rejestracji, może i utrudnił życie przestępcom, chociaż trudno powiedzieć, na ile skutecznie, na pewno jednak utrudnił życie prywatnym detektywom. Nie da się już anonimowo zadzwonić, teoretycznie każdy może sprawdzić, do kogo należy aparat.

Teoretycznie tak, ale nikt tego nie robi. Nawet policjanci.

Miałam nadzieję, że to się nie zmieniło.

W domu nie traciłam czasu na przebieranie się w dres. Pobiegłam od razu do sypialni, wysunęłam najniższą szufladę szafki nocnej i wyjęłam aparat na kartę. Był zarejestrowany na moje nazwisko. Może gdybym użyła go do przerzutu narkotyków albo handlu ludźmi, ktoś by w końcu poszukał właściciela w rejestrach, ale ja zamierzałam tylko odbyć jedną niewinną rozmowę.

Najpierw jednak na mojej normalnej komórce otworzyłam stronę komendy głównej i znalazłam kilka potrzebnych nazwisk oraz numerów telefonów. Wybrałam jeden z nich.

– Aspirantka Zalewska od komisarza Zagórskiego – powiedziałam do słuchawki. – Komisarz prosił przekazać, że czeka ciągle na ten monitoring.

Kobieta po drugiej stronie linii chciała wiedzieć, jaki monitoring.

– Z domu Soni Marchlewskiej – wyjaśniłam.

– Dodzwoniła się pani do złego wydziału – odpowiedział oschły głos.

– Jezu, przepraszam – zaszczębiotałam. – Jestem nowa. Komisarz Zagórski podał mi numer, proszę chwilkę poczekać, zaraz sprawdzę...

Wyjęłam z kieszeni jakiś stary paragon i zaczęłam nim szeleścić przy mikrofonie.

– Cholera – mruknęłam do słuchawki. – To nie to. Proszę jeszcze chwilkę zaczekać.

Westchnienie po drugiej stronie było tak potężne, że prawie poczułam na twarzy podmuch powietrza.

– Niech pani zadzwoni na wewnętrzny dwieście dwanaście.

Rozłączyła się. Nikt w komendzie głównej nie ma cierpliwości do nieogarniętych aspirantek.

Zadzwoniłam tam, gdzie mi kazała, i powtórzyłam swój tekst.

– Już przesłaliśmy do Jagiełły – usłyszałam.

– A możecie jeszcze raz do Zagórskiego? Bardzo proszę. – Postarałam się nadać głosowi błagalne brzmienie, co nie było łatwe. – Bo mnie opieprzy, że niczego nie potrafię załatwić.

– Jasne – odparła kobieta, z którą rozmawiałam, i też się rozłączyła.

Na komendzie głównej nikt nie ma cierpliwości do nikogo.

Teraz musiałam tylko jak najszybciej ściągnąć pliki z konta Zagórskiego, a potem wykasować tego mejla, żeby się nie zorientował.

Zbiegłam na dół do salonu i włączyłam laptopa. Trup potrzebował strasznie dużo czasu, żeby wystartować.

Ojciec siedział przy stole i rozwiązywał krzyżówkę. Nie miałam pojęcia, skąd ją wziął. Postanowiłam nie pytać. Dzięki temu mogłam ludzić się nadzieją, że posłał po nią Miśkę albo poprosił sąsiadkę, a nie poszedł sam.

Połączyłam się z internetem, weszłam na stronę komendy głównej, odszukałam zakładkę „poczta”, wstukałam adres mejla Zagórskiego i przepisawszy z telefonu podejrzanego wcześniej hasło, zaczęłam

ściągać pliki. Na szczęście ktoś je podzielił na kawałki, bo gdyby to było jedno nagranie, ściągałabym je przez tydzień.

Byłam już w połowie, kiedy zadzwoniła moja komórka.

– Co ty odpierdalasz?!

Nie poznawałam numeru (w końcu go przecież nie zapisałam), ale głos owszem.

– Przeszliśmy na ty? – spytałam tak lekko, jak tylko potrafiłam. – Tak szybko?

Zerknęłam na ekran. Zostało jeszcze trochę ponad czterdzieści procent.

– Wydzwaniasz po komendzie, przedstawiasz się jako aspirantka, a potem coś ściągasz z mojego konta? Skąd ty w ogóle masz hasło?! Wiesz, ile grozi za włamanie do policyjnego komputera?

Obejrzałam się na ojca. Wyglądał na pochłoniętego krzyżówką.

– Chcesz się dzisiaj spotkać? – Zniżyłam głos. – Wieczorem?

– Wiesz, że możesz za to pójść siedzieć na parę lat?

– Za wieczorne spotkanie? – zdziwiłam się.

– Nie udawaj idiotki!

Przez chwilę szybko oddychał, był naprawdę wkurzony. Pozwoliłam mu odparować.

– To co, dzisiaj wieczorem? – spytałam. Trzydzieści sześć procent.

– Po co ci nagrania z monitoringu Marchlewskiej? Na pewno nie do tego idiotycznego raportu, o którym wciskałaś mi kit.

– O dwudziestej? – spróbowałam jeszcze raz. – Czy wolisz później?

– Ktoś cię wynajął?

– Ja jestem wolna. Możemy się spotkać, o której chcesz.

Westchnął.

– Jezu, dziewczyno, co ty wyprawiasz?

Dwadzieścia dwa procent. Dwadzieścia jeden. Dwadzieścia...

– Mówiłaś serio? – spytał w końcu.

– Serio.

– Dwudziesta?

– Może być.

– U ciebie czy u mnie?

Osiemnaście procent.

– U ciebie – odparłam. – O wpół do dziewiątej.

– Jak chcesz. Wyślę ci adres esemesem. A tego mejla kasuję.

Rozłączył się.

Siedemnaście procent. Czyli na dysku miałam osiemdziesiąt trzy.



## Rozdział 20

Zagórski mieszkał na Ursynowie, w bloku z płyty. Tak jak wydedukowałam, sam – nawet bez kota, za to z kilkoma roślinami doniczkowymi. Mieszkanie było małe, czyste i zadbane, a pewno czystsze i bardziej zadbane niż stary dom mojego ojca. A może posprzątał je na moją cześć? Nie wiedziałam, zresztą nie obchodziło mnie to.

Na pewno na moją cześć otworzył przyzwoite wino – białe, schłodzone do temperatury, którą lubię najbardziej.

Na początku próbował coś mówić na temat ściągniętych nagrań z monitoringu, ale bardzo szybko przekonałam go, że mamy lepsze rzeczy do roboty niż gadanie. Ciało też miał czyste i zadbane, a ja nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz uprawiałam seks.

Było cudownie. Najbardziej udany wieczór od... Też nie pamiętałam od kiedy.

Umówiliśmy się, że następnego dnia go powtórzymy.

Ludzie nie powinni się tak umawiać. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie następny dzień.

## Rozdział 21

Znam mnóstwo nudnych prac. Na przykład rozwieszanie prania albo praca w ogródku: nudna do porzygania, jednak żadna z nich nie da się porównać z przeglądaniem zapisu z monitoringu. Do tego w nagraniach był cholerny bałagan. Pliki zostały pocięte na odcinki kilkugodzinne, nie zawsze równej długości, a tytuły nie miały nic wspólnego z dniem ani czasem nagrania.

Willę otaczał biało tynkowany mur, za wysoki, żeby z zewnątrz dało się zajrzeć do ogrodu. Nie widziałam bramy. Powinnam ruszyć tyłek sprzed komputera, pojechać do Warszawy i obejrzyć wszystko na własne oczy, ale willa, mur i brama przecież nie uciekną. Nie spodziewałam się tam znaleźć zbyt wielu śladów, a chciałam obejrzeć nagrania przed bzykaniem się z Zagórskim – na wypadek gdyby seks sprawił go w dobry humor i zechciał mi odpowiedzieć na jakieś pytania.

No więc mur był solidny, brama też. Do tego kamera, której okiem patrzyłam teraz na mało ekscytujące betonowe płyty chodnika i przemykających po nich od czasu do czasu ludzi. Przy układaniu paszansa na komputerze z pewnością wydzieliłoby mi się więcej adrenaliny, nie odrywałam jednak wzroku od ekranu – nie darowałabym sobie, gdybym coś przegapiła i musiała to oglądać jeszcze raz. Włączyłam szybkość podglądu na dwieście procent, ale minuty nadal nieznośnie się wlekle.

– Mamo?

Zerknęłam szybko na Miśkę i z powrotem odwróciłam głowę do komputera.

– Mamo, co robisz?

Podeszła bliżej i stanęła za moimi plecami.

– Pracuję.

– Ty zawsze tylko pracujesz.

Nieprawda. Czasami udaję.

– Tak, kochanie. Na pewno słyszałaś już kiedyś takie słowo „rachunki”. To jest coś, co muszę płacić co miesiąc.

– Nie musisz zaraz być taka złośliwa.

Westchnęłam.

– Nie jestem złośliwa. Czy możesz stanąć obok, a nie za moimi plecami?

– I wszystko ci przeszkadza!

Westchnęłam jeszcze raz. Obejrzałam się. Na ekranie i tak nic się nie działo.

– Masz jakąś konkretną sprawę, kochanie?

– Potrzebuję nowych legginsów na gimnastykę. Te są już za ciasne.

Trzecie w tym roku. Ale to przecież nie jej wina, że rośnie.

– Jak tylko skończę, wejdziemy na stronę Decathlonu i coś sobie...

– Chyba nie mówisz poważnie! Legginsy z Decathlonu?!

– Co jest w nich złego?

– Wszyscy będą się ze mnie śmiali.

– O! A z czego nie będą się śmiali?

– No z jakichś normalnych, Adidas albo Nike...

Dlaczego tak jest, że nie potrafię normalnie porozmawiać z własnym dzieckiem i już po kilku zdaniach zalewa mnie krew? Dlaczego rozmowa, która zaczyna się niewinnie, zawsze kończy się kłótnią?

– Teraz chyba ty żartujesz! Musisz mieć markowe legginsy na gimnastykę? W czasie lockdownu?

– No i co z tego, że w czasie lockdownu? – mruknęła.

Odwrociłam się z powrotem do ekranu. Przegapiłam dobre dwie minuty. Jeśli w tym czasie ktoś stał przed domem Soni Marchlewskiej z transparentem „zabiję cię”, nigdy się tego nie dowiem, bo żadna siła nie zmusi mnie, żeby obejrzeć to jeszcze raz.

– Możemy o tym porozmawiać później? – spytałam najuprzejmiej, jak potrafiłam.

– Ty nigdy nie masz dla mnie czasu!

Chciałam powiedzieć, że to nieprawda. Że jest moim jedynym dzieckiem i zawsze mam oraz będę miała dla niej czas. Czas i chęć, by rozmawiać. Ale po pierwsze byłoby to kłamstwo, a po drugie już poszła i trzasnęła drzwiami do swojego pokoju.

Gapiałam się w ekran. Mogłam to robić i jednocześnie rozmyślać nad tym, jak złą jestem matką.

Przejechał samochód i ktoś znowu przeszedł chodnikiem. Ktoś wysoki, w spodniach i bluzie z kapturem. Połowa Polski tak wygląda.

Jestem beznadziejną matką. Moja własna córka doprowadza mnie do szału. Nie mam pieniędzy. Nie mam faceta...

Nagranie w tym pliku się skończyło. Włączyłam następne. Nie patrzyłam już, czy data jest wcześniejsza czy późniejsza. Jak coś zauważę, cokolwiek, zanotuję dzień i godzinę. Jeśli w ogóle coś zauważę. Coś, co nie będzie kolejnym staruszkiem z pieskiem lub facetem w bluzie.

Zrobiło się jasno, potem ciemno i znowu jasno. Przeszła jedna osoba, następnie para i kobieta z wózkiem. Nie zobaczyłam nikogo, kto czaiłby się pod bramą albo patrzył znacząco w stronę kamery.

Facet w bluzie, facet z pieskiem, para trzymająca się za ręce, taksówka, a w niej Sonia Marchlewska. Wsiadła, podeszła do furki i zniknęła z mojego pola widzenia. Dla porządku zapisałam dzień i godzinę, chociaż pewnie nie miało to żadnego znaczenia. Ludzie w końcu jeżdżą taksówkami, a Sonia nie wyglądała na przestraszoną. Nie obejrzała się za siebie, chociaż było już ciemno. Zwyczajny powrót z imprezy, na której pewnie wypila za dużo, żeby sama prowadzić. Odpowiedzialne obywatelskie zachowanie.

Znowu facet z pieskiem. Zerknęłam na godzinę. Środek nocy. Pies musiał mieć sraczkę albo staruszek cierpiał na bezsenność. I jeszcze raz gość w bluzie z kapturem. Ten pewnie wracał z imprezy, jak Sonia wcześniej.

A potem nic. Nic i nic, aż do rana, kiedy przejechało kilka samochodów – godzina szczytu w ulicze Soni Marchlewskiej najwyraźniej wyglądała podobnie jak u mnie. Do tego facet z pieskiem. Dwa razy. I facet w kapturze. Raz.

– Córeczko, muszę z tobą porozmawiać.

Jezu!

– Koniecznie teraz, tato? Mam dużo pracy.

Zerknęłam na datę tego nagrania. Sprzed tygodnia.

– To ważne. Chodzi o Michasia.

O, teraz ktoś przeszedł. I zniknął.

– Tak, tato, już mówiłeś.

Usłyszałam, jak ojciec przysuwa sobie krzesło. Nie odrywałam wzroku od ekranu. Niepotrzebnie, bo nic się nie działo, ale chciałam sprawiać wrażenie osoby bardzo zapracowanej. Ostatnią rzeczą, na jaką miałam ochotę, były rozmowy wychowawcze o tym, jak złą jestem matką. Już to wiedziałam.

Poczułam, jak ojciec nachyla się bliżej. Pachniał zbutwiałymi liśćmi i – nie wiadomo dlaczego – dymem, ale nie papierosowym, tylko takim z ogniska. Pachniał jak jesień. Nie chciałam myśleć o zimie...

– Sprawdzasz nagrania z monitoringu?

– Tak, tato.

Facet z pieskiem. Musi kochać tego kundla albo okropnie się nudzi w domu.

– Córeczko, z Michasią dzieje się coś niedobrego.

O, odmiana. Para. Chyba się kłóca, bo ona wymachuje rękami, a on wygląda, jakby na nią krzyczał. Niestety, żadne nie było Sonią Marchlewską.

– Dlaczego tak sądzisz, tato?

– Zamyka się w swoim pokoju.

Westchnęłam.

– Tato, posłuchaj...

– Na klucz!

– Tato, posłuchaj. Miśka ma piętnaście lat, prawie szesnaście. Jest podręcznikową nastolatką. Potrzebuje odrębności, autonomii.

Facet w bluzie z kapturem.

– Ona tam je wszystkie posiłki.

– Tato, nie jesteśmy dla niej towarzystwem, tylko dinozaurami. Ona chce być ze swoimi koleżankami, a teraz może być z nimi tylko przed ekranem komputera. Który stoi w jej pokoju.

Usłyszałam, jak ojciec ze świstem wciąga powietrze.

– Jak jeszcze był tu Marcin, to wyglądało inaczej.

Z trudem powstrzymałam się przed tym, żeby ukryć twarz w dłoniach, a potem walnąć czołem w blat biurka. Jak jeszcze był tu Marcin, cały świat wyglądał inaczej!

– Myślę, że po prostu powinniśmy ją zostawić w spokoju – powiedziałam powoli. – Przecież nic złego się nie dzieje, tato. Nie jest tak, że spotyka się z nie wiadomo kim, pije albo pali trawę. Siedzi w domu...

– W swoim pokoju.

– Wiem, że to nie jest zdrowe, ale coś musi robić. A przecież i tak nie może wychodzić.

Ojciec pochylił się jeszcze bardziej. Zapach zbutwiałych liści nabrał odcienia stęchlizny.

– Córeczko, ja naprawdę nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Gapiłam się w ekran. Facet w kapturze. Dzień czy noc. Ciągłe łazi pod domem Soni Marchlewskiej. I zawsze idzie tylko w jedną stronę...

– Co, tato?

Zadałam to pytanie, ale sama nie słyszałam swoich słów. Bo chyba wreszcie wiedziałam, czego bała się Sonia!

– Michasia ma nagie zdjęcia na swoim telefonie!

## Rozdział 22

Kiedy byłam w ciąży, chodziliśmy na długie spacery. Pod koniec już niechętnie, przynajmniej ja, bo Marcin nalegał (niby dla zdrowia), ale to nie on telepał się jak kaczką, nie on wiedział, że jak się poślizgnie na zamrożonej kaluży, to się nie pozbiera, i nie jemu żadna kurtka nie chciała się zapiąć na ogromnym brzuchu.

Chodziłam jednak. Chodziłam i narzekałam, więc chyba tylko po to, żeby wreszcie uciąć moje narzekanie, Marcin zapytał kiedyś, jak wytłumaczę naszemu dziecku, skąd wzięło się na świecie.

– Ty jej wytłumaczysz – powiedziałam. Już wiedzieliśmy, że to dziewczynka. – Nigdzie nie jest powiedziane, że nie może się tego dowiedzieć od tatusia.

Chyba się przestraszył, bo milczał przez chwilę.

– Ale chyba nie będę musiał opowiadać, jak bzykałem jej mamę – rzucił w końcu.

– Coś tam będziesz musiał.

– Po to są ojcowie – mruknął.

Dokładnie, po to są ojcowie, pomyślałam. A ty gdzie teraz jesteś, złamasie? Teraz, kiedy cię potrzebuję?

Nie wiedziałam, czy Miśka siedzi już głęboko w temacie „seks”, czy mam jeszcze czas. Dręczyło mnie też pytanie, jakim cudem ojciec zajrzał do komórki wnuczki, skoro ma problem z obsługiwaniem własnej. Może Miśka pokazywała mu swoje zdjęcia z lata – dla ojca dziewczyny w szortach oraz bluzkach przed pępek są nagie. Panika ogarniała mnie zarówno na myśl o konieczności rozmowy z córką, jak i z jej dziadkiem.

Odezwała się moja komórka. Zadzwoiła w najlepszym możliwym momencie. Gdyby to było w filmie, nikt by nie uwierzył, ale życie to nie film.

– Przepraszam, tato, muszę odebrać.

Nie dałam mu czasu na odpowiedź, tylko wcisnęłam zielony przycisk i warknęłam do słuchawki:

– Franka Kruk!

– Cześć, Franko.

Wypuściłam powietrze z płuc.

– Łukasz. Właśnie miałam do ciebie dzwonić.

Białe kłamstwo – nieszkodliwe, a pożyteczne jak kawa bez cukru.

– Udało ci się czegoś dowiedzieć?

Jeśli praca prywatnego detektywa ma w ogóle jakieś zasady, to jednej należy przestrzegać z żelazną konsekwencją: nie wolno się za bardzo spieszyć. Klient nigdy, przenigdy nie może mieć wrażenia, że coś da się zrobić szybciej, niż powiedziałaś. Jak mówisz „tydzień”, nie dzwoń z raportem po czterech dniach. To więcej niż brak profesjonalizmu – to strzał w stopę. Nawet jeśli klient jest twoim byłym chłopakiem i zna cię jak zły szeląg.

– Na razie tylko bardzo wstępnie. Nie miałam zbyt wiele czasu.

– Franko, nie dzwonię po to, żeby cię przynaglać. Tylko obiecałem przywieźć ci wczoraj pieniądze, ale zatrzymał mnie kontrahent. Przepraszam.

Ależ drobiazg.

– Może wpadniesz... – Zastanowiłam się chwilę. – Czekaj, jest piątek... Jutro?

– A dzisiaj? Jutro wyjeżdżam i wracam po weekendzie.

Pomyślałam o czekającej mnie rozmowie z ojcem i zrobiło mi się słabo na samą myśl o atmosferze, która po niej zapanuje. Nie, to naprawdę nie był dobry dzień na spotkanie z Łukaszem. Chociaż nie aż taki zły na spotkanie z gotówką.

– Mam lepszy pomysł: podjadę i zabiorę cię na kolację – oznajmił nagle, po czym urwał. Milczał przez sekundę, może dwie. – Cholera, zapomniałem o tym pieprzonym lockdownie. To może u mnie w biurze?

– Mam jeszcze mało informacji – ostrzegłam. – Boję się, że będziesz rozczarowany.

– Po spotkaniu z tobą? Na pewno nie!

Zamilkłam, bo na chwilę mnie zatkało. Czy on właśnie próbował mnie poderwać? Jeszcze raz? Po tylu latach?

– Przyjedź o dziewiętnastej – dodał i podyktował mi adres.

Rozłączyłam się i pokręciłam głową.

– Franko?

Mój ojciec, znany też jako Hubert „Buldog” Różycki, jak złapie temat, to nie puści. Chociaż widzi, że jestem zajęta.

– Tato, teraz pracuję.

– Ty zawsze pracujesz, a my musimy koniecznie porozmawiać, co zrobić z Michasią.

W tym momencie ktoś zadzwonił do furtki. Tak, gdyby to był film, producent już dawno porwałby scenariusz na strzępy.

Wyjrzałam przez okno. Ewa! Czy ludzie w tym miasteczku nie mają telefonów i nie umawiają się wcześniej, że wpadną? Cóż, każdy pretekst był dobry, żeby nie rozmawiać z ojcem.

– Przepraszam cię, tato. To pilna sprawa.

Tym razem się obraził. Chwała niech będzie niebiosom!

– Ty i twoje pilne sprawy... – wymamrotał, po czym dźwignął się z fotela i ruszył schodami na górę.

Wysłałam do furtki. Miałam nadzieję, że spytam po prostu, o co chodzi, i nie będę musiała zapraszać Ewy na kawę.

– Nie działa wam domofon? – zapytała bez żadnego „cześć”. – Bo ja znam takiego faceta. Ostatnio u nas naprawiał.

Machnęłam ręką.

– Ojciec się zdrzemnął i nie chce mu przeszkadzać. Nie najlepiej się czuje.

Tak, wiem, jestem wyrodną córką i najgorszym człowiekiem na świecie. Nie chce mi się spotkać z koleżanką ze szkoły, więc zasłaniam się wydumanym złym samopoczuciem ojca. No ale nie znam nikogo, kto chociaż raz w życiu by tego nie zrobił.

– O rany, tak mi przykro. A macie dobrego lekarza? Bo ja znam...

Podziękowałam jej za troskę.

– Ale jakbyście potrzebowali, natychmiast dawaj znać. Jest taka lekarka w okolicy, która świetnie się troszczy o rodziców mojej znajomej, a oni mają już prawie sto lat. Nie pamiętam, jak się nazywa, ale mogę zadzwonić i wziąć jej numer.

Podziękowałam jeszcze raz. Naprawdę miałam nadzieję, że szczerze przejęta stanem ojca, pożegna się i sobie pójdzie, ona jednak tam stała i nakręcała na palec pasmo włosów. Miała długie włosy, za ramiona, ufarbowane na jasny blond. W liceum nosiła kolor „polska mysz”.

– Słuchaj, właściwie miałabym do ciebie prośbę – odezwała się po chwili.

Nic nie odpowiedziałam. W końcu poprosiła, żebym słuchała, nie?

– Skoro jesteś teraz prywatną... detektywką – przy ostatnim słowie zniżyła głos, jak przy przekleństwie – pomyślałam, że może mogłabyś...

Czekałam. Życie detektywa to czekanie.

– No wiesz... chciałabym... Czy mogłabyś coś dla mnie sprawdzić?

Nie odzywałam się. Z doświadczenia wiem, że milczenie pozwala załatwić wszystkie sprawy o wiele szybciej – nikt nie wytrzymuje ciszy na dłuższą metę.

– Bo mój mąż... No wiesz.

Wiedziałam. Przed pandemią zdrady małżeńskie przynosiły mi znaczną większość dochodu. Uwielbiałam niewiernych mężów, żony zresztą też.

Nie podejrzewałam, żeby sprawa Soni Marchlewskiej zajmowała mi dzień i noc. Spokojnie mogłam wstąpić w grafik jeszcze jedno zlecenie, do tego proste. Sprawy rozwodowe zawsze okazywały się proste. Trzeba korzystać z dobrej passy, bo nie wiadomo, kiedy będzie następna. I czy w ogóle.

– Będę potrzebować zdjęcia twojego męża – zaczęłam. – Przybliżonego planu dnia, godzin i miejsc pracy, wszystkich spotkań służbowych. Może ma kalendarz, który mogłabyś mi sfotografować... – Urwałam. To była lista rzeczy, o które zawsze proszę klientów od potencjalnej zdrady małżeńskiej, tylko zapomniałam, że jest już nieaktualna. Lockdown... Spotkania służbowe to przeszłość, a w kalendarz można sobie wpisać najwyżej rozmowy na Zoomie. – Czy on ma jakieś spotkania służbowe? – spytałam. – Wychodzi do pracy? Czym w ogóle zajmuje się twój mąż?

– Ma firmę ogrodniczą, to znaczy mamy. Razem ją prowadzimy. Specjalizujemy się w ziołach doniczkowych. Gdybyś kiedyś chciała...

O niczym innym nie marzę. Wyschnięte zioła, których nikt nigdy nie będzie podlewał, dodadzą mojemu domowi jeszcze więcej sztyku.

– No dobrze – przerwałam jej. – Zioła w doniczkach pewnie nie mogą poczekać na koniec pandemii i twój mąż wychodzi do pracy...

– Razem wychodzimy. Mówiłam: prowadzimy tę firmę wspólnie.

– Razem wychodzicie. A czy on gdzieś wychodzi bez ciebie?

– No... teraz to nie. Przecież nie wolno.

– A wcześniej?

– No... wcześniej różnie. Wiesz, to jest ciężka praca. Niby doniczka dużo nie waży, ale jak musisz je nosić i przestawiać cały dzień, to pod wieczór człowiek ma już dosyć. Marzy tylko o wannie i łóżku. – Zachichotała.

Co ja mówiłam? Że zdrady są proste?

– Ewa, to kiedy ten twój mąż cię zdradza?

– Zdradza? – zdziwiła się.

Westchnęłam.

– Myślałam, że mam sprawdzić, czy cię zdradza.

– No coś ty! – Roześmiała się po raz kolejny. Nie pamiętałam, żeby w liceum była taka wesoła. – Przecież ja nic takiego nie powiedziałam.

To prawda, nie powiedziała. Ugryzłam się w język. Powinna słuchać uważniej.

– My się bardzo kochamy, naprawdę – mówiła dalej, jakbym musiała to wiedzieć. – Może i trudno w to uwierzyć, ale po dwudziestu latach między nami naprawdę jest wspaniale. Daj Boże każdemu.

Tak, daj Boże każdemu.

– Dobrze, zacznijmy od początku. Chcesz, żebym...

– Piotrek się martwi. Od kilku tygodni. Nic mi nie chce powiedzieć, ale ja widzę, że coś jest nie tak.

– Rodzice? – zasugerowałam. – Dzieci z poprzednich związków? Była żona?

To wszystko są dobre powody do zmartwień – dobre oraz częste.

– No coś ty! Jaka żona? Jakie dzieci? Piotrek nie ma innych dzieci.

Nie ma takich, o których ty wiesz, kochana.

– Ani innej żony. Przecież myśmy się pobrali niedługo po maturze. A jego rodzice mieszkają obok nas, w sąsiednim domu. Wszystko u nich w porządku, nie ma powodu do zmartwień. On po prostu... mało się odzywa. Wraca do domu i siada przed telewizorem, a potem idzie spać.

Jak miliony mężczyzn w tym kraju, a ich żony nie uważają tego za powód do niepokoju.

– Rozmawia przez telefon w łazience? Albo w innym miejscu, tak żebyś nie słyszała? Może wychodzi z nami na dwór?

– A, tak! – Ucieszyła się, jakby było z czego. – Kilka razy.

Westchnęłam.

– Jak jeszcze poza tymi rozmowami telefonicznymi i siedzeniem przed telewizorem przejawia się zmartwienie twojego męża? – zapytałam, kryjąc irytację.

– „Twojego męża” – Zaśmiała się. – Mówisz tak, jakbyś go nie znała. To przecież Piotrek Kałas. Chodził z nami do szkoły, rok wyżej.

Faktycznie, pamiętałam go.

– Więc czym się przejawia to zmartwienie Piotrka?

– Franka – Ewa ściszyła głos – coś się z nim dzieje, coś złego. A ja po prostu nie wiem co.

To do mnie przemówiło. Żony znają swoich mężów. Doskonale widzą każdą zmianę, chociaż nie zawsze potrafią powiedzieć, o co chodzi.

– No dobrze, prześlij mi aktualne zdjęcie Piotrka. Adres masz na wizytówce, którą ci dałam. A co do zaliczki...

– Spróbuję też sfotografować jego kalendarz. Ma taki zwykły, papierowy – weszła mi w słowo. – On nie zapisuje niczego w komórce. Zawsze mówi, że jak ktoś mu ukradnie telefon, to straci nie tylko sprzęt, ale i informacje.

Bardzo rozsądnie.

– Jeśli chodzi o zaliczki...

– Bardzo ci dziękuję, Franka. Nie byłam pewna, czy powinnam cię o to prosić, wiesz? – Urwała. – Zawsze byłaś najlepszą uczennicą w klasie. Pamiętasz, jak mi dawałaś ściągę?

Milczałam.

– No właśnie. Jak to się wszystko potoczyło. My tu zostaliśmy i próbujemy się urządzić najlepiej, jak potrafimy, a ty hulasz w wielkim świecie.

Każde z tych słów było przesadą. Nie hulałam, tylko wyszłam za męża i urodziłam dziecko, czyli zrobiłam to, co większość kobiet. Znalazłam też sobie pracę, którą kiedyś uważałam za fajną, a teraz nie potrafię jej zmienić. I nie w wielkim świecie, tylko w Warszawie. No dobrze, może i kiedyś hulałam, ale to się już skończyło. Teraz robię to, czego najbardziej się obawiałam: tkwię w miejscu. W miasteczku, w którym wszystko jest takie miłe, wygodne i przytulne, że człowiek na początku nie chce się stąd ruszyć. A potem okazuje się, że nie może.

– Trochę się bałam – mówiła dalej moja koleżanka z ławki – ale pomyślałam: przecież to moja Franka. Nie widziałyśmy się tyle czasu, ale to nieważne. Ludzie aż tak bardzo się nie zmieniają. W każdym razie doszłam do wniosku, że tobie łatwiej będzie czegoś się dowiedzieć. Przecież wszystkich tutaj znasz. – I nagle, zupełnie znienacka, uściskała mnie. – Muszę już lecieć. Ale widzimy się w poniedziałek, nie?

Przesłała mi jeszcze w powietrzu całusa i poszła do samochodu, który był o wiele nowszy, czystszy i bardziej zadbane niż mój.

Wróciłam do domu. Przemarzałam, stojąc przy furtce bez kurtki.

Piotrek Kałas, chłopak, którego pamiętałam z podstawówki, obecnie przedsiębiorca sprzedający rozmaryn i tymianek, czymś się martwił. Pewnie pieniędzmi. Wszyscy się martwią kasą, na przykład ja. A może uzależnił się od twardego porno (podobno w pandemii to częstsze, niż można sobie wyobrazić) albo naprawdę miał kochankę i martwił się, że nie może się z nią spotykać. To podobno też częste w pandemii.



Ja natomiast martwiłam się, co mam powiedzieć Łukaszowi za... Zerknęłam na komórkę. Za półtorej godziny. Przecież coś powiedzieć musiałam, najlepiej coś głębokiego, inteligentnego i świadczącego o tym, że nie wywalił pieniędzy w błoto. Musiałam jakoś zatrzeć to wrażenie po fatalnym pierwszym spotkaniu po latach.

Postanowiłam więc mu opowiedzieć, co zobaczyłam na kamerze przed domem Soni. W końcu zwyciężenie (i przejrzanie!) policyjnych materiałów wypadło całkiem niezłe. I jeśli nie świadczyło o mojej skuteczności, to już sama nie wiedziałam, co miałyby o niej zaświadczyć.

Rany boskie, półtorej godziny, a ja musiałam jeszcze wziąć prysznic, zrobić makijaż i uprasować ciuchy! Po moim trupie pozwoliłbym drugi raz zobaczyć się w dresie i z nieumytymi włosami.

Ojciec zawołał coś do mnie ze swojego pokoju, ale go zignorowałam. Skoro jest już obrażony, to bardziej nie będzie, a ja nie miałam czasu na dyskusje. Pognałam do łazienki, potem przekopałam szafę. Wykluczyłam wszystkie spodnie przed kolano, bo miałam go czarować intelektem i sprawnością w wynajdywaniu informacji. Po namyśle w ogóle wykluczyłam spodnie. Oraz džinsy, które świetnie nadawały się na spacer z Lolą i do pracy w terenie, ale na spotkanie służbowe już niekoniecznie. Zostały mi jedne przyzwoite spodnie – czarne i wełniane. Podniosłam je do lampy, żeby zobaczyć, czy mole nie zrobiły dziur, bo nie pamiętałam, kiedy ostatnio miałam je na sobie. Rozstawiłam deskę do prasowania, włączyłam żelazko, przyniosłam z kuchni kubek wody i czystą ścierkę. Postanowiłam, że raz będę wyglądać porządnie i profesjonalnie. Uprasowałam spodnie w piękny kant i tylko w jednym miejscu zrobiłam zagniotkę.

Potem rzuciłam się do szafy w poszukiwaniu góry. Pomyślałam, że jeśli włożę czarny sweter z dekoltem (w końcu nie jadę na spotkanie zakonnic), będę potrzebować biżuterii. Idealny byłby łańcuszek od Marcina. Dał mi go na ostatnie urodziny. Ostatnie, które spędziliśmy razem...

Zważyłam łańcuszek w dłoni, a potem wrzuciłam go na dno szuflady, po czym włożyłam kolczyki i zakląłam z bólu – dawno ich nie nosiłam. Trudno, podobno kobieta musi się poświęcać dzień i noc. Rozłożyłam sweter na desce do prasowania.

Z dołu przyszła Lola. Postąpiła chwilę w drzwiach sypialni, popatrzyła, jak się miotam, a potem wskoczyła na łóżko i ułożyła się na świeżo uprasowanych spodniach.

## Rozdział 23

Spóźniłam się, ale nie tak bardzo. Poza tym zadzwoniłam z drogi i uprzedziłam go, więc się nie liczy. Łukasz powiedział, żebym zaparkowała w garażu firmy – dał już znać strażnikowi. Doceniłam ten gest, chociaż w pandemii znalezienie miejsca do parkowania przestało być problemem. Chwilę jeszcze trwało, zanim znalazłam maseczkę.

Biurowiec był ciemny, tak jak całe pieprzone miasto, ale na dole, za kontuarem większym od mojego salonu, siedział recepcjonista. Ciekawe, jak Łukasz unikał mandatów za nieprzestrzeganie lockdownu. Może po prostu wliczył je w koszty.

Recepcjonista dał mi kartę magnetyczną, która przeprowadziła mnie przez bramkę i pozwoliła uruchomić windę. Wjechałam na siedemnaste piętro.

Tu też było mroczno – światło paliło się tylko w otwartych drzwiach na końcu korytarza. Wymarzona sceneria horroru, w którym bohaterka idiotka pcha się w tarapaty, chociaż wie, że właśnie tam, na końcu korytarza, czai się potwór.

Tym razem nie było żadnego potwora, tylko Łukasz. Wyszedł z biura, pomacał po ścianie i zapalił światło na korytarzu.

– Też musimy oszczędzać elektryczność, jak wszyscy.

Miał na sobie garnitur, ale bez krawata, a kołnierzyk był rozpięty. Typowy obrazek biznesmena, który pracuje do późna. Może nawet zbyt typowy.

Nie lubię, jak ktoś próbuje mnie do czegoś przekonać. Marcin zawsze mówił, że kiedy mnie namawia, żebym poszła w prawo, to na bank pójść w lewo. Nie lubię też, kiedy ktoś atakuje mój mózg obrazami. Skuteczny biznesmen, dobry szef, który nigdy nie zostawia firmy, kapitan, który ostatni schodzi z pokładu i pracuje nawet w lockdownie, w piątek wieczorem. Mógłby jeszcze zdjąć marynarkę i podwinąć rękawy, ale w pozbawionym ludzi budynku było chłodno.

To wrażenie przyszło, kiedy weszłam do jego biura. Biurko, skórzane fotele i obowiązkowy obraz nietak-całkiem-nieznanego-polskiego-artysty na ścianie idealnie pasowały do typowego gabinetu, ale na przysuniętym do okna stole stała kolacja. Biały obrus, dwa komplety sztućców, lniane serwetki, biała porcelana, przykryte półmiski (nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego na żywo – najwyraźniej nie bywam w tych miejscach, co trzeba) i świece, chociaż wszystkie lampy były zapalone. W naczyniu z lodem chłodziła się butelka wina, a przy moim nakryciu leżała elegancka biała koperta. Gruba.

Zatrzymałam się. Przez chwilę nic nie mówiłam.

– Zawsze wołałaś białe, ale jeśli coś się zmieniło...

– Jestem samochodem.

Właśnie wygłosiłam najbardziej idiotyczny tekst, jaki można sobie wyobrazić w takiej sytuacji. Łukasz spojrzał na mnie, jakby nie był pewny, czy to rzeczywiście ze mną umówił się na spotkanie.

– Mój kierowca cię odwiezie.

Nie żebym nie lubiła dobrego białego wina, zwłaszcza kiedy nie muszę za nie płacić, ale to wszystko robiło się zbyt skomplikowane.

– Jutro rano będzie mi potrzebny samochód...

Łukasz dotknął kołnierzyka, gdzie normalnie miałby węzeł krawata.

– Odwiezie cię twoim samochodem i wróci uberem. Nie powinnaś spacerować sama wieczorem z taką sumą.

Usiadłam i schowałam kopertę do torby, a potem zdjęłam ze stołu lnianą serwetkę, wykrochmaloną tak, że sama stała, i położyłam sobie na kolanach.

Łukasz przez cały czas nie ruszył się z miejsca.

– Franko, myślisz, że to niestosowne?

Parsknęłam.

– Niestosowne? Kiedy ty się nauczyłeś takich słów?

– Przez te dwadzieścia lat, od kiedy mnie rzuciłaś.

Znowu ta sama zagrywka? Chciał we mnie wzbudzić wyrzuty sumienia? Czy on nie wiedział, że ja już nie mam sumienia?

Kiedy usiadł, oparłam dłoń o stół po obu stronach talerza.

– Nie jest to bardzo stosowne, używając twojej terminologii – powiedziałam. – Umówiliśmy się na spotkanie biznesowe.

– Jeśli ci to nie odpowiada, możemy usiąść tam. – Pokazał ręką biurko i dwa fotele po przeciwnej stronie biura.

Powoli podniosłam przykrycie. Z talerza uniosła się para i poczułam boski zapach. W końcu kimże ja jestem, żeby odmówić zaproszenia na biznesową kolację?

## Rozdział 24

Zagórski zadzwonił, kiedy siedziałam na tylnym siedzeniu swojego samochodu. Z przodu siedział szofer, który wcale nie wyglądał jak szofer ze znanych mi filmów – żadnej czapki z daszkiem, tylko zwykły garnitur.

Wypiliśmy z Łukaszem półtorej butelki wina i jedynie myśl, że jutro będę cierpieć, powstrzymała mnie od wypicia więcej.

Opowiedziałam mu o nagraniach z kamer. Spytał, czy mogę mu je przesłać, a ja odmówiłam (wino osłabiło moją czujność, ale nie aż tak, żebym zapomniała, jakie mogą być skutki rozsyłania na prawo i lewo policyjnych nagrań). Poprosił chociaż o zdjęcie, jedną klatkę z tym facetem w bluzie, ja zaś odparłam, że najpierw muszę sprawdzić swoje źródło. A może zresztą powiedziałam coś innego – po skończeniu pierwszej butelki nie mogłam sobie dokładnie przypomnieć. Łukasz wspomniał, że przez kilka dni będzie w podróży służbowej. Pandemia pandemią, ale on nie może zostawić interesów, bo po lockdownie nie będzie miał do czego wracać. Zapewnił, że mogę do niego dzwonić o każdej porze dnia i nocy, jeśli dowiem się czegoś ciekawego. Tak powiedział: o każdej porze dnia i nocy.

A potem rozmawialiśmy o życiu. O jego pracy, o tym, jak zaczął zarabiać więcej, i jeszcze więcej, i jak kilka razy miał szczęście i w końcu wyłądował tu, gdzie jest. O mojej córce i jak trudne są nastolatki. O moich rodzicach, o jego rodzicach.

– Jaka była Sonia? – zapytałam.

Skrzywił się.

– No nie mów. Proszę, nie opowiadaj mi, że była rozkapryszoną gwiazdką, z którą ożeniłeś się, bo miała ładną pupę.

Pokręcił głową.

– Sonia była rozkapryszoną gwiazdką i rzeczywiście miała piękną pupę, ale ożeniłem się z nią, bo... Miała w sobie to coś, co sprawiało, że chciało się z nią być. Magnetyzm. Jak na ciebie spojrziała, czułeś się wybrańcem. A jak powiedziała, że kocha, mogłeś od razu umierać i iść prosto do nieba. – Popatrzył mi prosto w oczy. – Dużo czasu zajęło mi zrozumienie, że pod tym nie kryje się nic.

Banalna historia.

Łukasz chyba czytał w moich cholernych myślach.

– Tak, wiem, co chcesz powiedzieć i czego nie mówisz przez grzeczność. Takich historii jest wiele. W końcu czytelnicy brukowców chcą mieć swoją codzienną porcję plotek. Nasza też byłaby taka: najpierw piękny ślub, potem rozczarowanie i rozwód. Ja szybko zszedłbym z łamów pisemek, bo nikt nie interesuje się warszawskim biznesmem, a Sonia pewnie za kilka miesięcy znowu wyłądowałaby na okładce, z innym facetem. Byłoby bardzo banalnie, gdyby nie ten wypadek.

Obracałam w dłoni kieliszek.

– A może to naprawdę nie był wypadek?

– Nie wiem. Nie jestem policjantem ani detektywem, nie mam pojęcia, co tam się wydarzyło. Po prostu próbuję żyć dalej, tak normalnie, jak tylko się da. Rozumiesz?

Tak, rozumiałam, i to bardzo dobrze.

– A jaki był Marcin? – zapytał zniechęcony.

Wyprostowałam się.

– Serio? Przecież to dla niego cię rzuciłam.

– Franko, to było dwadzieścia lat temu.

Poprawiłam się na krześle.

– Marcin był czuły i zawsze w dobrym humorze – zaczęłam powoli. – Był doskonałym ojcem, miał o wiele lepszy kontakt z Miśką niż ja. Z każdym potrafił się dogadać, nawet z moim ojcem, a pewnie sam pamiętasz, że to nie jest łatwe.

– Pamiętam. – Uśmiechnął się.

Nie powiedziałam mu wszystkiego. Na przykład tego, że w ostatnich miesiącach coraz częściej się kłóciliśmy. Że nie mogliśmy się zgodzić w najprostszych sprawach. Że przestaliśmy ze sobą spać.

– Tęsknisz za nim?

Pokiwałam głową.

– Wiesz, co jest najgorsze? – spytał. – Ja też tęsknię za Sonią. Byliśmy w separacji, mieliśmy się rozwieść, a i tak za nią tęsknię. Każdego dnia.

Dolał nam wina, a potem nie rozmawialiśmy już o Marcinie i Soni, tylko o wspólnych znajomych i ogólnie o dupie Maryni. Dobrze gadało się z kimś, kogo znało się tak dawno temu, w innym życiu, kiedy świat był prostszy i my byliśmy prości.

Teraz, na tylnym siedzeniu samochodu, gdy ogrzewanie wreszcie zaczęło działać, było mi ciepło i błogo. Jechaliśmy przez puste ulice, a potem ciemną podwarszawską drogą, nie za szybko ani nie za wolno, bez gwałtownych hamowań i przyspieszeń. Oczy same mi się zamykały, ale nie chciałam, żeby kierowca musiał mnie budzić pod bramą. Było spokojnie, cicho i czułam się bezpiecznie.

I to właśnie wtedy zadzwonił Zagórski.

– Franka, pamiętasz, że się na dzisiaj umówiliśmy?

Cholera jasna! Kurwa mać! Obiecałam, że do niego przyjadę. Obiecałam mu przyjemne bzykanko, a potem wystawiłam go do wiatru. I zupełnie o tym zapomniałam.

– Janek, posłuchaj... Miałam spotkanie służbowe. Dopiero teraz wracam.

– Czy ty piłaś? Dziwnie mówisz.

– Ja? No skąd, co ty. Ja nigdy...

– Jak cię drogówka dupnie, to nie mam zamiaru cię bronić.

Nie czułam się na siłach tłumaczyć mu, dlaczego sama nie siedzę za kierownicą.

– Szkoda, że nie zadzwoniłaś i nie uprzedziłaś.

– Janek, przepraszam. Wyskoczyła mi nagle sprawa. Umówmy się na jutro.

– Nie wiem, czy będę mógł. Odezwę się.

Chyba chciał się rozłączyć.

– Poczekaj chwilę. – Próbowałam zebrać myśli. Wino w moim organizmie nie pomagało. – Na tych nagraniach sprzed willi Soni Marchlewskiej... jest taki wysoki facet. Przechodzi tamtędy wiele razy.

Przez chwilę milczał.

– Wiesz, że przeginasz, prawda? – powiedział w końcu.

– Nieważne. Janek, sprawdźcie go. Co ci szkodzi. Wysoki facet w bluzie z kapturem.

– Robi coś? Włamuje się do garażu? Wspina się na ogrodzenie?

Pokręciłam głową, a kiedy zorientowałam się, że nie może tego zobaczyć, mruknęłam „nie”.

– To jeszcze ciągle wolny kraj. Można chodzić ulicą, ile się chce. W bluzie z kapturem albo bez kaptura.

– Janek, posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj! Przychodzisz mi do roboty, wykradasz nagrania. Nie masz pojęcia o śledztwie, o procedurach. Naoglądałaś się filmów i wydaje ci się, że wiesz, jak się zbiera dowody i typuje podejrzanych. I do tego...

Urwał. Byłam mu naprawdę wdzięczna, że nie dodał: „Obiecujesz seks, a potem się nie zjawiasz”.

– Nic – mruknął. – Po prostu to zostaw. Dobranoc. – Rozłączył się.

Odechciało mi się spać. Posiedziałam chwilę z komórką w dłoni, a potem wybrałam jego numer.

– Zmieniłaś zdanie? – spytał. Nie sprecyzował, czy ma na myśli seks jeszcze dziś wieczorem, czy śledztwo w sprawie wypadku Soni.

– Czy możesz mi podać jej adres?

Nie zrozumiał, o co mi chodzi. Wyjaśniłam.

– I co, sama zamierzasz sprawdzić tego chłopaka?

Coś takiego chodziło mi po głowie.

– Po prostu chcę wiedzieć, gdzie mieszkała.

– Franka, zapomnij o tej sprawie. Po prostu przestań się tym zajmować.

– Podaj mi tylko adres. O nic więcej cię nie proszę.

– Nie mam zamiaru. Słyszałaś o RODO?

Nie to, kurwa, nie! Walnęłam w czerwony przycisk i natychmiast zadzwoniłam do Łukasza. Przynajmniej on się ucieszył, kiedy usłyszał mój głos.

– Właśnie się zastanawiałem, czy nie jest za późno, żeby dzwonić – powiedział. – Chciałem się dowiedzieć, czy wszystko w porządku i czy dojechałaś.

Nie, na telefon nie było za późno, ale na bawienie się w small talk już tak, więc bez ogródek poprosiłam go o adres Soni.

## Rozdział 25

Podobno piekło to inni. Niestety nie mogłam sobie przypomnieć, czy na pewno powiedział to Sartre, bo akurat dla mnie piekłem był ból głowy.

Nie zmyłam wieczorem makijażu, więc nie wiedziałam, czy opuchliznę wokół oczu zawdzięczam kosmetykom czy niewyspaniu. Nie miało to jednak znaczenia, bo nawet w łazience z jednym małym okienkiem światło było zbyt jasne, żeby długo przyglądać się sobie w lustrze.

Zeszłam na dół, ostrożnie trzymając się poręczy. Zerknęłam na drzwi od pokoju Miśki – zamknięte, ale nie miałam siły zastanawiać się, co się za nimi dzieje. Chciałam tylko napić się kawy. I wody. Najpierw kawy. Chyba.

Ojciec siedział w fotelu przy oknie. Nie rozwiązywał krzyżówki ani nie czytał gazety (zresztą najświeższa gazeta w tym domu była sprzed kilku dni). Sprawdzał coś na komórce.

Jakaś małutka część mojego skacowanego mózgu zdziwiła się na ten widok, bo ojciec nie uznawał komórki za przedmiot do zdobywania wiadomości, tylko za niewygodny telefon. Przestraszyłam się, że znowu przypomni sobie o niedokończonych rozmowach na temat zdjęć Miśki, ale na razie do niej nie wrócił.

– Nakarmiłem już Lolę – powiedział zamiast tego, a ja się skrzywiłam, bo chociaż nie podniósł głosu, moja odporność na dźwięki była bardzo obniżona.

– Dziękuję, tato – wychrypiałam.

– I wypuściłem ją.

Odwróciłam się w stronę kuchni.

– Moim zdaniem nie powinnaś wychodzić na cały wieczór i wracać pijana.

Obróciłam się wokół własnej osi. Niestety zrobiłam to zbyt szybko i zakręciło mi się w głowie. Oparłam się o framugę drzwi. Ojciec cały czas mi się przyglądał.

– Po pierwsze nie wróciłam pijana, tylko... – Zrozumiałam, że nie dokończę tej myśli, bo była zbyt skomplikowana. – Jestem dorosła – powiedziałam więc tylko i poczłapałam do kuchni.

Włączyłam ekspres. Zapomniałam, jak on okropnie hałasuje, chociaż miało to dobre strony: nie słyszałam, co ojciec mówił z pokoju.

Wypiłam kawę i dwie szklanki wody, zrobiłam sobie gorącą kąpiel, potem jeszcze jedną kawę, wzięłam też dwa paracetamole i włożyłam dzinsy oraz sweter. Musiałam wyjść.

Ojciec cały czas siedział w fotelu i czekał. Wyglądał jak pajak w sieci.

– Co zamierzasz zrobić z Michasią? – spytał w końcu, kiedy szukałam frotki do włosów.

– Jezu, tato, nie wiem.

– To twoja córka.

Frotka była w kuchni koło ekspresu.

– Tato, wszystkie nastolatki ekscytują się seksem.

Ojciec zrobił minę, jakbym powiedziała „kurwa”.

– Ty pewnie też taki byłeś, tylko nie pamiętasz – dodałam.

– Doskonale pamiętam! I mieliśmy inne sprawy na głowie. To były ciężkie czasy.

– A kiedy są lekkie... – westchnęłam. – Tato, muszę wyjść.

– To twoja córka – powtórzył, jakby się bał, że przeoczyłam ten fakt.

– Tak, a ty jesteś moim ojcem i oboje was muszę wyżywić. Lolę też. – Usłyszałam uderzenia ogona spod stołu, ale Lola nie ruszyła się ze swojego posłania. – I dlatego muszę teraz iść i zarobić jakieś pie-

niądze.

– Potrzebujesz pieniędzy, córeczko? – obudził się mój ojciec. – Bo ja mam trochę odłożone...

– Trzymaj na czarną godzinę. Jeszcze nie nadeszła. Dostałam nowe zlecenie, tylko muszę...

Na samą myśl o tym, ile rzeczy mam do załatwienia, znowu zrobiło mi się niedobrze. Spojrzałam za okno – mżyło, z czego akurat się ucieszyłam, bo oznaczało to, że pod domem Soni nie będzie przygodnych spacerowiczów.

– Chodź, Lola. – Poklepałam się po udzie. – Idziemy do roboty.

– Przecież ci mówiłem, że już ją wypuściłem – powiedział z wyrzutem ojciec.

Wymyśliłam sobie, że wezmę Lolę na smycz i przespacerujemy się pod domem Soni kilka, a może i kilkanaście razy. Kobieta z psem nie budzi podejrzeń nawet w czasie deszczu. Psu nie wytłumaczysz – musi wyjść, to musi. Nikt nie obejrzy się za nami dwa razy i nie przyczepi się żaden patrol, że niby nie wolno poruszać się bez celu na ulicach. Za to ja będę rozglądać się za wysokim facetem w bluzie z kapturem na głowie.

Oczywiście dopuszczałam myśl, że okolica może być pełna takich facetów i że więcej niż jeden będzie tamtędy przechodził, ale tak naprawdę w to nie wierzyłam. Na nagraniach, które ukradłam Zagórskiemu, pojawiał się tylko jeden. Zawsze ten sam.

Łatwiej wymyślić, niż zrobić. Lola nie chciała wyjść spod biurka ani wsiąść do samochodu i wcale jej się nie dziwiłam. Sama nie miałam ochoty łązić po deszczu. Później, kiedy już zaparkowałyśmy w willowej dzielnicy daleko od centrum, na skraju miasteczka, uznała, że skoro nie może spać pod biurkiem w domu, pośpi w aucie. Kiedy dotarliśmy na ulicę Soni, ja byłam wkurwiona, a Lola przemoczona. Co chwila spoglądała na mnie wzrokiem, od którego krajało się serce.

– Pół godzinki – zapewniłam ją. – Nic ci nie będzie, masz gęstą sierść.

Jak umrę na zapalenie płuc, to będzie twoja wina, powiedziało jej spojrzenie.

Przeszłyśmy w jedną stronę. Nie spieszyłam się i pozwalałam Loli wachać, co chciała, chociaż ona wcale nie miała ochoty wachać – wolałaby spać. Sama rozglądałam się dookoła, ale dyskretnie, spod kaptura.

Problem w tym, że oprócz nas na tej niewielkiej uliczce w Podkowie Leśnej nikogo nie było. Jak okiem sięgnąć, w prawo i w lewo ciągnęły się tylko wille. Większość miała mur od strony ulicy, a te bez muru – gęsty żywopłot, żeby nie dało się zajrzeć na posesję. Furtki były pozamykane, okna też, a w niektórych domach nawet okiennice. Dzielnica duchów albo umarłych – zależy, jak na to spojrzeć.

Skreśliłam w prawo i natknęłam się na staruszka z psem. Wyglądał nieco inaczej niż na nagraniach – teraz miał na sobie ciemną od wilgoci kurtkę, a z futra jego towarzysza kapalo. Pies obwąchał grzecznie Lolę, a ja skinęłam mężczyźnie głową. Z chęcią spytałabym go o wysokiego faceta, ale wolałam nie wzbudzać podejrzeń. Chciałam po prostu wyglądać jak jeszcze jedna wariatka, która łązi z psem bez względu na pogodę.

I wtedy go zobaczyłam.

Szedł szybko, miał na głowie kaptur, ręce w kieszeniach i nisko opuszczoną głowę. Dokładnie jak ktoś, kto próbuje przejść z punktu A do punktu B. Nic nadzwyczajnego, ale ja od razu go rozpoznałam. Na żywo był wyższy, niż wydawał się na nagraniu, i szczuplejszy. Minał mnie, zanim zdążyłam mu się przyjrzeć, i skreślił za róg.

Szarpnęłam Lolę, która wachała gałęzie wystające zza ogrodzenia. Spojrzała na mnie z oburzeniem, ale nie miałam czasu przejmować się jej humorami. Pociągnęłam ją. Kiedy wyszliśmy zza rogu, facet był już kilka ładnych kroków przed nami, a ja ciągle nie widziałam jego twarzy.

Lolita się zapała. Nie chciała zrobić ani kroku do przodu, a obroza zsunęła jej się na uszy.

– Lolka, do cholery, chodź! – krzyknęłam, bo facet oddalał się szybkim krokiem.

Wtedy się obejrzał. Kaptur zsunął mu się z głowy i zobaczyłam jasne włosy ściągnięte w kucyk. Ale nie taki surferski. Włosy zebrane były wysoko czerwoną frotką.



Bo to była dziewczyna.

## Rozdział 26

Lola patrzyła na mnie tym błagalnym spojrzeniem, które mówiło: nie każ mi iść dalej, a dziewczyna, właściwie kobieta koło trzydziestki, poprawiła kaptur i ruszyła dalej.

Wyszarpnęłam z kieszeni komórkę.

– Proszę pani! – zawołałam.

Kiedy znów się obejrzała, zrobiłam jej zdjęcie.

Nie interesują mnie gadżety w stylu najnowszego modelu iPhone'a, nie wspominając już o kasie, a raczej jej braku. Po prostu zawsze dbałam o to, żeby mieć w komórce dobry aparat. Przydawał się, na przykład teraz. Chociaż zdjęcie zrobiłam z odległości kilku metrów, jakość była taka, że będę mogła dowolnie powiększyć twarz.

– Hej, co ty odwalasz?! – krzyknęła kobieta i ruszyła w moją stronę.

Pociągnęłam Lolę, ale tak jak nie chciała iść w jedną stronę, tak samo nie chciała w drugą. Jedyne, co zdołałam zrobić, to schować telefon głęboko do wewnętrznej kieszeni nieprzemakalnej kurtki.

– Co ty odwalasz? – powtórzyła kobieta. Była ode mnie wyższa prawie o głowę. – Skasuj to zdjęcie!

Rznięcie głupa („Jakie zdjęcie? Coś ci się chyba pomyliło”) nie miało sensu, więc wyrecytowałam:

– Prawo nie zabrania fotografowania ludzi na ulicach.

– Pod warunkiem że nie wyrażą sprzeciwu. Ja wyrażam, ty pindo. Skasuj to.

Nie miałam zamiaru. Właściwie to chciałam zrobić jej jeszcze zdjęcie z bliska, ale bałam się, że mi wyrwie komórkę. Na pewno była ode mnie silniejsza.

– Znałaś Sonię Marchlewską? – zapytałam.

– Nie twoja sprawa!

Czyli znała. Inaczej rzuciłaby: „Kogo?”, albo coś tym stylu.

– Po co spacerujesz pod jej domem?

To było idiotyczne pytanie i wiedziałam o tym. Równie dobrze mogłabym zapytać ją wprost, czy za-  
biła Sonię.

– Słuchaj, odpieprz się ode mnie, dobrze? Po prostu się odpieprz. I skasuj to pierdolone zdjęcie!

Chciała się odwrócić i odejść, ale Lola drapnęła ją łapą.

Kobieta pochyliła się, dała jej do powąchania rękę, a potem delikatnie dotknęła boku szyi.

Szarpnęłam psa do tyłu. Nie powinien się spoufalać z każdym, ale ona już się odwróciła i odeszła. Stałam jeszcze chwilę, próbując ocenić jej wzrost. W sportowych butach miała plus minus metr osiemdziesiąt.

Kapuśniaczek przeszedł w ulewę, a ja nie chciałam trzymać Loli na deszczu ani w samochodzie ze słabo działającym ogrzewaniem, dlatego program do wyszukiwania twarzy włączyłam dopiero w domu, kiedy wytarłam ręcznikiem najpierw swoje włosy, a później Lolę. Gdy obrażony pies umościł się pod biurkiem, otworzyłam laptopa.

Internet jest jak kosmos – wszystko w nim można znaleźć. Wyszukiwarka potrzebowała zaledwie kilkunastu sekund.

Kobieta nazywała się Marlena Sobieska. Rzeczywiście musiała mieć metr osiemdziesiąt albo i więcej, bo na każdym zdjęciu była najwyższa ze wszystkich. Nie znalazłam daty urodzenia, ale nie dałabym jej więcej niż trzydzieści lat.

Miała sądowy zakaz zbliżania się do Soni Marchlewskiej.

## Rozdział 27

Artykuł pochodził z tygodnika, który kiedyś czytywałam regularnie, dopóki nie pojawiły się media społecznościowe, serwisy streamingowe oraz portale online i nagle okazało się, że nikt nie ma już czasu czytać tygodników. Opisywał problem stalkerów. Łażą za człowiekiem (przeważnie znanym – z tego, co wyczytałam, na stalkera trzeba sobie zasłużyć) dzień i noc, przy każdej okazji ustawiają się w kolejce po autograf i zdobywają skądś prywatny numer telefonu, po czym dzwonią co pięć minut, a to zazwyczaj dopiero początek. Jeden psychofan oblał pewną aktorkę kwasem i siedział do tej pory, co pewnie było dla niej niewielką pociechą, inny przeciął opony w samochodzie znanej dziennikarki i też miał pecha, że go złapali, ale w artykule wspomniano również o tych, którym bardziej się poszczęściło i nadal dyszeli w słuchawkę różnym znanym paniom. Albo panom.

Marlena S. (lat 29, więc trochę zawiązała stalkerom średnią wieku) służyła w tym artykule jako przykład, że stalker kobiety nie musi być mężczyzną. Dziennikarzowi udało się nawet porozmawiać z Sionią Marchlewską, która powiedziała: „Nigdy w życiu nie byłam tak przerażona”. W tym tygodniku też mieli chyba kogoś specjalnie od pisania banałów.

Kilka miesięcy później Sonia nie żyła. Przed śmiercią pewnie też była przerażona.

Artykuł pochodził mniej więcej sprzed roku, a nagrania z monitoringu przed domem Soni Marchlewskiej sprzed tygodnia, kiedy zakaz zbliżania już działał. Takie zakazy obejmują różne odległości, ale na pewno większe niż metr. Tymczasem Marlena Sobieska w kółko paradowała tuż przed furtką Soni. Wielokrotnie!

Czy miała też coś wspólnego z jej śmiercią?

Sięgnęłam po komórkę. Zagórski odebrał od razu, chociaż była sobota. Zupełnie jakby trzymał telefon w ręce i czekał, aż zadzwonię. Jakby zapomniał, że wczoraj był wściekły i obrażony, a do tego ucierpiał jego męskie ego, bo wystawiłam go do wiatru.

– Posłuchaj, jest taka dziewczyna, Marlena Sobieska, która miała zakaz zbliżania się do Soni Marchlewskiej. Sądowy zakaz.

Cisza w komórce przeciągała się tak bardzo, że aż sprawdziłam, czy nas nie rozłączyło.

– Ty ciągle z tą Sionią, co? – powiedział w końcu.

– Trochę respektu dla mojej pracy – warknęłam.

– I trochę dla mojej! Do diabła, Franka, nie możesz pakować się z butami w policyjne śledztwo!

– Marlena Sobieska złamała ten zakaz. Wielokrotnie spacerowała pod domem Soni. Nawet dzisiaj ją tam widziałam.

– Zmiłuj się, dziewczyno, spacerowanie pod czyimś domem jeszcze nic nie znaczy.

Przełknęłam ślinę. Ciągle miałam strasznie suche gardło po wczorajszym winie.

– Owszem, znaczy, jeśli masz zakaz zbliżania się.

– Ale nie znaczy, że kogoś zabiła.

Wciągnęłam powietrze.

– Proszę, sprawdź tę Marlenę Sobieską. To ci zajmie tylko moment. Ja chcesz, to ci prześlę...

– Nic mi nie przesyłaj, na litość boską!

Rozłączyłam się, zanim zapytał, kiedy się spotkamy, bo wiedziałam, że by to zrobił – czułam to w jego głosie, a ja miałam trudności z zebraniem myśli.

Błądziłam po omacku. To wszystko za długo trwało. Łukasz chciał jak najszybciej dostać jakieś konkrety. Nie robi się biznesów z oskarżonym o morderstwo żony, miał więc dużo do stracenia, a konkret-

nie dużo pieniędzy. Nic dziwnego, że gotów był tyle zapłacić – i tak wychodziło taniej, niż jakby jakiś kontrahent odwrócił się do niego plecami.

Sęć w tym, że nadal nic dla niego nie miałam.

Za oknem było ciemno, jakby zapadł zmierzch, chociaż nie minęła nawet czternasta. Nie usłyszałam, jak Miśka wyszła ze swojego pokoju, i omal nie dostałam zawału, kiedy się odezwała:

– Mamo, to co będzie z tymi nowymi legginsami? Bo widziałam takie, jakie mi się podobają, na stronie Adidasa.

Miałam w domu grubą kopertę pełną gotówki. Raz, chociaż raz mogłam spełnić zachciankę córki i nie przejmować się konsekwencjami.

– Jakie chcesz?

Miśka popatrzyła na mnie, jakbym nie była jej matką, tylko obcą kobietą – nie dość że miłą, to jeszcze przy forsie. Ale postanowiła skorzystać z okazji.

– Pokażę ci. – Pochyliła się nad komputerem.

Przelknęłam ślinę na widok ceny. Ale nie powiedziałam ani słowa, tylko nacisnęłam „kup teraz”.

– Naprawdę, mamo? – Miśka ciągle nie mogła w to uwierzyć, a ja walczyłam z danymi do wysyłki i starałam się nie myśleć, czy mam na koncie tyle, żeby transakcja przeszła. Muszę zawieźć kasę od Łukasza do banku. – Jesteś strasznie kochana, strasznie!

Uściskała mnie.

– Przesyłka powinna być za trzy dni. – Odchyliłam się do tyłu. – Nie jestem taką okropną matką, za jaką mnie uważasz.

– No coś ty, mamo. – Miśka się odsunęła. – Przecież powiedziałam, że jesteś strasznie fajna. To jeszcze buty, dobrze? Prooooooszę. – Uśmiechnęła się przymilnie.

– Jakie buty?

– No, sportowe. Przecież nie mogę ćwiczyć w tych starych.

Pochyliłam się i oparłam czoło o krawędź stołu.

## Rozdział 28

Po obiedzie wróciłam do lektury artykułów o stalkerach. Chciałam ocenić, jakie jest prawdopodobieństwo, że to jednak Marlena S. zabiła Sonię. Z tego, co wyczytałam, spore.

Stalkerzy nie ograniczali się do określonych metod działania. Najwyraźniej mieli bujną wyobraźnię. Telefonowanie, nagabywanie w mediach społecznościowych i wysyłanie esemesów to był wierzchołek góry lodowej. Włamywali się na konta ofiar i rozsyłali z nich obraźliwe wiadomości do przyjaciół, rodziny i szefów, w imieniu obiektów swojej fascynacji ubiegali się o pożyczki z banku – niektórzy z sukcesem. Rozwieszali na osiedlu wiadomości dla sąsiadów o preferencjach seksualnych ofiary – często zmyślonych, ale zawsze niepopularnych, jak pedofilia czy zoofilia. Sprejowali napisy na drzwiach mieszkań oraz na samochodach – w tym drugim przypadku również ryli je śrubokrętami na karoseiach. Przecinanie opon wyglądało przy tym na błahostkę.

Bywało jeszcze gorzej. Pobicie, próby gwałtu. Jeden stalker zgwałcił swoją ofiarę – dwa razy przy dwóch różnych okazjach, bo policja nie bardzo przejęła się pierwszym zgłoszeniem. Jeszcze inny wyjął nóż i po prostu zadźgał ofiarę przed bramą osiedla. Podobno nie odpowiadała na jego wiadomości.

Co zrobiła Soni Marlena S.?

Właściwie ze wszystkich artykułów wynikało, że zaczyna się od wiadomości. Zawsze. Kiedy stalker zdobywa prywatny numer telefonu ofiary, przestawia się na ten środek komunikacji, ale nawiązuje kontakt na Facebooku. Od „Podziwiam panią w tym filmie” do „Ty zdziro, dlaczego nie odpowiadasz?!”.

Weszłam na fanpejdż Soni. Wystarczyło przeczytać pięć postów, żeby się zorientować, dlaczego nie odpowiadała – nie prowadziła go sama. Wpisy pojawiały się codziennie, a tematy były do bólu szczere i osobiste, ale styl pisania wydawał się... zbyt wysmakowany jak na Sonię. Nie, nie zarzucałam jej braku gustu (nie miałam o nim pojęcia), raczej brak czasu. Która wschodząca gwiazda dałaby radę codziennie dopracowywać posty? Ktoś robił to za nią i zapewne miał żelazną zasadę nieodpowiadania na czepki.

Komplementy kwitował podziękowaniami, często gorącymi, opatrzonymi serduszkami i buźkami złożonymi do pocałunku. Z krytyką czasem dyskutował, o ile była łagodna i konstruktywna, a zdania kończyły się słowami „Ale i tak panią uwielbiam”. Za to hejt, nawet najłżejszy, pozostawał bez odpowiedzi, podobnie jak prośby o spotkanie lub o kontakt na priv.

Nigdzie nie widziałam nicka, który choć trochę przypominałby Marlenę Sobieską, ani zdjęcia osoby do niej podobnej. Oczywiście o niczym to nie świadczyło – mogła przecież założyć konto z dowolnym imieniem i zdjęciem profilowym białego kota. Rzeczywiście jeden biały kotek o imieniu Joanna pisał do Soni, ale wyłącznie słowa podziwu.

Oczywiście Marlena mogła odzywać się do Soni na privie, tyle że nie miałam szansy się do tego dobrać. Cholera!

Wstałam i zastukałam do pokoju Miśki.

Usłyszałam gwałtowne szurnięcie, jakby moja córka właśnie próbowała ukryć coś pod łóżkiem. Dziwne, przecież wszystkie nielegalne treści ogląda się dziś w internecie. Zastukałam jeszcze raz.

– Jezu! – Miśka otworzyła drzwi i zasłoniła sobą pokój, więc nie mogłam nawet się domyślić, co ukrywała.

Pociągnęłam nosem, ale nie poczułam żadnego niepokojącego zapachu, ani wódki, ani jointa. Nietety mam spozstrzegawcze dziecko.

– Przyszłaś mnie sprawdzić? – spytała.

Miałam na końcu języka „tak”, ale to nieuchronnie prowadziło do rozmowy o nagich zdjęciach w jej telefonie, a nie byłam na nią gotowa.

– Pomóż, dziecko – powiedziałam więc i momentalnie się odprężyła, ale zaraz potem spojrzała na mnie podejrzliwie. – Potrzebuję pomocy z internetem – wyjaśniłam najogólniej, jak umiałam.

Wyszła z pokoju bez słowa i zamknęła za sobą drzwi. Nie zdążyłam nawet rzucić okiem.

– No?

Jeszcze nie tak dawno uwielbiała ze mną rozmawiać. Chodziłyśmy razem na spacer z Lolą i gadałyśmy. Nie mogłam w to uwierzyć, kiedy patrzyłam, jak stoi przed moim komputerem – ciut ode mnie wyższa, z rękami w kieszeniach bluzy i z niecierpliwą miną.

– Jak można włamać się komuś na konto na Facebooku? – spytałam.

Mina Miśki ze zniecierpliwionej zrobiła się zdziwiona.

– A skąd ja mam to wiedzieć?

– Myślałam, że wy wiecie takie rzeczy – mruknęłam.

– My to znaczy kto?

– Nastolatki – wyjaśniłam. – Myślałam, że po prostu wiecie.

– Nie wiemy. Mogę już iść do swojego pokoju?

Pokiwałam głową.

– A na czyje konto chcesz się włamać?

– Nieważne – odpowiedziałam. – Potrzebne mi do pracy. Muszę znaleźć kilka informacji, których nie ma nigdzie indziej.

– Jej? – Miśka pokazała głową na zdjęcie Marleny widoczne na ekranie.

– Nie, takiej jednej... Soni Marchlewskiej.

– A kim ona jest i ile ma lat? – To pytanie ostatecznie mnie upewniło, że rozmawiam z innym pokoleniem. Cała Polska znała to nazwisko, ale nie Polska nastolatków. – Bo jak mniej niż dwadzieścia, to na pewno nie Facebook, tylko Instagram albo TikTok.

– Taka aktorka. Niecałe trzydzieści.

Miśka się zamyśliła.

– No to może. Skoro jest aktorką, na pewno ma fanpejdż, a normalne konto pod jakimś nickiem, żeby wszyscy do niej nie pisali.

Czas umierać. Byłam boomerem, nie ogarniałam subtelności mediów społecznościowych. W moim zawodzie to niewybaczalny błąd.

– Dziękuję ci, kochanie – powiedziałam.

– Kiedy mi kupisz te buty? Jak mi obiecałaś...

– Po pierwsze nie: „Kiedy kupisz”, tylko: „Proszę, kup”. Możesz też dodać: „Kochana mamo”, nie zaszkodzi. A po drugie niczego ci nie obiecywałam. Nie jestem skarbonką na dwóch nogach, która spełnia wszystkie zachcianki.

– Z tobą to tak zawsze! – wrzasnęła Miśka. – Z wami wszystkimi!

Pobiegła do swojego pokoju i trzasnęła drzwiami.

Posiedziałam chwilę, gapiąc się w ciemniejący świat za oknem. Kiedyś liczyłam do stu albo koncentrowałam się na oddechu. Teraz już mi się nie chciało. Po prostu siedziałam i patrzyłam, jak gaśnie dzień.

A potem wyjęłam telefon, weszłam na Instagram i znalazłam oficjalne konto Soni. Komentujących były tysiące, z czego kilkadziesiąt powracało na jej profil regularnie, w tym marla\_so.

Sprawdziłam konto tej marli\_so, ale w opisie nic nie było, ani słowa. W zdjęciach na zmianę chmury (niektóre nawet całkiem ładne), ponure pejzaże i Sonia Marchlewska: Sonia wysiadająca z samochodu,

Sonia wchodząca na imprezę (na którą Marleny raczej nie wpuszczono, bo zdjęcie zrobiono przed budynkiem), Sonia na konferencji prasowej... To ostatnie dało mi do myślenia, bo skoro Marlena tam była, musiała mieć wejściówkę. Gdyby udało mi się dotrzeć do organizatorów... Tyle że żaden szczegół na zdjęciu ich nie zdradzał, poza tym zostało zamieszczone w marcu, a w tym mieście, zanim zaczęły się lockdowny, konferencje odbywały się codziennie. Szkoda czasu.

Nie znalazłam też ani jednego selfie Marleny z Sonią. Żadnego zdjęcia przedstawiającego je razem, które sugerowałoby, że były blisko albo przynajmniej się znały. Owszem, zobaczyłam kilka zbliżeń twarzy Soni, ale ewidentnie zrobionych teleobiektywem.

Marlena nigdy nie zbliżyła się do Soni na odległość mniejszą niż kilka metrów, bo inaczej skorzystałaby z okazji i udokumentowała ten fakt. Należała przecież do pokolenia, które dokumentuje każdy wdech i wydech. Co zatem przeraziło Sonię na tyle, że wystąpiła o zakaz sądowy?

Nie potrafiłam sobie odpowiedzieć na to pytanie, poszłam więc po linii najmniejszego oporu i wybrałam numer Łukasza.

– Franko, przepraszam, mam telekonferencję.

W sobotę? Zaczynałam rozumieć, jak Łukasz dorobił się pieniędzy. Po prostu nie miał weekendów.

– To pilne – skłamałam, bo wcale nie było, ale nie chciało mi się czekać.

– Sekundę. – Przysłonił ręką telefon, a potem powiedział coś, czego nie zrozumiałam. – Mów – dodał po chwili.

– Co wiesz o stalkerce Soni?

– Stalkerce? Soni?

Dziwne. Zakaz zbliżania został wydany w lecie. Może Łukasz i Sonia już wtedy nie mogli na siebie patrzeć, ale stalking to zbyt poważna sprawa, żeby ukrywać ją przed mężem, nawet przed takim na wylocie, a rozprawa sądowa tym bardziej.

– Tak, miała stalkerkę. Liczyłam, że powiesz mi coś więcej.

– Ja nic o tym nie wiem. Ale to doskonała wiadomość! – ucieszył się. – Zdejmuje ze mnie trochę ciężar podejrzenia, nie sądzisz?

Też miałam taką nadzieję.

– Przyslesz mi jej zdjęcie? Może ją kiedyś widziałem.

– Zaraz ci puszczę mejlem.

Rozłączyłam się bez pożegnania – w końcu był zbyt zajęty, żeby marnować czas – i zamyśliłam się.

O stalkerce Soni pisali w internecie i w gazetach. Może nie na pierwszych stronach, ale informacje, które wyszperałam, cytowały dwa poczytne tygodniki oraz jeden dziennik. Jak to więc możliwe, że Łukasz nic nie wiedział? Nie czytał gazet? Nie przeglądał sieci? Nikt mu nie powiedział? Nie pokazał tego artykułu?

Mało prawdopodobne. Prawidłowa odpowiedź była więc inna. Łukasz nie mówił prawdy.

## Rozdział 29

W artykułach, które czytałam przez cały weekend, stalkerzy twierdzili, że kochają swoje ofiary. „Mówił, że mnie kocha” było najczęściej cytowanym tekstem. Sprejowanie wyzwisk na drzwiach, niszczenie samochodów, psucie stosunków w pracy i oblewanie kwasem – wszystko z miłości.

Czy Marlena Sobieska też zrobiła krzywdę z miłości? Czy jej miłość tak przeraziła Sonię, że straciła panowanie nad kierownicą i wpackowała się na drzewo?

To było zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Zbyt piękne, bo po kilku dniach niezbyt wytężonej pracy miałabym odpowiedź dla Łukasza oraz drugą połowę wynagrodzenia. I to odpowiedź, której nie potrafił znaleźć Zagórski ani jego podwładni... Jakoś wydawało mi się to mało prawdopodobne. Co prawda cuda się zdarzają, ale raczej nie w moim życiu.

Potrzebowałam dowodu. Musiałam poznać bliżej Marlenę Sobieską.

Mogłam ją śledzić. Na nagraniach, które ściągnęłam Zagórskiemu, pojawia się pod domem Soni kilka razy dziennie. Jeśli wcześniej czuła taki przymus, to pewnie w ciągu kilku dni jej nie przeszło. Jak wszyscy stalkerzy musiała być jak najbliższej ukochanej osoby, nawet jeśli ta już nie żyła. Gdybym zaparkowała przy uliczce Soni i posiedziała trochę w samochodzie, prędzej czy później spotkałabym Marlenę. Chyba że ją przestraszyłam... Równie dobrze przez jakiś czas mogła się tam nie pojawić, a perspektywa spędzenia kilku zimnych i dżdżystych dni w zaparkowanym przy ulicy aucie średnio mnie pociągała.

Byłam w dupie i nie wiedziałam, jak się z niej wydostać. W dodatku Łukasz coś przede mną ukrywał, a ja nie miałam pojęcia, czy to coś ważnego, czy drobiazg bez znaczenia. Każdy biznesmen kłamie, to pewnie u nich odruch, jak oddychanie u ssaków, ale kiedy czerwona lampka raz mi się zapaliła, nie chciała już zgasnąć.

– Nie powinnaś tyle siedzieć przed komputerem, córeczko.

Drgnęłam. Przestraszył mnie. Nie słyszałam, jak zszedł z góry.

– Mam pracę, tato – odpowiedziałam, kiedy serce przestało trzepotać mi w gardle. – Muszę coś znaleźć, a nie wiem jak.

– A spróbowałaś w Google’u? Ja tam znajduję wszystkie hasła do krzyżówek.

Oczywiście, tatusiu, ty i twoje krzyżówki. Gdyby całe życie było takie proste... Gdyby można było otrzymać odpowiedź na każde pytanie, po prostu wpisując ciąg znaków w wyszukiwarce...

– Spróbuj – zachęcił mnie ojciec, stając za moim krzesłem. – Ten Google to naprawdę interesujący wynalazek.

Istniał tylko jeden sposób uniknięcia kłótni – wpisałam: „Marlena Sobieska Sonia Marchlewska” i nacisnęłam enter.

Zdębiałam.

Marlena Sobieska trochę ponad rok temu przeprowadziła z Sonią Marchlewską wywiad. Nadal wisiał w sieci.

– Jezu! – Odgarnęłam włosy z czoła.

– Widzisz? – ucieszył się ojciec. – Czasami dobrze jest posłuchać ojca. Zrobić ci herbaty?

Nie czekał na odpowiedź, tylko poszedł do kuchni, a ja położyłam palec na myszce, ostrożnie, jakbym się bała, że wybuchnie, i kliknęłam w link.

Wywiad był bardzo dobry. Marlena nie zadawała pytań, które zazwyczaj zadaje się wschodzącym gwiazdkom (czy ciężar sławy panią przytłacza i jaką rutynową pielęgnacją cery pani stosuje?). Pytała



o życie, dzieciństwo, ulubione lektury i filmy. W sumie nic dziwnego – miała jedyną w swoim rodzaju okazję, żeby stanąć twarzą w twarz z uwielbianą przez siebie osobą i dowiedzieć się o niej wszystkiego.

Wpisałam w Google'a „Marlena Sobieska wywiad”, licząc, że znajdę coś więcej. Niestety, był tylko ten jeden. Chociaż sprawiała wrażenie świetnej dziennikarki, kariery nie zrobiła.

Wywiad z Sonią ukazał się w dużym kobiecym miesięczniku, drukowanym na śliskim papierze i ciętkim jak co najmniej dwie książki. Takim, który czyta się z poczuciem winy i głębokim przekonaniem, że nigdy nie da się wstawić nogi w drzwi prowadzące do tego świata. Jakim cudem ktoś, kto może nawet i dobrze pisał, ale nigdy wcześniej ani zresztą później nic nie opublikował, zdołał sprawić, żeby takie pismo zleciło mu wywiad z gwiazdą filmową i jeszcze go potem wydrukowało?

Znałam ten miesięcznik. Jego wicenaczelnym był mój mąż. Kiedy jeszcze żył.

Nigdy nie rozmawiałam z Marcinem o jego pracy. To znaczy, owszem, czasem opowiadał jakieś anegdoki z życia elit. W końcu jak człowiek pracuje w kobiecym miesięczniku drukowanym na błyszczącym papierze, słyszy takich historii do porzygania. Był nawet moment, kiedy miałam nadzieję, że wykorzystam kontakty i zostanę specjalistką od rozwodów warszawki. Gdyby wierzyć tym wszystkim miesięcznikom, ci ludzie nie robili nic innego, tylko się rozwodzili (a także produkowali w dużych ilościach dzieci, żeby je potem prezentować w nieskazitelnych wnętrzach, ale do tego detektyw nie był potrzebny). Nic z tego jednak nie wyszło – nigdy nie przebiłam się na wyżyny warszawskich elit. Pozostałam w swojej niszy, a historyjki Marcina traktowałam jako świetny środek na bezsenność, bo już po kilku słowach zaczynałam wolniej oddychać.

Tak samo jak te opowieści, śmiertelnie nudzili mnie ludzie, którzy z nim pracowali. Raz czy dwa wbrałam się z mężem na bal dziennikarzy i z podziwem patrzyłam, jak nad ranem inne kobiety poruszały się w swoich szpilkach niczym gazy, podczas gdy ja marzyłam tylko o amputacji stóp. Do redakcji zajrzałam może z pięć razy – kiedy umawialiśmy się z Marcinem na mieście i było za zimno, żeby czekać na zewnątrz. Owszem, pozwalałam sobie zaserwować kawę, ale nawet nie wiedziałam, jak ma na imię dziewczyna, która mi ją podaje.

Nic dziwnego, że teraz nie miałam do kogo zadzwonić i zapytać o Marlenę Sobieską.

Oczywiście mogłabym wybrać numer recepcji. W końcu pracowałam przez tyle lat, tropiąc ludzkie grzechy, że nawet obudzona o drugiej nad ranem potrafiłabym tak poprowadzić rozmowę telefoniczną, żeby wyciągnąć potrzebne informacje.

Tylko że ja się bałam. Bałam się, że usłyszę głos, który doskonale znałam, bo wiele razy wydzwaniałam pod ten numer, kiedy komórka Marcina była zajęta, a mnie nie chciało się czekać, aż skończy. Bałam się, że usłyszę pięćdziesiąt powtórzeń *Dla Elizy* w wersji elektronicznej, melodię, która wdrukowała mi się w mózg od tego czekania. Bałam się, że kiedy podam nazwisko, usłyszę fałszywe kondolencje. Albo – co gorsza – szczerę.

Bałam się, że się rozsypię.

Najbardziej jednak bałam się, że nikt nie odbierze, bo wszyscy pracują zdalnie, a ja przecież nie znałam ich numerów, więc nie miałabym od kogo wyciągnąć nawet odrobiny informacji.

Nazajutrz rano, tuż po tym, jak wypilałam kawę, wybrałam z kontaktów numer „Marcin praca”. Jeszcze go nie wykasowałam – zabrakło mi odwagi. Nie usłyszałam *Dla Elizy*. Może pozytywka się zepsuła i w pandemii nikomu nie przyszło do głowy, żeby ją naprawić. W słuchawce za to rozległ się głos, którego nie znałam. Podał nazwę redakcji i spytał, w czym może mi pomóc.

Wzięłam głęboki wdech.

– Dzień dobry, nazywam się Marlena Sobieska. – Urwałam na chwilę, czekając na jakąś reakcję, ale żadnej nie było, mówiłam więc dalej: – Napisałam dla państwa tekst, który ukazał się w numerze... – zerknęłam na ekran komputera – ...październikowym w zeszłym roku. Robię porządki w zeznaniach podatkowych i właśnie się zorientowałam...

– Musi pani zadzwonić do księgowości.

I tak dostałam numer. To naprawdę nie było trudne.

Kiedy powiedziałam księgowej, że nie mogę znaleźć od nich PIT-u, zaproponowała podesłanie kopii.

– A jaki adres państwo mają? – zaszcebiotałam. – Bo niedawno się przeprowadziłam.

– Niestety nie mogę tego pani powiedzieć przez telefon.

Pieprzone RODO! Zanim je wprowadzili, łatwiej mi się pracowało.

– Ale na Podolską? – spróbowałam. – Bo to już nieaktualne...

– Niestety nie mogę powiedzieć przez telefon.

– To może ja pani po prostu podam nowy adres?

– Prześlę mejlem formularz do wypełnienia.

Westchnęłam.

– Tylko że ja... nie mam już dostępu do starego adresu mejlowego. Mogę pani podyktować nowy?

Nie mogłam – oczywiście nie przez telefon. Rozłączyłam się.

I wtedy przyszło mi do głowy, że jest jedno miejsce, gdzie na pewno spotkam Marlenę Sobieską i może nawet uda mi się z nią porozmawiać. A jeśli nie, przynajmniej będę mogła ją śledzić i dowiem się, gdzie mieszka.

Wybrałam numer Łukasza. Tym razem długo czekałam.

– To naprawdę ważne – powiedziałam szybko, kiedy w końcu odebrał.

– Jasne – odparł. – Tylko akurat prowadzę. Jeśli chcesz, żebym coś sprawdził, będziesz musiała...

– Jedno pytanie: kiedy jest pogrzeb?

## Rozdział 30

Był we wtorek o trzynastej. Pewnie specjalnie wybrali taką godzinę, żeby przyszło jak najmniej osób, ale i tak zwały się tłumy. W lockdownie mało kto musiał się troszczyć o zwolnienie z pracy.

Nowe obostrzenia ograniczyły liczbę uczestników pogrzebu do najbliższej rodziny, więc ci wszyscy ludzie z kwiatami i zniczami udawali, że tylko wpadli do Podkowy Leśnej na groby swoich bliskich. Niepotrzebnie się wysilali – w zasięgu wzroku nie było żadnego strażnika miejskiego, policjanta ani nikogo z ochrony cmentarza. Nawet służby uznały, że nie ma co walczyć z popularnością przedwcześnie zgasłej gwiazdy.

Przeciskałam się między grobami, co chwila mówiąc „przepraszam”. Takiego tłumy nie widziałam jeszcze nigdy, nawet na Wszystkich Świętych. Pogoda mi nie pomagała – wiele osób skrywało twarze pod parasolami, niektórzy ponaciągali kaptury na głowy. W dodatku było ciemno jak po południu, a mżawka zmiękczała kontury świata. Co chwila mrugałam, licząc, że w ten sposób wyostrzę obraz, jednak nic to nie dawało. Podziwiałam determinację fanów. Gdybym miała jakąkolwiek inną opcję, nikt nie zmusiłby mnie do wyjścia z domu.

Przephnęłam się bliżej grobu. Zobaczyłam plecy Łukasza. Był w ciemnym garniturze i rozpiętym płaszczu, jego włosy lśniły od deszczu. Nie dawał po sobie poznać, że przeszkadzają mu ci wszyscy ludzie, którzy akurat tego dnia i o tej godzinie przypadkowo odwiedzili cmentarz. Stał z lekko pochyloną głową i wpatrywał się w urnę z jasnego pożyłkowanego kamienia (z daleka wyglądał na alabaster, ale mogłam się mylić). W rękę trzymał małą wiązanekę białych róż.

Oprócz niego i księdza (a także chudego ministranta w kurtce narzuconej na komżę) nad grobem nie było nikogo. Wyglądało to surrealistycznie: mąż, do tego były, i ci wszyscy ludzie w tle, czający się na swoją kolej, żeby rzucić wiązanekę lub zapalić znicz. Wieczorem sterta kwiatów wokół grobu Soni zablokuje sąsiednie alejki.

Łukasz podniósł wzrok i spojrzał prosto na mnie. Skinęłam mu głową, ale nie podeszłam. Nie przyszedłam na pogawędkę.

Stanęłam z boku i udając, że na kogoś czekam, zaczęłam systematycznie przeczesywać wzrokiem alejki. Wolę robić takie rzeczy w ciemnych okularach w słoneczny dzień – gapienie się na ludzi jest wtedy mniej podejrzane.

Przez te parasole i kaptury ciężko było wyluskać kogokolwiek z tłumy, ale Marlenę Sobieską zdradzał wzrost. Poza tym parasol jakoś mi do niej nie pasował. Szukałam więc wysokiej postaci w kurtce albo w bluzie z kapturem, kogoś, kto będzie stał na tyle daleko, żeby nie zwracać na siebie uwagi, i na tyle blisko, żeby wszystko widzieć. Kto nie będzie odrywał wzroku od grobu, żeby nie uronić żadnego momentu ceremonii zasypywania urny, i kto prawdopodobnie będzie nosił na twarzy maseczkę.

Większość społeczeństwa miała głęboko gdzieś zarówno trzymanie bezpiecznego dystansu, jak i konieczność zasłaniania nosa i ust, ale nie ona. Bo o maseczkach można powiedzieć wiele, jednak doskonale nadają się do zachowania anonimowości, zwłaszcza w połączeniu z kapturem.

Na cmentarzu była tylko jedna taka osoba. Stała na skrzyżowaniu dwóch alejek, co najmniej dwadzieścia grobów od miejsca wiecznego spoczynku Soni Marchlewskiej. Daleko, ale Marlena Sobieska widziała wszystko ponad głowami innych.

Zacząłam przeciskać się w tamtą stronę. Trochę za szybko, ale bałam się, że stracę ją z oczu. Poza tym patrzyła na świeżo upieczonego wdowca, a nie na mnie. Niestety, najpierw złapałam zdziwione spojrzenie Łukasza i zaraz potem ona spojrzała w tym samym kierunku co on. A ja nie miałam dość refleksu, żeby odwrócić głowę.

Marlena ruszyła przez tłum w stronę bramy. Szło jej lepiej niż mnie. Może dlatego, że była wyższa i chudsza, więc łatwiej wpasowywała się w luki między ludźmi.

– Hej! – zawołałam. – Proszę poczekać!

Zupełnie bez sensu, bo wiedziałam przecież, że nie poczeka. Jeśli już, to przyspieszy. Do tego wszyscy dookoła zaczęli się na mnie gapić. Nieprzestrzeganie zasad Polacy wysysają z mlekiem matki, mogą olewać maseczki i gromadzić się tam, gdzie nie wolno, ale są też zasady święte, jak na przykład zachowanie pełnej powagi ciszy na cmentarzu.

Straciłam Marlenę z oczu, jednak po tej stronie była tylko jedna brama. Oczywiście mogła ukucnąć i ukryć się w tłumie albo schować za jakimś nagrobkiem, ale uznałam, że będzie chciała się stąd wydostać.

Kiedy wreszcie dopadłam bramy, byłam zziązana i mokra, miałam też ubłocone buty, bo dwa razy musiałam skrócić sobie drogę przez dopiero co uklepany grób. Zatrzymałam się, żeby złapać oddech. Za bramą zrobiło się luźniej, a konkretnie – całkiem pusto. W budzie z wiązanek stał tylko facet.

– Przepraszam, czy nie widział pan wysokiej dziewczyny? Bardzo wysokiej. W kapturze.

– Pani kupi wiązanek. Świeżutki. Niedrogie.

Wiązanek mogłam sobie co najwyżej wstawić do wazonu, bo nie zamierzałam wracać na grób Soni.

– Ja chciałam tylko spytać, czy pan nie widział..

– Pani kochana, ja sam robię te wiązanek. Świe-żutki. Dzisiaj kwiaty z giełdy przywiezione. Z tydzień poleży na grobie jak nic. Pani teraz połóż, na Wszystkich Świętych jeszcze będzie ładnie wyglądała.

To była krzepiąca wiadomość. Mniej krzepiący był fakt, że ceremonia już się zakończyła i z cmentarza zaczęli powoli wychodzić ludzie.

Rzuciłam kurwą, rozejrzałam się jeszcze raz, po czym ruszyłam do samochodu, który zostawiłam kawalek dalej w stronę kolejki, bo bliżej nie było miejsca.

Zdjęłam całkiem mokrą od mżawki kurtkę i wsiadłam. Gdy włączyłam silnik oraz ogrzewanie na ful, szyby momentalnie zaparowały, więc zaczęłam kręcić pokrętłami nawiewów.

I wtedy Marlena przeszła tuż przed maską mojego samochodu.

Przetarłam okno rękawem.

Nie widziała mnie. Zgarbiona, w kapturze, z rękami wbitymi głęboko w kieszenie, szybkim krokiem przecięła na ukos jezdnię. Spodziewałam się, że pójdzie do kolejki, wsiądzie i tyle będzie z mojego śledzenia, ale ona skręciła w boczną uliczkę.

Podkowa Leśna to nie jest miejsce dla detektywów. Nielatwo tu kogoś niepostrzeżenie śledzić, a już jechać za kimś samochodem i nie dać się zauważyć zakrawa na cud.

Na szczęście pomagał mi deszcz. W taką pogodę wszyscy mieszkańcy zapominają o ratowaniu planety i wsiadają w auta, ci zaś, którzy muszą iść na piechotę, poświęcają całą swoją uwagę na dotarcie z jednego miejsca w drugie i nie rozglądają się, a w każdym razie nie za bardzo.

Marlena też obejrzała się tylko raz, a potem skuliła się i pomaszzerowała szybko przed siebie. Skręciła w kolejną uliczkę, później w następną, podczas gdy ja starałam się trzymać z tyłu. Wreszcie zatrzymała się przed brzydką małą parterową willą, wygrzebała z kieszeni klucze i otworzyła furtkę. Przeszła po chodniku z kostki Bauma między dwoma łysymi krzakami, otworzyła drzwi domu i zniknęła.

Szczerze mówiąc, nie wyglądała mi na taką, która mieszka w Podkowie Leśnej, w willi, choćby nie wiem jak brzydkiej. Spodziewałam się raczej, że wynajmuje kawalerkę na Tarchominie lub w Ursusie i jeszcze dzieli ją z koleżanką. No cóż, w tym zawodzie nauczyłam się wiele rzeczy, przede wszystkim jednak tego, że pozory mylą.

Wnętrze samochodu nie zdążyło się porządnie nagrzać. Kurtkę ciągle miałam wilgotną, ale bez niej było mi zimno, więc sięgnęłam na tylne siedzenie po koc Loli. Śmierdział mokrą sierścią, ale był to dziwnie przyjemny zapach. Otuliłam się, odsunęłam fotel do tyłu i przygotowałam na długie czekanie.

Gdyby ktoś mi powiedział, że praca detektywa polega głównie na wysiadywaniu godzinami w zimnych samochodach, trzy razy bym się zastanowiła. Człowiek zawsze wyobraża sobie, że rzeczywistość okaże się bardziej romantyczna – na przykład małżeństwo. Nawet jeśli fantazja nie obejmuje ślubu w białej sukni, w scenariusz i tak jest wpisane „I żyli razem długo i szczęśliwie”. A potem zostaje się samemu...

Nie lubię, jak ojciec do mnie dzwoni, bo jego telefony nigdy nie zwiastują niczego dobrego, ale tym razem ucieszyłam się, kiedy zobaczyłam jego imię na wyświetlaczu. Przynajmniej wybrał moment, z nim całkiem się rozkleiłam.

– Córeczko, Michasia poszła do koleżanki.

I to było takie ważne, żeby mi przeszkadzać w pracy?

– Tato, Miśka ma piętnaście lat. To normalne, że chodzi do koleżanek.

Chociaż żadna nigdy nie przychodzi do nas do domu. Nie, od kiedy sprowadziłyśmy się z powrotem do ojca.

– Kochanie, przecież jest lockdown.

Cholera, całkiem zapomniałam!

– Oj, tato, niedobrze. Dlaczego jej pozwoliłeś?

– Ona mnie nie pytała.

Potarłam ręką czoło.

– A do której?

– Słucham?

– Do której koleżanki poszła? – powtórzyłam, pewna, że ojciec dosłyszał i zrozumiał, tylko chciał mnie zmusić do wypowiedziania się pełnymi zdaniami.

– Nie wiem. Powiedziała, że idzie do koleżanki.

– Dobrze, tato. Dziękuję. – Jeszcze by tylko brakowało, żebym zapomniała mu podziękować. Chodźby obrażony do wieczora. – Zadzwoń do niej.

– I pamiętaj, żeby mi kupić krzyżówkę.

Tak, oczywiście. Cholerna krzyżówka była na pierwszej pozycji na mojej liście!

Przez zaparowaną przednią szybę zobaczyłam jakiś ruch koło willi. Drzwi do domu otworzyły się i Marlena ruszyła w kierunku furtki.

– Tato, muszę kończyć.

– Ale pamiętaj o krzyżówce. I kup jeszcze...

Rozłączyłam się.

Marlena zatrzymała się, spojrzała w prawo, potem w lewo i ruszyła prosto na mnie. Jakimś cudem zorientowała się, że ją śledzę, mimo deszczu i zaparowanej szyby. Tak przynajmniej sądziłam, dopóki nie przeszła obok mojego samochodu, zaparkowanego krzywo na chodniku. Nawet na mnie nie spojrziała, po prostu poszła dalej.

Odprowadziłam ją wzrokiem, zrzuciłam koc z ramion, naciągnęłam wilgotną kurtkę i wygramoliłam się z auta. Bolało mnie lewe kolano, nie wiadomo, czy od deszczu, czy od twardego sprzęgła.

Pokuśtykałam do furtki. Nacisnęłam dzwonek.

Nikt nie odpowiedział. Pchnęłam. Nie musiałam się nawet wysilać – metal koło zamka był wygięty i furтка sama się otworzyła.

Zamiast pójść do drzwi, zesłam ze ścieżki i całkowicie przemoczyłam buty w mokrej trawie, wysokiej, jakby Marlena nie ścinała jej przez całe lato. Próbowałam zajrzeć przez okna, ale parter był wysoki. Nawet kiedy podskoczyłam, nie udało mi się dostrzec nic poza całkiem zwykłymi meblami. Żadnego trupa, żadnej wytwórni narkotyków. Czego ja się spodziewałam?

– Dzwonię na policję! – usłyszałam za plecami.

Odwrociłam się. Marlena stała przy furtce z plastikową torbą w rękę. Najwyraźniej poszła tylko do warzywniaka na rogu.

– Furtka była otwarta – powiedziałam, mijając się z prawdą zaledwie o włos. – A nikt nie reagował na stukanie do drzwi, więc chciałam...

– Czego ode mnie chcesz? – przerwała mi. Pokolenie millenialsów nie słynie z dobrego wychowania.

– Jestem prywatną detektywką. Prowadzę śledztwo w sprawie śmierci Soni Marchlewskiej. Dla firmy ubezpieczeniowej – dodałam, strasznie zostawiając sobie na później.

– Ja jej nie zabiłam!

Aha, czyli równie dobrze mogłam postraszyć ją teraz. Dałam krok do przodu.

– Złamałaś sądowy zakaz zbliżania się. Kilkanaście razy, może kilkadziesiąt, nie liczyłam.

– Ale jej nie zabiłam! – warknęła i ruszyła po schodkach w stronę drzwi wejściowych. – Wynoś się z mojego ogrodu. Masz dziesięć sekund, potem dzwonię na policję.

Wyjęłam komórkę.

– Na policję dzwonię ja. Firma ubezpieczeniowa bardzo się ucieszy z informacji, że Sonia została zamordowana, bo polisa tego nie obejmuje. – Płynęłam na fali fantazji. – A sądzę, że mają lepszych prawników niż ten, na którego będziesz mogła sobie pozwolić.

Odwrociła się.

– Stalkowałaś Sonię – mówiłam dalej. – Za coś dostałaś ten zakaz zbliżania się, bo losowo ich nie dają. Przeprowadziłaś z nią wywiad, pewnie byłaś jej psychofanką. Wierz mi, sędziowie widują takich bardzo często, a ostatnio coraz częściej. Nie będą się długo zastanawiać, nawet jeśli w materiale dowodowym znajdą się luki.

– Jezu! – Marlena potarła dłonią mokre czoło. Miała krótkie, obgryzione paznokcie. – Jezu, przecież ja nic nie zrobiłam. Naprawdę. Przysięgam!

Wzruszyłam ramionami. Nic nie powiedziałam, pozwalając, by reszta rozegrała się w jej głowie.

– A z zakazem zbliżania się było zupełnie inaczej... Ja nie mam nic wspólnego z wypadkiem Soni. Chodzę pod jej dom, bo... bo...

Czekałam.

– Nieważne – ucięła. – To ulica. Każdy ma prawo nią chodzić.

– Każdy z wyjątkiem ludzi, którzy mają sądowy zakaz zbliżania się – uświadomiłam ją.

– Ja nie mam z tym nic wspólnego – powtórzyła Marlena. – Ze śmiercią Soni, w ogóle z całą tą sprawą. W zeszłym tygodniu nie było mnie w Polsce.

O!

– Byłam w Londynie. Miałam fuchę w zastępstwie koleżanki, która złapała covid. Produkcja teatralna.

– W pandemii? – zapytałam.

– Kiedyś się skończy, a oni to planują już teraz.

– A jak wróciłaś? Przecież jest lockdown.

– Samoloty latają – burknęła. – I tak u nas nikt niczego nie sprawdza.

Pokręciłam głowę.

– Możesz to jakoś udowodnić?

– Mogę. – Uniosła podbródek. – Pytanie tylko, czy muszę.

Osloniłam komórkę ręką, żeby nie zmokła.

– Nie ma sprawy – powiedziałam i stuknęłam palcem w ekran.

– Jezu, dobrze już, dobrze.

Zsunęła z ramienia plecak, pogrzebała w nim i wyciągnęła paszport. Wyglądał na nieużywany.

– Proszę bardzo, wiza wjazdowa. Angole teraz takie wstukują, jak się jedzie do pracy, po brexicie.

Obejrzałam starannie wizę, a potem poprosiłam Marlenę, żeby otworzyła na stronie ze zdjęciem. Na fotografii na pewno była ona, chociaż wyglądała na seryjną morderczynię, jak zresztą zazwyczaj ludzie na zdjęciach w dokumentach. Moje w paszporcie i w dowodzie nie były lepsze.

– Masz dowód, że nie zabiłam Soni. Wystarczy? Jeśli tak, to wypierdalaj z mojego ogródka!

– Wystarczy – odparłam. Właśnie straciłam jedyny ślad, który wydawał mi się obiecujący. Znowu nie miałam nic. Na myśl o tym, że jeszcze raz będę musiała przejrzeć wykradzione Zagórskiemu nagrania, zrobiło mi się zimno.

Marlena popatrzyła na mnie przez chwilę spod kaptura, ale nie potrafiłam odczytać jej spojrzenia.

– Jak będziesz wychodziła – powiedziała w końcu – to zatrzaśnij furtkę.

Wzruszyłam ramionami, bo nic innego w tej sytuacji nie przyszło mi do głowy. Słyszałam, jak otwiera drzwi do domu.

Naprawdę chciałam zatrzasnąć tę cholerną furtkę, ale zamek ostatecznie odmówił posłuszeństwa.

– Trzaśnij mocniej! – zawołała Marlena już ze środka.

Trzasnęłam mocniej. Furtka odskoczyła.

– Cholera! – Marlena wybiegła z domu, ciągle w butach, kurtce i z plecakiem na ramieniu. – Włamu-  
jesz mi się na podwórko i nawet furtki nie potrafniesz za sobą zamknąć?

Trzasnęła furtką i zamek zaskoczył. I w tej samej chwili trzasnęło coś jeszcze.

– Cholera jasna. Kurwa mać – powiedziała miękko.

Zatrzasnęły się drzwi do domu.

## Rozdział 31

Od zewnątrz nie było klamki, tylko gładka gałka, która się nie obracała.

– Klucze są w środku – powiedziała cicho Marlena.

Bez słowa wyjęłam komórkę i wstukałam w Google'a pytanie o awaryjne otwieranie zamków w okolicy. Wyświetliło się dwóch ślusarzy – w Pruszkowie i w Milanówku. Podałam Marlenie telefon.

Połączyła się z tym pierwszym, wyjaśniła, co się stało, a potem zapytała:

– Ile?

Niedowierzenie w jej głosie było tak wyraźne, że nieomal mogłam je pomacać.

– Jezu! – Popatrzyła na mnie. – Trzysta. Z dojazdem.

Trzeba było zostać ślusarzem. Do końca życia nie martwiłabym się o kasę.

– Okna? – zapytałam krótko.

Potrząsnęła głową.

– Wszystkie mają kraty. Zamykane od wewnątrz na kłódki.

– Nie mam wyjścia – powiedziała do telefonu, rozłączyła się i oddała mi komórkę. – Pół godziny do godziny.

W deszczu, w połowie października – tego nie życzyłabym najgorszemu wrogowi. Najwyraźniej pozwoli zaczynałam się czuć winna, bo inaczej nigdy w życiu nie zaproponowałabym tego, co zaproponowałam.

– Możesz poczekać u mnie w samochodzie – rzuciłam wbrew sobie.

Marlena ruszyła za mną bez słowa „dziękuję”. Wsiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. Nie musiałam się bać, że będę prowadziła z nią rozmowę przez „pół godziny do godziny”, bo po prostu wsadziła nos w komórkę. Doskonale, mnie też tak pasowało.

Ślusarz przyjechał po godzinie i dziesięciu minutach. Marlena wysiadła z auta tak niechętnie, jakbym miała audi z podgrzewanymi siedzeniami, a nie starego forda, w którym było tak samo zimno jak na zewnątrz. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w ogóle ma przy sobie te trzy stowy, ale postanowiłam przestać być dobrą ciocią i włączyłam silnik. Skoro Marlena się nie pożegnała, ja też nie musiałam.

Pojechałam jeszcze do warzywniaka i zatrzymałam się przy kiosku, żeby wreszcie kupić ojcu tę cholerną krzyżówkę, tyle że jej nie było. Przynajmniej miałam czyste sumienie.

Uznałam, że wrócę tą samą drogą, obok domu Marleny, i zaraz tego pożałowałam.

Stała przy furtce. Wyglądała na jeszcze bardziej zmokniętą niż wcześniej. Nigdzie nie widziałam ślusarza.

Powinnam była wcisnąć pedał gazu i przejechać, przekraczając dozwoloną prędkość, a nawet jeszcze ochlapać ją wodą z kałuży. Zamiast tego zatrzymałam się i otworzyłam okno.

– Ten złamas chciał ode mnie meldunek albo jakiś inny papier na dowód, że nie każę mu się włamać do cudzego domu.

– A ty go nie masz?

– No pewnie, że nie mam! Jestem zameldowana u rodziców, w Częstochowie.

Jedyną, co przychodziło mi do głowy, to zadzwonić do Zagórskiego i poprosić o adres mniej skrupulatnego ślusarza, takiego, którego policja zna od innej strony, ale wiedziałam, co Zagórski mi odpowie. Szkoda było nawet próbować.

– Moja współlokatorka jest teraz w Londynie – mruknęła niechętnie Marlena. – Wraca za dwa dni. Ma klucze. Moje zostały na stole w przedpokoju...



– No to nie ma sprawy. Musisz się tylko przechować u rodziców przez dwa dni. Buty masz, komórkę masz, portfel – spojrzalam na jej plecak – zakładam, że też. Wsiadaj. – Odblokowałam drzwi. – Podrzucę cię na dworzec.

Wsiadła i powiedziała:

– Po moim trupie pojedę do rodziców.

Najwyraźniej uznała, że to mi wystarczy za wyjaśnienie, bo patrzyła prosto przed siebie.

– No to mogę cię podrzucić do jakiegoś hotelu. – Nie znałam miejscowych hoteli, ale na pewno gdzieś coś było, ona jednak pokręciła głową, nie odrywając wzroku od zalanej deszczem jezdni.

– Nie mam kasy.

– No przecież masz te trzy stowy.

Spojrzała na mnie wreszcie.

– Nie mam.

Tak jak myślałam!

– No to rusz głową! – Niewykluczone, że podniosłam głos, bo cała ta sytuacja zaczęła mnie już denerwować. – Masz przecież jakichś przyjaciół, znajomych. Mogę cię podwieźć, nawet do Warszawy.

Wcale nie marzyło mi się stanie w korkach na dojazdówce, ale wyrzuty sumienia to suka, która gryzie.

Znowu pokręciła głową.

– Możesz mi pożyczyć parę stów? – spytała.

Moje wyrzuty sumienia nie były aż tak wielkie. Poza tym coś mówiło mi, że jeśli pożyczę, więcej ich nie zobaczę.

– Nie mam – uciąłem. I wtedy powiedziałam coś, czego od razu pożałowałam. Czemu nie odgryzłam sobie języka?! – Możesz zatrzymać się u mnie. Mieszkam z ojcem emerytem, psem i piętnastoletnią córką. Jeśli więc nie masz uczulenia na sierść i jesteś w stanie znieść takie towarzystwo...

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Nie znam cię – rzuciła.

Wyjęłam z kieszeni wizytówkę, a z portfela dowód.

– Nazywam się Franka Kruk. – Nie mogłam sobie przypomnieć, czy przedstawiłam się jej wcześniej. – Jestem prywatną detektywką.

– Franka Kruk? – wymówiła moje imię i nazwisko jakimś dziwnym tonem, którego nie potrafiłam zinterpretować.

Pokiwałam głową.

– Nie jestem seryjną zabójczynią, a ty, zdaje się, nie jesteś najlepszą osobą, żeby zabić dla pieniędzy.

Usta jej drgnęły, ale nie uśmiechnęła się.

– No dobrze – mruknęła w końcu.

„No dobrze”? Każdy inny człowiek powiedziałby „dziękuję”, a nawet „dziękuję bardzo”, bo naprawdę ratowałam jej tyłek. Każdy inny człowiek, jednak nie ona.

– No to jedźmy – powiedziałam tylko i przekręciłam kluczyk w stacyjce.

I w ten sposób jechałam do domu może nie z zabójczynią Soni Marchlewskiej, ale na pewno z jej stalkerką.

## Rozdział 32

Miški ciągle nie było i nie odbierała telefonu.

– Jak mogłeś jej pozwolić, tato? – spytałam z wyrzutem.

Tylko na mnie popatrzyl, również z wyrzutem.

– A przypomniałeś sobie chociaż, do której koleżanki poszła?

– Do jakiejś Wioletty.

– Miśka nie zna żadnej Wioletty, tato!

Wzruszył ramionami. Zawsze mi powtarzał, że to nieelegancko, ale chyba jednak zaraził się od nas tym gestem.

– Może coś źle zrozumiałem.

Trzasnął starą krzyżówką o blat stolika do kawy, wstał i wyszedł do kuchni.

Wyszarpnęłam z kieszeni telefon, wybrałam numer córki i po raz kolejny dowiedziałam się, że połączyłam się z pocztą głosową.

– O której wyszła?! – zawołałam.

– Zaraz po lekcjach! – odrzyknął. Ledwo go słyszałam, bo warczał ekspres do kawy. Jeśli ojciec wypije o tej godzinie cokolwiek z kofeiną, będzie miał noc z głowy.

Do diabła! Nie było mnie w domu pół dnia.

– A obiad?

Mój własny ojciec, uosobienie cnoty gościnności, wparował do pokoju z dwiema filiżankami kawy. Szedł ostrożnie, żeby się nie wylała. Nie zapomniał o spodeczkach.

– Powiedziała, że ze u tej Wioletty. A ty jesteś bardzo niegościnna, wiesz, córeczko?

Spojrzałam na Marlenę. Spuściła wzrok i wymamrotała do ojca:

– Dziękuję.

Postawił kawę na stoliku, rozlewając trochę na spodek, westchnął i znowu skierował się do kuchni. Zapewne po łyżeczki i cukier.

Odwrociłam głowę do okna. Na zewnątrz zapadała już ciemność. Szyba znowu była mokra. Lola trąciła mnie nosem.

– Ona już dostała jeść – powiedział ojciec. Ułożył łyżeczki na spodeczkach, ale nie podał cukru. – Nie daj się nabrać.

Pogładziłam psa po grzbiecie. Nie wiedziałam, co mam zrobić.

– Pojadę jej poszukać, tato – zdecydowałam.

– Po nocy?

– Do diabła, jeszcze nie ma nocy! – warknęłam. – Jest po prostu ciemno, jak to w październiku w taką pogodę. Porozglądam się, może ją zobaczę. Nie chcę, żeby zmokła.

Marlena poderwała się z fotela.

– Pójdę z tobą.

Nie wypila nawet łyka kawy, którą zrobił mój ojciec.

– Nie musisz – powiedziałam.

– Pomogę ci – uparła się.

W sumie czemu nie? Chociaż tyle mogła zrobić.

Odwrociłam się do ojca.

– Czy Miśka mówiła, gdzie mieszka ta Wioletta?

Ojciec machnął ręką, co zapewne znaczyło, że nie mówiła albo żebym się od niego odczepiła. Zapadł się w fotel i znowu sięgnął po krzyżówkę.

– A chociaż widziałeś przez okno, w którą stronę poszła? W lewo czy w prawo?

– W prawo. Nie wiesz czasem, jak będzie port lotniczy Chicago, na pięć liter, czwarta r?

– Nie wiem – warknęłam i w tym samym momencie Marlena podpowiedziała:

– O'Hare. O-H-A-R-E – przeliterowała, po czym złapała moje spojrzenie i wzruszyła ramionami. – No co?

– Ona na pewno zaraz wróci – powiedział ojciec, nie odrywając wzroku od krzyżówki. – Nie możesz jej przecież wszystkiego zabraniać. Nie jest już małym dzieckiem, zaraz skończy szesnaście lat.

– Tato... – zaczęłam, przez ułamek sekundy dumna z siebie, że przełknęłam słowo „kurwa”. – To nie ja jej zabraniam, tylko prawo...

– Nie prawo, a bezprawie – przerwał mi. – Do tej pory nie ma ustawy.

Marlena przewróciła oczami. Mogłabym ją prawie za to polubić.

– Teraz to i tak nieważne – westchnęłam. – Jest lockdown, a Michalina, jak słusznie zauważyłeś, nie jest już dzieckiem. Mogą jej wlepić mandat albo narobić innych nieprzyjemności.

– Nikt tego nie sprawdza – mruknęła Marlena, czym straciła u mnie te kilka punktów, które wcześniej zyskała.

– A poza tym nie pozwoliłam jej nigdzie wychodzić bez uzgodnienia ze mną – ucieęłam. – Idę.

I wtedy w drzwiach zazgrzytał klucz.

Miśka pachniała październikowymi liśćmi i dymem. Ktoś pewnie znowu nielegalnie palił coś na posesji. Na policzkach miała rumieńce, a na rzęsach tusz. Wyglądała lepiej niż przez ostatni miesiąc. Właściwie niż przez cały ten czas, od kiedy sprowadziłyśmy się z powrotem do Brwinowa.

Lola zaczęła ją obskakiwać i lizać.

– Gdzie byłaś? – zapytałam cicho.

– U koleżanki – burknęła moja córka. Dobry wygląd nie przełożył się na poprawę jej zachowania.

– U której?

– U takiej jednej. Nie znasz jej.

Wytarłosiła Lolę za uszy, pocałowała ją w czubek głowy i ruszyła do swojego pokoju.

– Chwileczkę – zatrzymałam ją. – Najpierw chcę się dowiedzieć, gdzie byłaś. I dlaczego w ogóle wyszłaś, skoro nie wolno.

– O Jezu, mamo! – Zatrzymała się w połowie pokoju, po czym spojrzała na Marlenę. – Kto to jest?

– Mówi się „dzień dobry” – pouczył Miśkę dziadek.

Na chwilę zapadło milczenie. Lola niespodziewanie podbiegła do Marleny i położyła jej łeb na udzie, a ta podrapała ją za uchem.

– To jest Marlena Sobieska. Pomieszka u nas przez kilka dni – powiedziałam powoli, a potem poszłam do kuchni. Skręcało mnie z głodu.

## Rozdział 33

Po obiedzie Marlena powiedziała, że pozmywa, co było mi bardzo na rękę, bo zmywarka padła w zeszłym miesiącu, a ja ciągle bałam się szastać na prawo i lewo kasą od Łukasza. Ojciec poszedł do siebie. Słyszałam, jak trzeszczą deski podłogi, a potem sprężyny fotela. Lola umościła się na legowisku pod biurkiem.

Nie mogłam wymyślić żadnego pretekstu, żeby to odwlec. Podeszłam więc do drzwi Miśki i zapukałam, chociaż przekroczenie progu jej pokoju oznaczało mniej więcej to samo co wejście do klatki z głodnym tygrysem.

Nie odpowiedziała, ale i tak nacisnęłam klamkę.

– Mogę?

Siedziała skulona w fotelu, z komórką w dłoni. Nie paliła się żadna lampa i moją córkę oświetlały tylko blask ekranu oraz mdłe światło latarni ulicznej.

– Gdzie byłaś? – spytałam.

– Jezuu, mamo! Znowu zaczynasz? Czy ja mogę w tym domu pobyc trochę sama?!

Odsunęłam dwie bluzy i jakieś pojedyncze skarpety, po czym przysiadłam na krawędzi łóżka.

– Nie znasz żadnej Wioletty.

– A ty skąd wiesz, kogo znam?

Westchnęłam. Ostatnio wzdychałam tak często, że zaczynało grozić to rozedmą płuc.

– Ach, zapomniałam – powiedziała moja córka, na tyle już dorosła, że wprawnie posługiwała się ironią. – Jesteś przecież detektywką. Zawsze docierasz do prawdy.

– Coś w tym rodzaju. Więc gdzie byłaś?

Nie odpowiedziała. Gapiła się w ekran tego głupiego telefonu. Wkurzało mnie to tak bardzo, że musiałam zacisnąć dłoń w pięści, żeby nie wybuchnąć.

Milczałam. Po pierwsze nie miałam pojęcia, co powiedzieć, a po drugie wiedziałam, jak ciska działa na ludzi, na moją córkę też. W końcu się zdenerwuje i wykrzyczy mi w twarz, gdzie była.

Siedziałam w ciszy i ciemności, nasłuchując skrzypiącego domu.

Krzyknęła tak nagle, że aż drgnęłam.

– Z chłopakiem, okej?! Jak już musisz koniecznie wszystko wiedzieć!

– Z jakim chłopakiem?

– Z takim jednym. – Znowu opuściła głowę i wpatrzyła się w ekran. – Nie znasz go.

Może powinnam go poznać, pomyślałam.

– A ty skąd go znasz?

– Jeeezuu, maaamo! Z internetu! A skąd mam go znać? Przecież nie ma szkoły i nigdzie nie wychodzę. – Płasnęła telefonem o kolano. – Dobrze nam się gadało i postanowiliśmy się spotkać w realu. On jest z Milanówka, ma blisko.

– I co, fajny?

– Może być. – Znowu podniosła komórkę.

– Córeczko... Miśka...

– Mamo, daj spokój. – Popatrzyła na mnie jak na wariatkę. – Wiem, co chcesz powiedzieć, ale teraz wszyscy poznają się w internecie. Taki lajf.

– Taki lajf – powtórzyłam. – Nie, ja chciałam coś innego. Może chcesz, żebym poszła z tobą do ginekologa? Masz już piętnaście lat, prawie szesnaście i możesz legalnie... – Słowo „seks” w odniesieniu do

mojej córki nie chciało mi przejść przez gardło. – Powinnaś się zabezpieczać.

Wyprostowała się gwałtownie.

– Jesteś wariatką, wiesz?! Człowiek wychodzi się spotkać z drugim człowiekiem, a ty myślisz wyłącznie o seksie!

– Nie myślę wyłącznie o seksie. Myślę o konsekwencjach. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że zawsze możesz do mnie przyjść.

– Tak, tak – burknęła. – Zawsze to mówisz.

– Bo tak jest.

W jej telefonie coś bzyknęło i znowu skupiła na nim uwagę.

– W każdym razie – podjęłam – gdybyś potrzebowała...

– Nie potrzebuję. Mamo, jaki seks?! My się dopiero poznaliśmy.

A ja nie mam pojęcia, co teraz robią nastolatki w jej wieku. Sypiają z kim popadnie czy wolą pocze-kać? Byłam beznadziejnym dinozaurom, który nic nie wie o swoim dziecku.

– Miśka.

Podniosła głowę znad ekranu.

– Tak czy inaczej nie wolno ci wychodzić z domu bez mojej wiedzy. Jest lockdown.

– A ty możesz? – odparowała.

– Ja pracuję!

– Jasne. „Ktoś musi płacić za to wszystko!” – Przedrzeźniała mnie tak dobrze, że prawie usłyszałam swój głos.

– Dokładnie tak – wycodziłam przez zaciśnięte zęby.

– A jak jedziesz na seks z tym policjantem, to też jest praca?

Kurwa! Prawie powiedziałam to na głos.

– Jestem dorosła. To moja prywatna sprawa, co robię i z kim. A ty masz piętnaście lat!

Usłyszałam kroki na górze. Ojciec musiał usłyszeć, jak krzyczę. Nic mnie to nie obchodziło.

– I masz mnie słuchać, gówniaro! – wydarłam się. – To nie moja wina, że jesteśmy w takiej sytuacji... – Urwałam gwałtownie, bo nagle zeszło ze mnie powietrze.

– A może moja, co?! – wrzeszczała Miśka. – To, że jesteśmy w takiej dupie! To, że jest ta głupia pandemia! To, że nie ma ojca...

Rozryczała się. Telefon upadł jej na podłogę i nawet się po niego nie schyliła. Skuliła się na fotelu i objęła kolana ramionami, a włosy opadły jej na twarz.

Objęłam ją mocno, najmocniej, jak tylko potrafiłam, i Miśka przyłgnęła do mnie, jakby nie była zbuntowaną nastolatką, tylko słodką dziewczynką, którą ciągle zbyt dobrze pamiętałam i która nigdy nie miała dosyć całusów i przytulania.

Siedziałyśmy tak, wczepione w siebie jak dwaj rozbitkowie na tratwie. Ramiona Miśki drgały od płaczu. Latarnia na ulicy zamigotała, na sekundę zgasła i znowu się zapaliła.

– Kocham cię, córeczko – powiedziałam cicho.

Nie wiem, czy mnie usłyszała przez szloch, ale to było nieważne. Liczyło się tylko to, że trzymałam w ramionach ciepłe ciało, już nie dziecka, a prawie dorosłej kobiety, że wokół panował półmrok, a ja czułam bijące od niej ciepło i mogłam tak siedzieć do końca świata.

Miśka poruszyła się i odsunęła ode mnie.

– Masz jakąś chusteczkę? – spytała.

Wyciągnęłam z kieszeni zmiętą ligninę. Wydmu-chała głośno nos.

– Czy ta baba, ta cała Marlena, naprawdę będzie u nas mieszkać? Nie ma własnego domu?

– Ma – odparłam. – To trochę skomplikowane. Zostanie u nas tylko na dwa dni, okej?

– Okej.

Jeszcze raz wydmuchała nos, a potem wytarła oczy.

– Nie trzyj, bo się rozmażesz – powiedziała. – W łazience stoi mój płyn do demakijażu. Zmyj sobie, bo samym mydłem nie zejdziesz.

– Jezu, przestań mi mówić, co mam robić!

Podniosła telefon, obejrzała wyświetlacz, czy nie pękł, a potem zerknęła, czy nie przyszła do niej wiadomość. Siedziała i przyglądała się temu bez słowa.

– Wszystko dobrze, mamo. – Spojrzała na mnie. – Serio, wszystko w porządku. Możesz sobie iść.

Chciałam coś powiedzieć, coś w stylu, że damy radę albo przejdziemy przez to razem, zamiast tego jednak wstałam bez słowa i wyszłam.

– I zamknij za sobą drzwi! – krzyknęła za moimi plecami.

Zamknęłam.

## Rozdział 34

Marlena stała przy moim biurku i patrzyła na zdjęcie, które zrobiłam pięć albo sześć lat wcześniej, zimą. Rzucaliśmy się śnieżkami, a Lola, wtedy jeszcze szczeniak, chociaż już wyrosnięty, próbowała je zjadać. Nasze kurtki były białe od śniegu. Marcin chwycił Miśkę w objęcia i kiedy Lola zaczęła na nich skakać, bo też chciała się przyłączyć do zabawy, zawołałam, żeby na mnie spojrzeli, i cyknęłam to zdjęcie.

Jakoś nie potrafiłam go schować, bo wtedy nie musiałabym już więcej patrzeć na to, jacy byliśmy szczęśliwi.

Kiedy mnie usłyszała, dała krok do tyłu, jakby zrobiła coś złego.

– Chcesz jeszcze kawy? – zapytałam.

Pokręciła głową.

– To twoja rodzina? – Spojrzała na fotografię.

– Mój mąż nie żyje – ucięłam, zanim zaczęła dopypywać o szczegóły.

Poruszyła wargami.

– Może... Wiesz co, jednak podzwonię po znajomych i zacznę się u kogoś innego.

Wzruszyłam ramionami. Dla mnie tylko lepiej.

Usiadła z komórką na kanapie, ale wbrew temu, co powiedziała, nie zaczęła dzwonić, tylko pisać. Trochę to trwało. Umościłam się więc za biurkiem, a Lola w moich nogach. Poruszyłam myszką, żeby obudzić system.

– Kurwa – usłyszałam w końcu.

Nie żebym miała coś przeciwko przekleństwu, ale wolałam, żeby nie słyszał ich mój ojciec.

– Jedni nie mogą, a tych, co by mogli, nie ma – wyjaśniła Marlena.

– Moje zaproszenie jest aktualne – powiedziałam, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Nic chcę ci przeszkadzać – mruknęła.

– No to nie przeszkadzaj. Poczytaj sobie albo co, ale jeśli chcesz coś oglądać na telefonie, to raczej w słuchawkach, bo mam sporo pracy.

– Jasne.

Odsunęła się dalej ode mnie.

– Naprawdę jesteś detektywką i badasz sprawę śmierci Soni Marchlewskiej?

– Nie ekscytuj się. To nudna sprawa, dla firmy ubezpieczeniowej. – Nie zamierzałam opowiadać jej o zleceniu od Łukasza.

– Ja myślę, że to mąż ją zabił.

Odrzuciłam głowę tak szybko, że aż mi chrupnęło w szyi.

– Masz jakieś fakty na poparcie tej teorii? – zapytałam.

– Chciała go zostawić.

– Zostawiła go – skorygowałam.

– No i on ją zabił.

Wyjechałam z fotelem zza biurka tak, żebyśmy mogła ją zobaczyć.

– W twojej wersji wydaje się to bardzo proste – powiedziałam. – Ale myślę, że „chciała go zostawić” to za słaby argument dla mojego zleceniodawcy.

Rozłożyła ręce.

– Sonia się go bała.

O! To nowość.

– Powiedziała ci?

Skrzywiła się.

– Nie do końca.

– Czyli nie powiedziała. Bo miałaś zakaz zbliżania się – dodałam. – Stalkowałaś ją.

– Wcale jej nie stalkowałam. Chciałam jej pomóc.

– Rozumiem. I za chęć pomocy sąd wystawił ci zakaz.

– Nic nie rozumiesz! – zawołała. – Sonia miała problemy, naprawdę poważne. Chciałam po prostu jej pomóc. Próbowалам się z nią skontaktować, tylko on na to nie pozwalał.

Nie potrafię zbyt dobrze kontrolować wyrazu twarzy – zdaję sobie z tego sprawę, dlatego wiem, że w tamtej chwili miałam na niej wypisane: „Co za kosmiczna bzdura”.

– Dobra – powiedziałam, wracając z fotelem przed komputer. – Ja mam jeszcze dzisiaj sporo roboty, więc zajmij się, proszę, swoimi sprawami, tylko po cichu. – Znalazłam plik, w którym zaczęłam zbierać informacje, i otworzyłam go.

– Nie wierzysz mi?

– Nie bardzo – mruknęłam. – A teraz, jeśli możesz...

– Jeszcze cię przekonam. – Przesunęła się na drugi koniec kanapy i wyjęła komórkę, ja zaś zaczęłam intensywnie myśleć i bynajmniej nie o raporcie, który na mnie czekał.

Policja podejrzewała Łukasza. Marlena twierdziła, że to on zabił Sonię. No dobra, może nie zaraz „zabił”, ale był zamieszany w jej śmierć. Wiele razy w przeszłości przekonałam się, że sprawcy zawsze należy szukać w najbliższym kręgu ofiary. Tylko że przecież dobrze znałam Łukasza! Byłam w nim kiedyś śmiertelnie zakochana, uprawialiśmy niezmiernie seks (inna sprawa, że oboje mieliśmy wtedy po niecałe dwadzieścia lat) i okej, nie wyszło nam, ale to wcale nie znaczyło, że miał coś wspólnego ze śmiercią Soni. Zresztą to ja go rzuciłam...

Próbowałam zebrać myśli. Marlena Sobieska, upierdliwa niespełniona dziennikarka, z pewnością potrafiła uprzykrzyć Soni życie, jednak jej nie zabiła. Tego byłam pewna.

Co jeszcze wiedziałam?

Że Sonia w wieczór poprzedzający jej śmierć spotkała się z koleżankami z klasy, których nie widziała od prawie dziesięciu lat. Po spotkaniu nie pojechała do domu, tylko ruszyła przelotówką do Warszawy. Czegoś się bała. Tak samo jak Natalia, która wyprosiła mnie z kawiarni.

Przypominałam sobie, że przecież miałam sprawdzić tę Natalię, tylko zapomniałam przez nagrania wyciągnięte od Zagórskiego i przekonanie, że to Marlena jest właściwym tropem.

Cóż, lepiej późno niż wcale. Weszłam szybko na stronę szkoły i wyszukałam rocznik Soni. Natalia w klasie była tylko jedna – Natalia Przewalska.

Musiałam zdobyć jej adres, sęk w tym, że łatwiej było powiedzieć, niż zrobić. Raczej nie mogłam już liczyć na pomoc pozostałych koleżanek Soni. Takiej informacji nie dałabym też rady wyciągnąć od szkolnej sekretarki, a przez to pieprzone RODO i tak nie znalazłbym jej w sieci!

I wtedy coś przyszło mi do głowy.

Kiedy wstałam, Marlena podniosła głowę znad telefonu, ale nawet na nią nie spojrzałam. Poszłam na górę i zastukałam do sypialni ojca. Usłyszałam „proszę” i weszłam. Leżał z książką na łóżku.

– Nie śpisz?

– Noc jest do spania, córeczko, nie dzień.

Jasne. To mówi facet, który codziennie ucina sobie drzemkę.

– Ty znasz wszystkich w Brwinowie. – Nie ma to jak zacząć od polechtania jego próżności. – To może znasz też niejakich Przewalskich?



– Przewalskich, Przewalskich... Czekaj. – Usiadł i spuścił nogi na podłogę, a potem wsunął stopy w kaptcie ustawione przy łóżku. – A to nie są ci z Powstańców Warszawy?

Gdybym wiedziała, przecież nie przyszedłabym do niego z tym pytaniem.

– A mają córkę Natalię?

– Hm, tego nie wiem – zasępił się ojciec. – Ale na pewno jakąś mają. Pamiętam, jak stary Przewalski przychodził z nią...

– Dzięki, tato! Śpij dalej. Nie przeszkadzam ci.

– Mówiłem ci przecież, że nie śpię!

Zamknęłam za sobą drzwi.

Powstańców Warszawy znajdowała się na drugim końcu Brwinowa, za torami, po tej gorszej stronie. W sumie niedaleko, ale tak już się przyzwyczaiłam do jeżdżenia wszędzie samochodem, że nawet do głowy mi nie przyszło pójść tam na piechotę. Taniej byłoby rowerem, tym bardziej że stał w szopie i się kurzył – wymagał jedynie solidnego smarowania. W Warszawie starałam się korzystać z komunikacji miejskiej, ale życie w tym cholernym miasteczku rozleniwia.

Zerknęłam w okno. Podwórko spowijała smolista czern, zegar w komórce mówił jednak co innego – że wcale nie jest późno. W każdym razie nie za późno, żeby złożyć komuś niezapowiedzianą wizytę.

## Rozdział 35

Dom był niebrzydki, ale zaniedbany. Nie żeby zaraz ruina – po prostu krzaki domagały się przycięcia, trawnik wygrabienia, brama pomalowania, a ściany świeżego tynku. W oknach wisiały firanki, a przebijające zza nich światło było przytulne i ciepłe. Wyglądał jak tysiące domów w tym miasteczku: dość urokliwy, choć niekoniecznie wart tyle, ile wynosił koszt generalnego remontu.

Zadzwoiłam do furtki. Najpierw rozległo się szczekanie, a potem zatrzeszczał domofon, ewidentnie nowy, drogi i pasujący do bramy jak pięść do nosa.

Wiedziałam, że mam tylko jedno podejście.

– Dobry wieczór – powiedziałam. – Przepraszam, że przeszkadzam, ale czy nie przybliżał się do państwa dziś wieczorem pies? Uciekł mi.

W domofonie jeszcze raz zabrzęczało i zamek odskoczył, a ja ruszyłam ścieżką wyłożoną betonowymi płytami chodnikowymi. Były nierówne, a ścieżka słabo oświetlona.

W drzwiach stanęła kobieta. Próbowwała powstrzymać małego kundla, ale przemknął się koło jej nog, podbiegł do mnie i skoczył mi na spodnie. Nawet w słabym świetle widziałam odciski świeżo zabloconych łap.

– Azor! Przepraszam panią najmocniej! Azor, nie skacz, nie wolno!

Pies zatańczył wokół mnie. Pochyliłam się, dałam mu dłoń do powąchania, a potem poklepałam po boku. Ogón o mało mu się nie urwał ze szczęścia.

– Proszę, niech pani wejdzie. – Kobieta, którą wzięłam za matkę Natalii Przewalskiej, odsunęła się, żeby zrobić mi przejście. – Azor, nie wolno skakać, przecież wiesz.

Azor nie wyglądał na takiego, który wie. Nie wyglądał też na psa, którego kiedykolwiek poważniej skarcono.

– Proszę, proszę do środka. Bardzo panią ubłocił? Może spróbuję to szczyścić?

Machnęłam ręką.

– Proszę się nie przejmować, to moje spodnie na spacer z psem. Uciekł mi przed dwoma godzinami. Przestraszył się motocykla, a ja akurat przepinałam smycz. Może państwo widzieli?

Wyciągnęłam komórkę i pokazałam zdjęcie Loli. Wybacz, Lolita, pomyślałam. Mam nadzieję, że właśnie bezpiecznie obracasz się na drugi bok w swoim koszyku pod biurkiem.

Kobieta obejrzała fotografię i pokręciła głową.

– Bardzo mi przykro, ale niech pani chwilę poczeka, zapytam męża. Poszedł na górę się położyć.

Miałam na końcu języka „Proszę go nie budzić”, jednak się powstrzymałam. Żaden psiarz by tak przecież nie powiedział.

– Bardzo dziękuję – odparłam szybko.

– Może pani wejdzie dalej?

– Nie będę państwu brudzić. – Pokazałam na swoje mokre buty.

Kobieta, która musiała być matką Natalii Przewalskiej, miała sporo zaufania do ludzi, bo poszła na górę, nie licząc się z tym, że mogłam właśnie wpuścić współników i wynieść jej pół domu. Tacy byli starzy mieszkańcy Brwinowa – wpuszczali nieznajomych do własnej kuchni i oferowali im szklankę wody. Obawiałam się, że mój ojciec też by tak zrobił.

Rozejrzałam się po wąskim przedpokojku – na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć. Dziewczynka, przypuszczalnie Natalia, stawia pierwsze kroczki w ogródku przed domem, który wyglądał wtedy na o wiele bardziej zadbane. Dziewczynka bez górnych jedynek, za to z kucykami, prezentuje świadectwo

z czerwonym paskiem. Dziewczynka i jej mama, albo inna dorosła kobieta, w kostiumach kąpielowych na plaży. Dziewczynka na koniu, pewnie w stadninie za Podkową. Dziewczynka z koleżankami. Dziewczynka w klasie podstawówki, liceum, na studiach.

Sądząc ze zdjęć, Natalia była jedynym i w dodatku późnym dzieckiem, takim, na które czeka się pół życia, a kiedy wreszcie się pojawia, człowiek zaczyna się martwić, czy doczeka jego matury albo końca studiów.

Azor kręcił się wokół moich nóg. Poglądałam go delikatnie, a on runął na plecy i odsłonił brzuch. Podrapałam go najpierw po gardle, a potem pod pachą.

– On pani nie da spokoju, to straszny pieszczoł – powiedziała matka Natalii. Schodziła ze schodów powoli, mocno trzymając się jedną ręką poręczy. – Mąż mówi, że nie widział w okolicy żadnego pieska biegającego luzem. Bardzo mi przykro. Proszę popytać sąsiadów. Może ktoś przyuważył.

Azor przekręcił się na bok i postukiwał ogonem w podłogę, na wypadek, gdybym zapomniała, że tu jest.

– To państwa córka? – zapytałam i pokazałam głową zdjęcia.

Matka Natalii zeszytniała. W ułamku sekundy zamieniła się z człowieka w robota.

– Wyjechała do Niemiec – odparła. – Dostała tam pracę.

– Czy mogę się z nią jakoś skontaktować?

– Pani tu przysła w sprawie psa? – Kobieta podniosła głos.

– Proszę pani. – Staralam się uśmiechnąć, ale niezbyt mi wyszło. – To bardzo ważne. Muszę koniecznie porozmawiać z Natalią. Jak najszybciej.

– Jest w Niemczech – powtórzyła jej matka. – Nie mogę pani podać numeru telefonu.

– Jeszcze kilka dni temu była w Brwinowie – zauważyłam.

– Dobranoc pani.

Kobieta przepchnęła się obok mnie i szeroko otworzyła drzwi frontowe. Nawet Azor rozumiał, że to nie dla niego.

Potarłam ręką czoło. Nie miałam wyjścia, musiałam powiedzieć jej prawdę.

– Nie jestem żadną dziennikarką, pracuję dla agencji ubezpieczeniowej. – Jakoś mi się wydawało, że lepiej nie wspominać Łukasza. – Chodzi o wypadek Soni Marchlewskiej.

Matka Natalii stała nieruchomo z ręką na klamce.

– Czy córka coś pani mówiła o spotkaniu z koleżankami z liceum? – ciągnęłam. – Tym, na którym była też Sonia?

– Proszę już iść.

Wyjęłam z kieszeni wizytówkę.

– Gdyby chcieli państwo porozmawiać – pani albo pani mąż – proszę do mnie zadzwonić.

Trzymałam wizytówkę przed jej nosem, ale ona nie wykonała najmniejszego gestu, żeby ją wziąć albo przynajmniej odepchnąć moją rękę. Patrzyła prosto przed siebie – nie na mnie, nie na wizytówkę, tylko gdzieś w przestrzeń.

– Dobranoc – powiedziałam w końcu i wyszłam.

Byłam już przy furtce, kiedy zawołała:

– Naprawdę zgubiła pani psa?!

Odwróciłam się.

– Nie. Dziękuję, że pani pyta. Jest w domu i czuje się dobrze.

Zatrzasnęła za mną drzwi.

## Rozdział 36

Sonia czegoś się bała, tak samo jak jej koleżanki, a Natalia bała się do tego stopnia, że w ciągu kilku dni zawinęła się za granicę.

Nie miałam pojęcia, czego albo kogo tak się boją, ale przynajmniej rozumiałam, dlaczego policja podejrzewała Łukasza. Śmierć Soni to na pewno nie był wypadek.

Niestety, Zagórski nie chciał o tym rozmawiać. Nawet się ucieszył, kiedy zadzwoniłam, jednak gdy tylko padło pierwsze pytanie, rzucił słuchawką. Na seks też się nie umówiliśmy.

Pozostało mi jedno. Postawiłam przed Marleną herbatę i usiadłam w fotelu naprzeciwko.

– To czarna? – Pociągnęła nosem. – Bo ja czarnej nie mogę.

– Hibiskus – uspokoiłam ją. Smakował obrzydliwie i pił go tylko mój ojciec, ale nic innego nie miałam w domu. Zapomniałam kupić.

– Opowiedz mi o Soni Marchlewskiej – poprosiłam. – Dokładnie, jak to było z tym zakazem zbliżania się.

Popatrzyła na mnie podejrzliwie, podniosła kubek i chciała upić łyk, herbata okazała się jeszcze za gorąca. Marlena zacisnęła usta, a ja cierpliwie czekałam.

– Po prostu chciałam jej pomóc – powiedziała w końcu.

– Zadzwoniłaś do niej i poprosiłaś o wywiad?

– Chodziło o duży miesięcznik, więc to był pewniak. Wiedziałam, że Sonia nie odmówi.

Marlena nigdy wcześniej nie opublikowała żadnego wywiadu, aż tu nagle prestiżowe pismo zleca jej rozmowę z popularną aktorką. Ciekawe, jak to załatwiła, bo bez znajomości na pewno się nie obeszło.

– No i?

Wzruszyła ramionami.

– Wszystko było fajnie, dopóki do domu nie wrócił jej mąż. Sonia się zamknęła, rozumiesz? Nie chciała już nic powiedzieć, tylko patrzyła w taki dziwny sposób, jakby prosiła o pomoc.

Patrzyła w dziwny sposób...

– A co było potem?

– Wysłałam jej ten wywiad do autoryzacji, a ona połowę z niego wywaliła. Wszystko, co mówiła o miłości, która może niszczyć, chociaż sama mi to wcześniej powiedziała, bez pytania.

Czyli, tłumacząc z języka Marleny na powszechnie zrozumiały, Sonia uznała, że nie będzie się tak otwierać przed szeroką publicznością.

– A potem?

– Próbowałam się do niej dodzwonić, wielokrotnie. Pisałam też mejle, ale nie odpowiadała. Chciałam z nią porozmawiać, zapytać, czy naprawdę potrzebuje pomocy, ona jednak wyraźnie mnie unikała.

Wyraźnie unikała dziennikarki, która zrobiła z nią tylko jeden wywiad i miała bardzo męczący sposób bycia.

– Kilka razy odebrał mąż i powiedział mi, żebym przestała dzwonić. Bardzo ostrym tonem. Jakiś czas później przenieśliam się do Podkowy, bo moja znajoma, ta, co teraz jest w Londynie, szukała współlokatorki. Wcześniej mieszkałam na Tarchominie. Tu jest fajniej, taniej niż w Warszawie, no i miałam blisko do Soni.

– I?

– Czekałam na nią przed bramą i raz, gdy akurat wyjeżdżała, wsiadłam do jej samochodu. Zdążyłam tylko powiedzieć, żeby zadzwoniła, jeśli potrzebuje pomocy, bo zaraz wybiegł jej mąż i wyrzucił mnie

z auta. A kilka dni później dostałam pismo z sądu. I tyle. – Wzruszyła ramionami.

Marlena ewidentnie nie należała do tych niebezpiecznych stalkerów, ale do tych upierdliwych na pewno. Wcale mnie nie dziwiło, że ani Sonia, ani Łukasz nie chcieli, żeby im się kręciła wokół domu. Coś mi przyszło do głowy.

– A jak tak wystawałaś pod domem Soni...

– Nie wystawałam, tylko czekałam na nią.

– A kiedy tak czekałaś na Sonię, nie zauważyłaś jeszcze kogoś, kto by się tam często pojawiał? Piesze go albo w aucie?

Pokręciła głową.

– Poza tym już ci mówiłam, Sonię zabił jej mąż – odparła. – On był o nią patologicznie zazdrosny.

I tak właśnie wróciłyśmy do punktu wyjścia. Odchyliłam się do tyłu w fotelu i zamyśliłam się. Kiedyś nie wierzyłam w te pokoleniowe bzdury o iksach, igrekach, zetkach i tak dalej. Uważałam, że to wszystko zależy od wychowania, ale ostatnie lata z Mišką dały mi w kość i zaczęłam się nad tym zastanawiać. A teraz miałam ostateczne potwierdzenie: ja byłam iksem, Marlena igrekiem i rozmawiałyśmy jak gęś z prosięciem.

Tylko dlaczego Łukasz kłamał, mówiąc, że nie wie o stalkercie Soni?

– Mówi ci coś nazwisko Natalia Przewalska? – zapytałam w końcu.

– Nigdy o niej nie słyszałam.

Westchnęłam ciężko. Zupełnie nie rozumiałam, dlaczego to jest takie trudne i co rusz dochodzę do ściany.

– Jaka była Sonia? – spytałam więc ze zwykłej babskiej ciekawości. Chciałam się dowiedzieć czegoś więcej o kobiecie, z którą ożenił się mój były chłopak.

– Miła.

– Miła? – powtórzyłam. Już słyszałam to określenie od jej szkolnych koleżanek, wtedy jednak wydało mi się, że użyły go, bo po prostu nie wiedziały, co o niej powiedzieć.

– Bardzo. – Marlena pokiwała entuzjastycznie głową. – Podczas rozmowy miałam wrażenie, że naprawdę chce się czymś podzielić, a nie tylko rozmawia, bo musi.

A może po prostu była lepszą aktorką, niż wszyscy uważali?

– Za to jej mąż jest straszny – dodała, zerkając na biurko, na którym stało zdjęcie Marcina i Miški.

Znowu zaczęła najeżdżać na Łukasza. Jeszcze chwila, a zaczniesz pytać o mojego męża, pomyślałam i postanowiłam zmienić temat.

– Nie miałam okazji ci powiedzieć, ale nie mamy wolnego pokoju. Będziesz spać tutaj na kanapie, dobrze? Ona jest całkiem wygodna, rozkłada się.

Marlena wzruszyła ramionami na znak, że to kolejna rzecz, co do której jest jej wszystko jedno.

– Pościel jest w środku. Zaraz ci przyniosę powłóczki i ręcznik. Jeśli potrzebujesz jakichś kosmetyków, możesz skorzystać z tego, co jest w łazience.

Chętnie usłyszałabym „dziękuję”, ale ona tylko skinęła głową.

Wpełzałam pod biurko, odłączyłam laptopa od drukarki i wyciągnęłam wtyczkę z gniazdka. Przez dwa najbliższe dni mogłam pracować w łóżku. W sypialni. Za zamkniętymi drzwiami.

Byłam w połowie schodów i właśnie starałam się nie nadepnąć na kabel od laptopa objijający się o stopnie, kiedy ktoś zadzwonił do furtki. Uznałam, że jeśli odłożę komputer na schodek, a ojcu przyjdzie do głowy akurat w tej chwili zejść na dół, to będzie katastrofa.

– Możesz otworzyć?! – krzyknęłam do Marleny. – Naciśnij przycisk w domofonie.

Zawróciłam z laptopem i położyłam go na biurku.

– Dzień dobry? – usłyszałam zdziwiony głos. Kobiety. Ktokolwiek to był, nie spodziewał się zobaczyć u nas obcej osoby.

Poszłam szybko do przedpokoju.

– O, cześć, Franka. – Ewa odetchnęła z ulgą. – Już się bałam, że pomyliłam domy, ale pomyślałam sobie: przecież to niemożliwe! Tyle razy tu byłam, kiedy jeszcze chodziłyśmy do szkoły. No i miałam rację.

– Wejdziesz? – zapytałam słabo. Nie miałam ochoty słuchać jej gadania, ale jeszcze mniejszą ochotę miałam gadać do Marleny i słuchać ciszy w odpowiedzi.

– Przyjechałam po ciebie – powiedziała Ewa. – Jak się umawiałyśmy.

O rany, całkiem zapomniałam! Umówiłyśmy się na wtorek.

– Słuchaj, niestety nie mam jeszcze dużo...

– Nie wygłupiaj się. Człowiek tylko dziczeje od tego siedzenia w domu!

To prawda. Miałam dosyć własnego ojca i dziecka! Miałam nawet dosyć Marleny, która pojawiła się przecież dopiero przed kilkoma godzinami.

– Kto to jest? – zapytała Ewa szeptem i wymownie spojrzała na drzwi do salonu.

– Znajoma. To długa historia. Mam się przebrać?

– Nie, dobrze jest. Chodź. – Ewa pociągnęła mnie za rękaw.

Zdjęłam z wieszaka kurtkę i Lola od razu wystawiła łeb do przedpokoju. Niezły był z niej pies stróżujący – pojawiał się dopiero, kiedy pani wychodziła, a nie, kiedy zjawiał się ktoś obcy.

– Ty się połóż – powiedziałam do niej. – Cały czas leje.

Zupełnie jakby zrozumiała każde słowo – cofnęła się i po chwili usłyszałam trzeszczenie jej wiklinowego koszyka.

Rzeczywiście lało, nawet bardziej niż wcześniej. Nim doszłam do samochodu, zmokły mi włosy.

– Ja skądś znam tę twoją znajomą – powiedziała Ewa i przekreśliła kluczyk w stacyjce. Silnik zakaszłał, ale zapalił.

– Ona mieszka w Podkowie – wyjaśniłam. – Pewnie nieraz minęłaś ją na ulicy.

– Coś ty, nie zapamiętuję ludzi, których mijam na ulicy. Nie, ja ją naprawdę skądś znam.

– Później sobie przypomnisz – rzuciłam, bo w ogóle mnie to nie interesowało. Zaczynałam żałować, że dałam się namówić na to wino.

A później pożałowałam tego jeszcze bardziej.

## Rozdział 37

– Franka! – zawołał Piotrek, kiedy holowana przez Ewę weszłam do ich salonu. – Dziewczyno, kopę lat!

Ucałował mnie z dubeltówki. W życiu bym go nie poznała. Miał zakola zachodzące na tył głowy, brzusek i podbródek całkowicie zlewający się z szyją. Wolałam nie myśleć o tym, jak ja zmieniłam się w jego oczach, w oczach ich wszystkich. Piotrek przynajmniej był w dobrym humorze. Podał mi kieliszek z jakąś nalewką, a ja nie pytałam, co to jest – wychyliłam od razu do dna.

Oprócz niego i Ewy w pokoju były jeszcze dwie inne pary.

– Franka!

Wszyscy na mój widok się ożywili i powstawali z kanapy oraz foteli. Logika nakazywała założyć, że wszystkich ich znam, ale rozpoznałam tylko Mariolę z firmy ubezpieczeniowej. I to dlatego, że zidentyfikowałam ją (a raczej zidentyfikowała ją dla mnie Dorota) kilka dni wcześniej.

– Naprawdę kopę lat!

– Ale super cię zobaczyć!

– Nareszcie wróciłaś do nas z wielkiego świata!

Kieliszek nalewki rozjaśnił mi w głowie. Ta w zielonym golfie to chyba była Renata. Kiedyś mieszkała naprzeciwko nas, ale nigdy się nie przyjaźniłyśmy, a później jej rodzice przenieśli się chyba do Pszczelina. Facetów nie kojarzyłam.

– Franka mnie nie poznaje – powiedział ten, który stał obok Renaty. Był nawet przystojny, ze szpakowatymi skroniami, a byłby jeszcze bardziej, gdyby zrzucił dziesięć kilo.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Szpakowaty podszedł i uściśnął mnie.

– To ja, Jacek.

Jacek? Rany boskie! Jacek był chudy jak szczypiołek przez całą podstawówkę i liceum, aż do matury.

– Marka to możesz nie pamiętać. – Mariola skinęła głową na swojego partnera, a on podał mi rękę.

– No pewnie, że go nie pamięta. On chodził do B. Wtedy się z tymi z B nie zadawaliśmy. – Piotrek się roześmiał i dolał mi nalewki.

Wypiłam drugi kieliszek, też do dna. Czułam, że przyda mi się więcej alkoholu w krwi.

Potem było jeszcze gorzej. Ewa przyniosła bigos („Pierwszy w tym roku, zawsze robię próbę przed Wszystkimi Świętymi”), Piotrek pokazywał zdjęcia świeżo urodzonej wnuczki, której imienia nie mogłam za cholerę zapamiętać, a Renacie zebrało się na wspomnienia z jakiejś szkolnej wycieczki do Wieliczki.

Bardzo szybko nastąpił nieuchronny na domówkach w moim rodzinnym miasteczku podział „panie na lewo, panowie na prawo”. Piotrek, Marek i Jacek poszli do kuchni i słyszałam dochodzące stamtąd dyskusje o wyższości modelu X nad poprzednim, albo odwrotnie. Mariola przesiadła się z fotela na kanapę i poklepała miejsce obok siebie. Ewa przycupnęła obok na pufie bez oparcia.

– No to opowiadaj – powiedziała do mnie.

Musiałam mieć wymalowany na twarzy znak zapytania, bo wybuchnęły śmiechem.

– O Łukaszu – rzuciła Renata. – Podobno znowu się spotykacie.

Pokręciłam głową tak energicznie, jakbym chciała ją sobie oderwać od karku.

– Nie spotykamy się, tylko...

– Dobra, dobra, Franka, my wszystko wiemy. Co drugi dzień parkuje u ciebie przed domem.

– Ale my wcale...

Mariola poklepała mnie po kolanie.

– Kochana, ty nam się nie tłumacz. Należy ci się po tym wszystkim.

– Pamiętacie, dziewczyny, jaki on był zakochany we France w liceum? – spytała Ewa. – Myśleliśmy, że weźmiecie ślub. A tu nic.

– Ha, ha, co się odwlecze... – spuentowała Renata.

– Słuchajcie, to wcale nie jest tak, jak myślicie – zaprotestowałam. Miałam ochotę wstać i wyjść.

– Ale wiecie co – odezwała się Mariola. – Jakbyście mi w szkole powiedziały, że Łukasz się dorobi takich pieniędzy, w życiu bym nie uwierzyła.

– No – zawtórowała jej Renata. – Pamiętacie go? Nosił koraliki na szyi i wszędzie laził z gitarą.

– A teraz? Właściciel połowy Brwinowa. Zgadnijcie, do kogo należy ta galeria handlowa, w której mam biuro!

Ewka nagle spowaźniała.

– Dajcie dziewczynie spokój – powiedziała. – Nie chce, niech nie opowiada. To pewnie na razie świeża sprawa. Bądźcie trochę delikatne, do cholery!

Pozostałe dwie pokiwały głowami ze zrozumieniem.

– A ty, Mariola, lepiej ją poprosz o to, o co miałaś poprosić, bo niedługo będziemy pijane.

Znowu się roześmiały.

– Ja już jestem pijana – przyznała rozbawiona Mariola. – Franka, daj mi jeszcze jedną wizytówkę. Bo tamtą gdzieś zgubiłam, a muszę mieć NIP i takie tam do umowy.

Wyjęłam wizytówkę z kieszeni.

– Ale mogłabyś nam przynajmniej opowiedzieć coś o tej Soni – poprosiła Renata. – Na pewno czegoś się dowiedziałaś. – Puściła do mnie oko.

– A wiecie, co ja myślę, dziewczyny? – rzuciła Mariola. – Ta Sonia była taka śliczna, do tego niegłupia i popularna. Na pewno zabił ją któryś z tych facetów, którzy nienawidzą kobiet. A w ogóle to co tak oszczędzasz tę nalewkę, Ewuniu? Weź polej.

Ręka Ewy z butelką zatrzymała się nad kieliszkiem Marioli.

– No wiecie, kurczę, jak oni się nazywają... Nie przypomnę sobie teraz. Czytałam taki artykuł o facetach, którzy nie uprawiają seksu, bo nie potrafią nikogo poderwać, i uważają, że to wina kobiet. Lej, dziewczyno!

– No dawaj, dawaj! – zachichotała Renata, a Ewa nalała wreszcie nalewki.

– Jak oni się nazywają... – zastanawiała się Mariola. – Intelle...?

– Incele? – podrzuciłam. Rzeczywiście, też kiedyś coś o tym czytałam.

– Dokładnie. To z angielskiego, ale nie pamiętam, co znaczy. W każdym razie potrafią być strasznie agresywni. Całymi dniami gadają na jakichś forach, nakręcają się i same wiecie. W Ameryce było już podobno kilka przypadków, że zabijali kobiety.

– Nie jesteśmy w Ameryce – powiedziała Ewa.

Mariola machnęła ręką.

– Wiecie, o co mi chodzi.

Przez chwilę panowała cisza. Z kuchni dotarły do nas głosy panów. Najwyraźniej skończyli z samochodami i byli przy geopolityce.

– Czyli co? Nie można facetów brać na długą dietę, co? – powiedziała nagle Renata i wszystkie trzy zaczęły chichotać jak dziesięciolatki, które po raz pierwszy widzą penisa w internecie.

– Ha, ha, bo to niebezpieczne! Nie mówcie nic chłopakom – wtórowała jej Ewa. – Jak się dowiedzą, to już nie da się strzelić focha.

Wychyliłam do dna kieliszek i poprosiłam o jeszcze. Naprawdę potrzebowałam więcej alkoholu.



Potem było głośno, wesoło i cholernie męcząco. Musiałam wysłuchać opowieści o nowym second handzie w Pruszkowie („Naprawdę trafiają się markowe ciuchy, sama kupiłam spódniczkę od Hilfigera”), o nieuprzejmej babie na stacji benzynowej i samonośnych pończochach, ale i tak wolałam to, niż wracać do domu, gdzie miałam za dużo czasu na myślenie. Panowie wrócili z kuchni i przekomarzali się ze swoimi i cudzymi żonami, a ja myślałam, jak bym się zachowywała, gdybym była tu z Marcinem...

Ta myśl mnie otrzeźwiła. Postanowiłam wracać i rozkleić się w ciemności swojej sypialni, zamiast robić to na oczach innych.

Ewa zatrzymała mnie już przy drzwiach. Mu-siałam oprzeć się o ścianę, żeby włożyć buty, bo od tych niezliczonych kieliszków nalewki kręciło mi się w głowie.

– Franka, udało ci się może dowiedzieć czegoś... – Zniżyła głos i obejrzała się na drzwi do kuchni.

Nie miałam czasu, żeby nawet pomyśleć o sprawie jej męża.

– To się tak szybko nie da – mruknęłam.

– Jasne, jasne – odpowiedziała od razu, jakby spodziewała się, że powiem właśnie coś takiego. – Ja tylko bardzo się o niego martwię.

– Dam ci znać.

Powinna wytatuaować sobie to zdanie na czole. Mam jeszcze kilka banałów na podorędziu, to jednak pasowało jak ulał, bo Ewa mnie uściśnęła i ucałowała w oba policzki.

Kiedy wróciłam, Marlena nie spała. Nie było jej w salonie, nie rozłożyła nawet kanapy ani nie przygotowała pościeli, a w łazience na dole nie paliło się światło. Z tego, co już wiedziałam, potrafiła być bezczelna, nie przypuszczałam jednak, żeby brała prysznic w łazience na piętrze, do której wchodziło się z mojego pokoju.

Pochyliłam się i poglaskałam Lolę zwiniętą w koszyku pod biurkiem. Jej sierść była wilgotna. Przez ułamek sekundy miałam nadzieję, że zdarzył się cud – koleżanka Marleny wcześniej wróciła z Londynu albo objawił się ktoś inny z kluczami, ale obok kanapy leżał plecak, na stoliku do kawy ładował się telefon, a zza drzwi pokoju mojej córki dochodziły głosy.

Zapukałam i nacisnęłam klamkę.

Miśka siedziała w fotelu przy biurku, Marlena na kuchennym stolku i obie gapiły się w ekran komputera. Kiedy weszłam, wybuchnęły śmiechem, ale nie na mój widok.

Przez chwilę myślałam, że mam omamy po alkoholu. Moja córka bez słuchawek na uszach śmiała się beztrząsco w towarzystwie tej, którą jeszcze niedawno nazwała babą. Zamrugałam, obraz jednak nie zniknął.

– Co robicie? – zapytałam. – Miśka, ty powinnaś już spać. Jutro jest szkoła.

– Marlena pokazała mi takie śmieszne filmiki – rzuciła rozbawiona Miśka, po czym zaczęła coś wpiśywać w wyszukiwarkę. Nawet nie zaproponowała, że mi je pokaże.

Poczułam ukłucie w sercu. Zazdrość to brzydkie uczucie, ale silne.

– Kładę ci poszewki na kanapie – powiedziałam do Marleny. – Powlecz sobie sama.

– Mhm.

Znowu żadnego „dziękuję”.

Nie zwracały na mnie w ogóle uwagi. Nachyliły się do siebie i coś cicho mówiły, a Miśka znów się roześmiała. Ostatni raz widziałam ją taką, zanim Marcin...

Wyszłam. Ruszyłam prosto na górę i położyłam się do łóżka.

## Rozdział 38

Dobry humor Miśki nie trwał długo i sama nie wiedziałam, czy mam nad tym ubolewać, czy się cieszyć (zazdrość! zazdrość!). Rano zabrała śniadanie do pokoju – dzień jak co dzień. Marlena przynajmniej złożyła kanapę i schowała pościel do środka.

– Franka, kim jest ta pani? – spytał ojciec, kiedy zamknęła się w łazience. – To jakaś twoja znajoma?

– A co, myślałeś, że zapraszam do domu nieznanym? – odparowałam, łapiąc się na tym, że właściwie to zrobiłam.

– Nie, tylko... Mam wrażenie, że to trochę dziwna osoba.

I tu się z nim zgadzałam – dziwna, ale przynajmniej miała doskonały kontakt z moją córką, z którą ja nie potrafiłam się dogadać.

Powiedziałam mu niecałą prawdę – że to znajoma znajomych, zatrzasnęła sobie drzwi do domu i chwilowo nie ma co ze sobą zrobić. Ojciec przez cały czas kiwał głową, a potem poprosił, żebym skoczyła do kiosku po krzyżówkę.

Po śniadaniu zamknąłem się w swoim pokoju, Miśka nie wystawiała nosa ze swojego, a Marlena zasiadła na kanapie z komórką. Zabrałam więc laptopa na górę, do sypialni, włączyłam go i... nie wiedziałam, od czego zacząć. Mogłam przygotować raport dla firmy ubezpieczeniowej, spisać to, co zrobiłam do tej pory dla Łukasza (co prawda nie musiałam, ale jeśli ktoś mi tyle płacił, wołałam być kryta), no i mogłam tylko udawać, że pracuję. Najbardziej skłaniałam się ku temu trzeciemu wyjściu. Byłam rozdrażniona, niewyspana i nie potrafiłam się skupić, a na długi spacer z Lolą też nie miałam ochoty. Postanowiłam sobie solennie, że już nigdy nie będę piła nalewek od Piotra ani chodziła po starych znajomych.

Wstukałam w Google'a „incele”.

Nowe zjawisko społeczne przeniesione żywcem z Ameryki sprowadzało się w gruncie rzeczy do tego, że młodzi faceci nie potrafili wyrwać lasek, z którymi chcieliby spać. A nie potrafili, bo nie wierzili w siebie. Poza tym chadowie (przystojne mięśniaki z kwadratową szczęką) wrywali wszystkie dostępne laski, więc dla inceli już nic nie zostawało, bo gdy laski już raz przespały się z chadem, nie chciały nawet spojrzeć na zwykłego faceta, zwłaszcza takiego, który za bardzo nie wygląda, cały czas mieszka z mamusią i nie wierzy w siebie.

Wszystko potrafiłam zrozumieć, z wyjątkiem tej obsesji na punkcie kwadratowych szczęk.

Obejrzałam na YouTube nagranie z jakiejś sesji samopomocowej. Facet wyglądał zupełnie zwyczajnie – niewielki brzuszek, wpuszczona w spodnie koszula w kratkę, ale z popeliny, nie z flaneli. Informatyk albo menedżer niskiego szczebla, ktoś, kogo można spotkać w autobusie czy kolejce podmiejskiej.

„Nie mogłem z nią dłużej być” – mówił.

„Dlaczego?” – zapytał głos z offu.

„Nie kochała mnie. Nie mogę być z kobietą, która mnie nie kocha”.

„Ale dlaczego myślisz, że cię nie kochała? Nie całowała cię? Zdradzała?”

„Nie dawała mi jeść. Wracalem z pracy i nie czekało na mnie jedzenie. Raz jej powiedziałem, to mi powiedziała, żebym coś zamówił”.

„Aha”.

„I nie prasowała moich ubrań. Musiałem chodzić w pogniecionych”.

W tym momencie prowadzącemu zabrakło pytań, więc poszukałam innych nagrań. Wszystkie były podobne: faceci użalali się nad sobą, że nikt ich nie chce, i automatycznie skreślali kobiety, które nie

chciały ich obsługiwać. Kobiety: julki, polki (pisane przez zero zamiast „o”), alternatywki oraz andżeliki (nie do końca rozumiałam różnicę). Mężczyźni: chadowie versus przegrywy, stulejarze, sebixy, czyli biedaczki, którym pozostawały jedynie ochłapy po chadzie albo w ogóle nic.

Poza tym odkryłam masę fascynujących wątków:

Janusz 24 reklamował swoją książkę Kompendium samczej wiedzy.

PanTadeusz skarżył się, że chociaż ma sto dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i dziewięćdziesiąt pięć żywej wagi oraz dwadzieścia jeden w penisie, żadna go nie chce. Też zrzucił to na karb nie dość kwadratowej szczęki.

Dr\_Klop zastanawiał się, jakim cudem ktokolwiek chce się bzykać z Azjatami, chociaż rzadko miewają kwadratowe szczęki.

I wisienka na torcie – RedPill33 nie był pewien, czy kobieta po cesarce może kochać dziecko, skoro podczas porodu główka nie pieści stref erogennych.

Niestety ani facet w popelinowej koszuli w kratkę, ani pozostali nie wyglądali na morderców, tylko na zwykłych palantów.

W kolejnym artykule przeczytałam, że takich facetów przybywa. Mają nie tylko nazwę, ale też specjalne fora internetowe, gdzie narzekają na laski, chadów i pewnie też na mamusie, z którymi mieszkają. Postanowiłam więc wejść na jedno z takich forów.

Przez chwilę myślałam, że wpisałam zły adres strony albo komputer się zawiesił, bo imię i nazwisko Soni Marchlewskiej pojawiało się dosłownie w każdej linijce tuż obok epitetów, z których „ta jebana kurwa” był zdecydowanie najsłabszy.

Pluli jadem na Sonię. Wszyscy, dosłownie wszyscy! Zapewne mieli też inne tematy do rozmów, ale wątki na pierwszej stronie dotyczyły wyłącznie wizji gwałtu zbiorowego połączonego z torturami. Takie rzeczy wypisywali przed śmiercią Soni, po – że jej się należało.

W mózgu zapaliła mi się lampka. Nie każdy świr, który uważa, że głośno wrzeszczące dzieci należy karać śmiercią, zamienia słowa na czyny, jednak na milion świrów mocnych tylko w gębie zawsze trafi się jeden, który zorganizuje pistolet i weźmie na celownik matkę z niemowlęciem. Może któryś z tych pieprzowych inceli wyszedł z piwnicy mamusi i spowodował wypadek Soni. Setki debili wypisywało seksistowskie pierdoły, ale jeden w nie uwierzył...

Ktoś zapukał do drzwi sypialni.

Wiedziałam, że to Marlena. Ani Miśka, ani ojciec nie zavrcają sobie głowy pukaniem – uważają, że ich matka i córka nie potrzebuje żadnej prywatności.

– Nie przeszkadzam ci? – spytała.

– Trochę.

Miałam nadzieję, że wyjdzie, ona jednak podeszła bliżej i przysiadła na brzegu łóżka, bo w pokoju nie było żadnego innego siedziska.

– Mogę?

– Już siedzisz – zwróciłam jej uwagę.

– Słuchaj, przyszedłam, bo... chciałam... No wiesz.

Wpatrywałam się bez nią bez mrugania.

– Nie każdy przyjąłby do siebie obcą osobę – wykrztusiła w końcu.

Wzruszyłam ramionami.

– Chciałam ci, no wiesz... podziękować.

Piekło zamarzło! A jednak się doczekałam.

– Nie ma sprawy – odpowiedziałam, bo nic lepszego nie przyszło mi do głowy.

Siedziałyśmy tak chwilę w ciszy – ja licząc na to, że zaraz sobie pójdzie, ona wpatrując się w swoje kolana i skubiąc skórki przy paznokciach.

– Słuchaj, nie wiem, jakie masz plany na dziś, ale ja mam pracę – powiedziałam w końcu.

– Pracujesz nad sprawą Soni?

Pokiwałam głową, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Przecież ci mówiłam, że mąż ją zabił.

Nie powstrzymałam się i przewróciłam oczami.

– Nie wierzysz mi! No to kto ją zabił? – spytała z pretensją, że pozbawiam ją ulubionej teorii.

– Po pierwsze, nie wiadomo, czy to nie był po prostu zwykły wypadek.

– Na pewno nie!

– A po drugie, wiele wskazuje na kogoś ze środowiska inceli. – Nie wiem, po co jej to powiedziałam. Chyba chciałam, żeby się zamknęła i przestała robić mordercę z mojego byłego chłopaka, tylko dlatego, że był dla niej nieuprzejmy. – Incele to tacy...

– To zwykle przegrywy – weszła mi w słowo. – Znam paru takich. Potrafią tylko gadać.

Zaskoczyła mnie. Myślałam, że należy do pokolenia, które poza sobą mało czym się interesuje.

– Wejdź sobie na ich fora i poczytaj. Gdyby któryś zrealizował tylko jedną dziesiątą tego, o czym piszą...

Prychnęła.

– Gdyby! To twoje słowo klucz? Przecież żaden z nich nic nie zrobi. Tacy faceci niczego nie są w stanie zrealizować w swoim życiu.

Wyprostowałam plecy. Nienawidziłam pracować w łóżku, a w każdym razie mój kręgosłup tego nie nawidził.

– Jestem ci bardzo wdzięczna za twój wkład – mruknęłam – ale to moja praca, więc jeśli pozwolisz...

Siedziała i patrzyła na mnie.

– Po prostu idź sobie i daj mi coś zrobić – oznajmiłam wprost.

– Tak, jasne. Oczywiście.

Wstała z łóżka, podeszła do drzwi i zatrzymała się z ręką na klamce.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Ja jeszcze chciałam...

– A ja chciałam skończyć tę pracę dzisiaj. Ale nie wiem, czy mi się uda. Bo do północy zostało zaledwie czternaście godzin.

Nie spuszczałam z niej kamiennego spojrzenia, aż wreszcie wyszła i zamknęła za sobą drzwi.

## Rozdział 39

– Janek, proszę cię!

– Franka!

O wszystkim musiałam go błagać. Po cholere był mi kochanek policjant, skoro nie chciał mi niczego powiedzieć! Spróbowałam więc inaczej.

– Chcesz się dzisiaj spotkać? Wieczorem?

Zamilkł.

– Ostatnim razem nie przyszedł – wycedził w końcu.

– Wiesz co? – zignorowałam jego odpowiedź. – Tym razem ty przyjedź do mnie. O dwudziestej pierwszej, co ty na to? Kup coś na wynos i butelkę wina. Ojciec będzie już spał, on wcześniej się kładzie, a Miśka i tak siedzi cały czas w swoim pokoju. Będziemy sami.

O Marlenie na sofie w salonie nie wspomniałam.

– Franka, posłuchaj. Bardzo bym chciał...

– Ja też bym chciała.

– Ale nie mogę dzielić się z tobą informacjami dotyczącymi śledztwa.

No i znowu zrobiło się niemiło!

– Nie możesz mi, kurwa, powiedzieć, dlaczego Sonia Marchlewska wystąpiła o zakaz zbliżania się dla Marleny Sobieskiej?

Wciągnęłam głęboko powietrze i zacisnęłam dłoń na telefonie. Wszystko po to, żeby mi się czasem nie wyrwała jakaś „kurwa”, bo wtedy już niczego bym się nie dowiedziała.

– Janek, ja cię nie pytam o szczegóły śledztwa. Chcę się dowiedzieć tylko jednego: dlaczego Marlena miała zakaz zbliżania się do Soni.

– Jak ci powiem, to dasz wreszcie spokój?

Westchnęłam.

– Tak, obiecuję, że nie będę już do ciebie dzwonić. Z podobnymi pytaniami.

Po drugiej stroni linii też usłyszałam westchnienie.

– Nie, Franka. Miałem na myśli to, żebyś dała spokój tej sprawie.

– Muszę coś jeść – odparłam. – I jeszcze wyżywić dziecko, ojca oraz psa.

Milczał długo. Myślałam, że się rozłączył, ale wreszcie się odezwał:

– Jak chcesz, mogę ci pożyczyć jakieś pieniądze. Nie musisz mi szybko oddawać...

Chciałam mu powiedzieć, żeby spierdalał ze swoimi pieniędzmi, zdecydowałam się jednak na co innego.

– Po prostu odpowiedz mi na pytanie.

Usłyszałam w telefonie szuranie, a potem kroki. Może Zagórski zamierzał zdradzić mi tajemnice śledztwa zamknięty w kiblu.

– To Wolski nalegał – powiedział w końcu. – Razem przyszli na komendę. Wiem, bo akurat przy tym byłem. Głównie to on mówił. Że żona jest niespokojna, bo ta dziewczyna wszędzie za nią lazi i wydzwaniała. Raz podobno władowała się Soni do samochodu pod bramą.

To potwierdzało słowa Marleny.

– Dyszała w słuchawkę?

– Nie, po prostu ciągle wydzwaniała.

– I sąd wystawił zakaz zbliżania się na podstawie tak marnych dowodów?  
– Sonia była bardzo znaną osobą – powiedział Zagórski, jakby to coś tłumaczyło. I w gruncie rzeczy tłumaczyło.

– Czyli to nie ona wystąpiła o zakaz zbliżania się, tylko Łu... Wolski?

Usłyszałam skrzypienie otwieranych, a potem zamykanych drzwi i kroki. Chyba raczej Zagórski zdradzał mi tajemnice śledztwa w schowku na miotły.

To, co mówił, w sumie brzmiało logicznie. Marlena nie zrobiła nic złego – nie oblała Soni kwasem, nie porysowała jej samochodu, nawet nie groziła, że to zrobi. Po prostu była upierdliwa i Sonia straciła cierpliwość, ale wiedziała dobrze, że z mediami trzeba ostrożnie. Nawet z freelancerkami, które tylko kręcą się koło mainstreamowych gazet, bo wczorajsza freelancerka jutro może zostać zastępczynią naczelnego. Natomiast Łukasz patrzył na to z innej strony. Był biznesmenem, a mainstreamowe gazety dla kobiet nie zamieszczają o nich materiałów, mógł więc sobie pozwolić na to, żeby mieć media w dupie i być niemiłym dla Marleny. Jej upierdliwość pewnie doprowadzała go do szału i namówił Sonię na wystąpienie o zakaz. Na pewno nie tylko w trosce o żonę.

Tak, to zdecydowanie trzymało się kupy.

Pogłos kroków zmienił się po chwili, jakby Zagórski wyszedł w otwartą przestrzeń.

– O dwudziestej pierwszej? – zapytał.

– Mhm.

– Czerwone czy białe?

– Jak wolisz.

– Tylko nie nawal tym razem.

– Będę czekała w koronkowej bieliźnie – obiecałam.

Nie miałam takiej.

## Rozdział 40

Wszystko odbyło się tak, jak przewidziałam – ojciec położył się wcześniej, Miśka siedziała w swoim pokoju, a Marlena urzędowała na kanapie. Nie dało się pójść na górę, do mojej sypialni, żeby jej nie minąć.

– Kto to jest? – spytał Zagórski scenicznym szeptem, kiedy wchodziliśmy po schodach z butelką wina oraz dwoma kieliszkami.

– Wszystko słyszę! – krzyknęła Marlena z dołu.

– Znajoma, której zatrzasnęły się drzwi, więc spędza u nas dwa dni, czekając, aż wróci jej współlokatorka – wyjaśniłam.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Trzeba było zadzwonić. Umiem otwierać drzwi wytrychem.

– Będę pamiętać – obiecałam. – Ale teraz to już nie ma znaczenia. Jej współlokatorka jutro wraca.

– Hm, to dobrze. – Janek zbliżył usta do mojego ucha. – Bo wolałbym teraz zająć się czymś innym...

– Trzymaj kieliszki, bo ci wypadną.

Nie miałam koronkowych majtek, ale w czarnych bawełnianych mój tyłek i tak prezentował się ładnie. Zagórski nie wyglądał na zawiedzionego. Nalał wina do kieliszków i stuknęliśmy się nimi.

– Tylko musimy być cicho – powiedziałam. – W tym domu wszystko słychać.

– Rany, czuję się, jakbym się cofnął do liceum i próbował bzyknąć koleżankę z klasy w jej pokoju...

– To jest mój pokój z czasów liceum.

– ...podczas gdy jej rodzice oglądają wiadomości. Kurczę, strasznie mnie to kręci. Myślisz, że jestem zboczony?

– Z całą pewnością – zapewniłam, a on pocałował mnie tak, że aż zawirowało mi w głowie.

– Obiecuję, że będę cicho. Jak chcesz, możemy nawet zgasić światło, żeby było całkiem jak w liceum.

Roześmiałam się. Dawno się tak nie śmiałam. Ostatni raz chyba, kiedy Marcin...

Potrząsnęłam głową.

– Na łóżku czy na podłodze? – spytałam.

– Na podłodze?

– No wiesz, licealiści mają różne upodobania.

– Rany, licealistki najwyraźniej też.

Znowu się roześmiałam, po czym zrzuciłam całą pościel z łóżka na dywan.

Zgasiliśmy światło i przez okno wpadała do pokoju tylko sina poświata z latarni na ulicy. Zagórski wyglądał na jeszcze młodszego i – co najważniejsze – wcale, ale to wcale nie był podobny do Marcina. Całował mnie w szyję i plecy, schodził coraz niżej. Pozwoliłam mu się głaskać i dotykać, a kiedy chciał coś powiedzieć, kładłam mu palec na ustach. Potem objęłam go mocno rękami i nogami. Był gorący. I żywy.

To był jeden z lepszych razy. Później oparliśmy poduszki o ścianę, w miejscu, gdzie tapeta była przybrudzona, piliśmy wino, całowaliśmy się, przytulaliśmy i chichotaliśmy, jakbyśmy rzeczywiście cofnęli się do liceum. I nagle zadzwonił telefon.

– Nie odbieraj – poprosił Janek.

– Tylko sprawdzę, kto to.

Podpełzałam do szafki nocnej. Zagórski próbował ściągnąć ze mnie koldrę, ale trzymałam mocno za swój róg.

Na wyświetlaczu widniało „Łukasz”.

– Nie odbieraj – powtórzył Janek. – Później do niego oddzwonisz.

– Muszę. To moja praca.

– To odbierz i powiedz, żeby zadzwonił jutro. Albo że ty zadzwonisz jutro. Jest już po dziesiątej, do cholery.

Zupełnie jakbym słyszała ojca. Nagle odechciało mi się zabawy i bez troski. Puściłam róg koldry, wyciłam na podłodze bluzę od dresu i szybko wciągnęłam ją przez głowę. Wcisnęłam zielony przycisk.

– Przepraszam, że tak późno, ale przez cały dzień miałem spotkania i dopiero teraz jestem wolny. Masz chwilę?

– Jasne.

Zagórski rzucił mi spojrzenie spode łba.

– Może byśmy się spotkali i pogadali o postępach śledztwa?

Moje śledztwo utkwilo w ślepych zaułku, przez Marlenę. Ale może nie? Może jednak miałam Łukasza o coś do powiedzenia?

– Jutro?

Kątem oka zobaczyłam, jak Zagórski wciąga spodnie, sięga po podkoszulek i go wkłada.

– Franka? Jesteś tam? – spytał Łukasz.

– Tak, super. Może jakoś w drugiej połowie dnia.

Zagórski znalazł sweter, wyszedł z sypialni i nawet się nie obejrzał. Usłyszałam, jak zbiega po schodach.

– Kolacja?

– Już raz spotkaliśmy się na kolacji – odparłam.

– Ja po prostu lubię omawiać sprawy służbowe w przyjemnych okolicznościach. – Roześmiał się.

– Może spotkajmy się u mnie – rzuciłam.

Oznaczało to, że czekało mnie sprzątanie, ale przynajmniej nie musiałam szukać pretekstu, żeby wymówić się od kolacji. Na którą zresztą miałam straszną ochotę, dlatego nie mogłam pozwolić, żeby to się powtórzyło.

– Doskonale. Osiemnasta?

Zapaliłam światło, schyliłam się i pozbierałam z podłogi rozrzuconą pościel. Coś chrupnęło mi w krzyżu. Nie byłam już licealistką.

Przez chwilę nasłuchiwałam odgłosów z dołu, ale w całym domu panowała kompletna cisza. Znalazłam pod łóżkiem majtki i spodnie od dresu. Nie wkładałam skarpet, chociaż wiedziałam, że podłoga na dole będzie lodowata.

Kiedy zeszałam, Zagórskiego nigdzie nie było. Nie zamknął się w łazience, nie siedział w kuchni ani koło Marleny na kanapie. Po prostu sobie poszedł, pieprzony matol.



## Rozdział 41

Nie wiem, która była godzina. Położyłam się do łóżka i od razu zasnęłam jak kamień. Miałam za sobą ciężki dzień, a w organizmie pół butelki wina, ale od kiedy urodziła się Miśka, sypiam lekko i budzi mnie każde stuknięcie, a co dopiero wrzask.

– Mamo! – krzyczała Michalina. – Mamo!

Wypadłam z pokoju i zbiegłam na dół, tylko cudem nie zwałiłam się ze schodów.

Marlena siedziała na kanapie w rozgrzebanej pościeli i tarła oczy. Najwyraźniej to nie o nią chodziło – drzwi do pokoju Miśki były zamknięte.

– Mamo!

Wbiegłam do środka.

Moja córka klęczała na łóżku i przyciskała do siebie poduszkę. Patrzyła w okno.

– Kochanie, co się stało?

Nie odpowiedziała, w ogóle nie zareagowała, zupełnie jakby mnie tam nie było.

– Coś ci się przyśniło?

Potrząsnęła głową.

I wtedy ich zobaczyłam. Facetów za oknem.

Światło latarni było za słabe, żebym mogła dojrzeć ich twarze, a latarki, które trzymali w rękach, skierowali na moją bramę. I mieli na głowach kominiarki – w każdym razie tak mi się wydawało.

– Zostań tutaj! – krzyknęłam do Miśki. – Nigdzie się nie ruszaj!

Pobiegłam na górę. Nie zapaliłam światła w sypialni. Na stoliku nocnym wymacałam komórkę. Ręce tak mi się trzęsły, że wypadła mi na łóżko, zanim zdołałam znaleźć i wybrać numer Zagórskiego.

Z komórką przy uchu schodziłam po schodach. Za plecami słyszałam otwierające się drzwi do sypialni ojca.

– Franko, co się dzieje?

Machnęłam tylko ręką.

– Nie zapalaj światła! – zawołałam.

Słuchałam sygnałów w telefonie. Odbierz, Janek, kurwa, odbierz – powtarzałam w duchu. – Obiecami wszystko, co chcesz, tylko odbierz, do cholery!

Odebrał.

– Jeśli chcesz mnie przeprosić, to jest trzecia, a ja mam dyżur od siódmej – powiedział rozespanym głosem.

– Janek, proszę cię, przyjeźdź!

– Słuchaj, jest trzecia nad...

– Przy naszej bramie majstruje dwóch zamaskowanych facetów. – Sama słyszałam, jak trząś mi się głos. – Mają latarki, kominiarki i sama nie wiem, co jeszcze. Jestem w domu ze staruszką i dwiema kobietami.

– Kurwa! Zaraz tam będę. Sprawdź, czy drzwi są zamknięte, i nie wychodź.

Nawet mi to nie przyszło do głowy.

Rozłączyłam się i popędziłam do pokoju córki. Marlena już tam była, siedziała na łóżku i przytulała Miśkę. Podeszłam do okna i ostrożnie wyjrzałam.

Nadal tam stali. Snopy światła latarki tańczyły na bramie. Nie potrafiłam dostrzec, co robią.

– Cofnij się – szepnęła Marlena.  
– Co się dzieje, córeczko? – zapytał ojciec od progu.  
– Szszz – uciszyłyśmy go równocześnie.  
– Tato, chodź tutaj. Tylko, na miłość boską, nie zapalaj światła!  
– Mamo, boję się! – Miśka nadal wtulała się w Marlenę, a ta poklepała ją lekko po plecach i poszukała mnie wzrokiem.

Pokazałam jej głową okno. Wyplątała się z objęć mojej córki i zamieniłyśmy się miejscami.  
– Mamo, kto to jest? – wyszeptła Miśka, kiedy ją objęłam.  
– No właśnie, córeczko, co się dzieje? – zapytał zdezorientowany ojciec.  
– Policja zaraz tu będzie – powiedziałam.  
– Psst, odchodź! – szepnęła Marlena od okna.  
Puściłam córkę i też wyjrzałam. Światła latarek wskazywały teraz na drogę. Po chwili zgasły. Usłyszałam trzaśnięcie drzwiami samochodu, potem włączył się silnik, rozbłyśły światła i po dwóch sekundach wóz odjechał.

Dopiero teraz poczułam, jak miękkie miałam nogi. Spojrzałam na ojca. Wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Zamaskowani faceci robili coś przy naszej bramie, tato – wyjaśniłam, wracając do Miśki. – Nie wiem co, ale już odjechali. Policja zaraz tu będzie.

Siedzieliśmy tak w pokoju mojej córki i czekaliśmy. Nikt się nie ruszył, nikt nie odważył się zapalić światła, nikt nic nie mówił. W nocnej ciszy słychać było jedynie posapywanie Loli z posłania pod biurkiem w salonie.

Nie czekaliśmy długo – pięć minut, może dziesięć. Ciemność nocy rozświetliło niebieskie światło. Dwa radiowozy z włączonymi kogutami, ale na szczęście bez syreny, zaparkowały za naszym ogrodzeniem, jeden za drugim. Wysiadło z nich kilku napakowanych facetów. Poruszali się jak RoboCop. Zagórski ściągnął chyba antyterrorystów.

Faceci podeszli do bramy i zatrzymali się. Widziałam, jak jeden podnosi rękę, po chwili rozległ się dzwonek. Lola dopiero teraz się obudziła i zaczęła szczekać. Podbiegłam do domofonu.

– Dostaliśmy zgłoszenie. Czy wszystko u państwa w porządku?

Pokiwałam głową. Dopiero po sekundzie zdałam sobie sprawę, że facet nie może mnie widzieć.

– Tak, w porządku. – Mój głos nadal drżał. – Nikt nie wszedł do domu.

– Proszę otworzyć furtkę, sprawdzimy teren posesji.

Otworzyłam i pochyliłam się, żeby pogłaskać Lolę.

– Cicho, piesku.

Usiadłam obok niej na podłodze i objęłam ją ramionami. Chciałam wtulić się w jej futro, ale Lola wołała tańczyć koło drzwi i poszczekiwać.

Po chwili usłyszałam pukanie.

– Franka, jesteś tam?

To był Janek. Podniosłam się. Musiałam przytrzymać się ściany, tak drżały mi kolana. Chciałam, żeby mnie przytulił, bardzo tego potrzebowałam. Chyba jeszcze nigdy w życiu tak się nie czułam.

Ale Janek minął mnie w drzwiach. Klepnął po pupie Lolę, która na zmianę wirowała mu pod nogami i skakała. Sięgnął do kontaktu. Salon zalało światło tak jasne, że musiałam na moment zamknąć oczy. Dopiero kiedy je otworzyłam, zobaczyłam, że trzyma w ręku pistolet.

– Jesteś pewna, że nikt nie włamał się do domu?

– Tak... chyba tak.

Ruszył na obchód, wszędzie po drodze zapalając światła. Zaglądał za każde drzwi, nawet od łazienki i schowka, sprawdził dokładnie salon i kuchnię, nie pominął żadnego zakamarka. Wszedł do pokoju Miśki, tam też zapalił światło i usłyszałam, jak mówi coś niewyraźnie. Potem poszedł na górę. Dłuższą chwilę trwało, zanim zszedł z powrotem.

– Nikogo nie ma – powiedział.

Podeszłam bliżej. Chciałam się o niego oprzeć i pozwolić, żeby otoczył mnie ramionami, ale się odsunął. Popatrzył na moje spodnie od piżamy i bluzę od dresu.

– Włóż buty i kurtkę – powiedział. – Jest przymrozek. I chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Posłusznie wciągnęłam buty na bose stopy i narzuciłam na siebie kurtkę, a potem kazałam Loli pilnować domu.

Zagórski poprowadził mnie prosto do bramy. Napakowani faceci ciągle kręcili się po podwórku, ale wyglądali na zrelaksowanych, nie spiętych jak na początku. Błękitne światło koguta nadal migało. Okna domu naprzeciwko rozjaśniły się i zobaczyłam czyjaś twarz przyklejoną do szyby. Po chwili sąsiedzi wyszli do furtki. Tylko tak mogli zobaczyć, co się dzieje, bo drzewa przed domem zasłaniały im widok. Uświadomiłam sobie, że rano o wszystkim będzie wiedziało całe miasteczko. Niezła reklama dla prywatnej detektywki.

– Zobacz – odezwał się Janek. Stał na ulicy, twarzą do domu.

Kiedy podeszłam do niego, wyjął z kieszeni latarkę i poświecił na moją bramę.

To nie było potrzebne. Latarnia uliczna nie dawała co prawda dużo światła, ale napis ZAJEBIEMY CIĘ JULKA był doskonale widoczny.

## Rozdział 42

Ojciec pił ziółka, ja i Zagórski kawę, a Marlena zażyczyła sobie herbaty. Miśka nie chciała nic, napila się tylko kilka łyków wody prosto z kranu.

Siedzieliśmy w salonie, co musiało pewnie wyglądać jak inscenizacja sceny z powieści Agathy Christie: dzielny detektyw zbiera podejrzanych w jednym pokoju, żeby wyjaśnić zagadkę zbrodni. Tyle że Zagórski nie znał rozwiązania.

– Ja bym chciał wiedzieć, co tu się dzieje – nalegał ojciec. Siedział w fotelu i jedną ręką głaskał Lole, która wcisnęła się obok niego, chociaż obojgu było niewygodnie.

– Ktoś nasprejował napis na państwa bramie – powtórzył Janek.

– Jaki napis?

Zagórski spojrzał na mnie, szukając pomocy. Nie znalazł jej.

– Hm... wulgarnie słowa – odparł w końcu.

– Ale kto? I dlaczego? Jak można być takim wandalem, żeby komuś... – Ojciec umilkł i poklepał Lole, chyba trochę za mocno, bo nerwowo odwróciła głowę.

– Tato, może ty się lepiej połóż – zaproponowałam.

– To jest mój dom! – uniósł się ojciec. – I chcę wiedzieć, co się tu dzieje!

– Nie sądzę, żeby udało nam się złapać sprawców – powiedział powoli Janek. – Nie zostawili żadnych śladów, a państwo nie zdołali ich rozpoznać.

– Już ci mówiłam, mieli kominiarki – wtrąciłam.

Marlena i Miśka siedziały na kanapie, wtulone w siebie. To ja powinnam przytulać córkę, a nie jakaś obca baba, ale musiałam zająć się czymś innym.

– Przydałby się monitoring – dodał Zagórski. – Nie widziałem żadnych kamer na zewnątrz...

– Czy ja wyglądam na taką, którą stać na monitoring? – zdenerwowałam się.

– Córeczko, nie mów tak do pana inspektora – wtrącił ojciec.

– Po pierwsze, nie jestem inspektorem, tylko komisarzem, a po drugie, nie przypuszczam, żeby państwu coś zagrażało. Sprawcy nie podjęli próby włamania na teren posesji. Nasprejowali tylko napis i odjechali.

– Tylko? – rzuciłam ironicznie.

– Wandale – powiedział ojciec. – Mówię panu, po prostu wandale i tyle.

– Może tak, może nie – odparł Janek. – W każdym razie, Franka, idź rano na posterunek w Brwinowie i zgłoś to. Niech ktoś tu podjedzie, spisze twoje zeznania i nada numer sprawie. Może w systemie jest już coś podobnego.

Zrobił ruch, jakby chciał się zbierać, więc dałam mu dyskretny znak, żeby chwilę poczekał, a potem popatrzyłam na ojca.

– Tato, myślę, że powinieneś się położyć i trochę odpocząć.

– Nie sądzę, żeby dał radę jeszcze zasnąć.

– Nieważne. Po prostu się połóż. Nie możesz pół nocy siedzieć w salonie, bo to się skończy na SOR-ze.

– Nie jesteś lekarzem.

– Ale jestem twoją córką, która będzie wzywać lekarzy albo załatwiać ci leki bez recepty, jak się za bardzo sforsujesz. Więc proszę, zrób to dla swojej córki i idź się połóż.

Zamruczał coś pod nosem, ale podźwignął się z fotela.

– Miło mi było pana poznać. – Uściśnął rękę Zagórskiemu, poklepał jeszcze raz Lolę i ruszył na górę. Spojrzałam na Miśkę.

– Ty też do łóżka.

– Nie idę jutro do szkoły – zaprotestowała.

– Ale szkoła przychodzi do ciebie. To po pierwsze. A po drugie, podobnie jak twój dziadek, powinnaś się wysypiać. Organizm nastolatki...

– Tak, mamo. Dzięki tobie nawet obudzona w środku nocy potrafię wyrecytować, czego potrzebuje organizm nastolatki. Szkoda, że akurat tego nie mamy na biologii. Miałabym normalnie same szóstki.

Mogłabym coś odpowiedzieć, życie jednak nauczyło mnie, że z nastolatką najlepiej nie dyskutować. Patrzyłam więc na nią bez słowa, aż wstała i powlokła się do swojego pokoju.

– Mówi się „dobranoc”! – zawołałam jeszcze za nią, ale dokładnie w tym momencie zatrzasnęła drzwi.

Lola jęknęła i wyciągnęła się na boku na pustym fotelu.

– Janek, siadaj – powiedziałam i odwróciłam się do Marleny. – A teraz słucham.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Doskonale wiesz, o co mi chodzi. I doskonale-le wiesz, kim byli ci faceci. „Zajebimy cię julka”? Serio?

– Możesz mi to wyjaśnić? – odezwał się Janek.

– A przepraszam. Wy się jeszcze oficjalnie nie znacie. To jest Janek Zagórski, policjant z komendy wojewódzkiej i mój... – ugryzłam się w język – ...dobry znajomy. A to Marlena Sobieska.

– Marlena Sobieska? – powtórzył w zamyśleniu Zagórski.

– Znasz to nazwisko. Dziennikarka, która lubi wpędzać siebie i innych w kłopoty. – Spojrzałam na Marlenę. – Sama mu powiedz.

Głęboko wciągnęła powietrze, a potem je wypuściła.

– Napisałam do nich – wyznała w końcu.

– Może opowie pani wszystko od początku – poprosił Janek. – Jakoś tak w miarę składnie.

Marlena westchnęła i przewróciła oczami.

– Franka pokazała mi na forum inceli groźby pod adresem Soni. Całe mnóstwo. Znaczna część to były poważne rzeczy, groźby karalne i tak dalej.

– Poproszę o adres tego forum. – Nie zauważyłam, kiedy Zagórski wyjął komórkę.

Podyktowała mu, a potem dodała:

– Bo Franka uważa, że to incele byli zamieszani w śmierć Soni. To znaczy, Soni Marchlewskiej. A ja wiem, że oni jej nie zabili. Zrobił to mąż!

W pokoju zapanowała cisza. W końcu przerwał ją Janek.

– I?

– I po prostu postanowiłam udowodnić, że oni nie są w stanie niczego zrobić poza tymi swoimi forami. Dlatego napisałam do nich... kilka rzeczy. Żeby ich sprowokować.

– Jakich rzeczy?

– Że są stulejarzami i przegrywami. I że mogą tysiąc lat przerzucać się groźbami, a żaden i tak nie ruszy dupy ze swojej piwnicy! – Marlena spojrzała na mnie wyzywająco. – W sumie tylko to, co sami o sobie piszą.

Zagórski milczał przez bardzo długą chwilę, a potem schował komórkę do kieszeni i wyprostował plecy.

– Czyli nadal bawisz się w to idiotyczne śledztwo – mruknął do mnie. – Które zresztą nie do końca jest legalne.

– Zbieranie informacji nie jest nielegalne.

– Zależy w jaki sposób – uciął. – W każdym razie wciągnęłaś do tej zabawy jeszcze kogoś.

– To wcale nie było tak! – zdenerwowałam się, ale on podniósł tylko rękę, żeby mnie uciszyć.

– A pani – zwrócił się do Marleny – wpadła na idiotyczny pomysł, żeby prowokować osoby, które wysuwają pod adresem innej kobiety groźby karalne. Czy wyście oszalały?!

– Ciszej, bo obudzisz ojca! – warknęłam. – Wolałabym, żeby o tym wszystkim nie wiedział.

– I słusznie – westchnął ciężko. – Bo większych idiotyzmów dawno nie słyszałem. Czego się pani spodziewała? – spytał Marleny, a ta wzruszyła ramionami. – Ma pani włączoną lokalizację w telefonie?

– Skinęła głową. – No to gratuluję!

– Tak łatwo jest kogoś namierzyć? – zdziwiła się. – Z dokładnością do kilku metrów?

– Łatwiej, niż pani myśli. Ludzie nie mają pojęcia, jak wyraźne ślady zostawiają za sobą w sieci. Myślałem, że dziennikarka coś jednak o tym wie – wycedził.

Miałam ochotę ją zamordować.

– Dzięki tobie jacyś debile, którzy nienawidzą kobiet, mają teraz mój adres – rzuciłam zjadliwie. – A ja mieszkam sama z dzieckiem i ze starym ojcem.

– Jezu, no dobrze, przepraszam – powiedziała w końcu Marlena.

Zagórski wstał, chwycił mnie za łokieć i wyciągnął do przedpokojku.

– Kim jest ta kobieta? – spytał.

– Mówiłam ci. Znajoma. Zatrzasnęły jej się drzwi od domu. Czeka u mnie, aż współlokatorka wróci z Londynu.

– To miło, że masz dobre serce. – Obejrzał się na drzwi do salonu. – Ale na twoim miejscu jak najszybciej bym się jej pozbył. A co, gdyby ci tę bramę podpálili?

Pokiwałam głową.

– Ci debile już znają mój adres.

– Gdyby chcieli zrobić wam krzywdę, już by zrobili. Na wszelki wypadek jednak zamykaj dobrze dom na noc. I może spraw sobie jakiś alarm.

– To pierwsza rzecz na mojej liście z samego rana. A właściwie druga, bo najpierw muszę obrabować bank.

– To nie jest śmieszne, Franka. Jeśli potrzebujesz pieniędzy...

Dotknęłam jego ramienia. Znowu bardzo chciałam, żeby mnie przytulił, i znowu tego nie zrobił.

– Nie potrzebuję, ale dzięki.

– To pozbądź się tej laski, zanim wpadnie na kolejny genialny pomysł. – Przy drzwiach odwrócił się jeszcze. – Jesteś pewna, że wszystko okej? Twój ojciec dobrze się czuje? Starsi ludzie potrafią się zdenerwować, serce i tak dalej. Może powinnaś skontaktować się z lekarzem?

– Poradzimy sobie – zapewniłam go.

Objęłam się mocno ramionami, żeby chociaż trochę opanować wewnętrzny dygot. Jeśli chcesz, żeby coś zostało zrobione, zrób to sama.

## Rozdział 43

– Ja to zmyję. – Marlena odezwała się nagle, kiedy byłam już na schodach. – Rano skoczę do sklepu po rozpuszczalnik i zmyję napis z bramy.

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli po prostu się wyprowadzisz – powiedziałam. – O której łąduje ta twoja współlokatorka?

– Nie wiem. Zadzwońię do niej, tylko... tylko nie teraz. Rano.

Ruszyłam na górę.

– Franka, ja muszę ci coś powiedzieć. To ważne – dodała, ale nie zatrzymałam się.

– Nie sądzę, żebym była w stanie rozmawiać teraz na ważny temat. Ani na mało ważny. Dobranoc.

Byłam potwornie zmęczona. Zamierzałam położyć się do łóżka i z otwartymi oczami liczyć godziny, bo nie przypuszczałam, że jeszcze zasnę tej nocy, a jednak się myliłam. Odplynęłam, ledwo przyłożyłam głowę do poduszki.

Obudził mnie telefon. Byłam przekonana, że nadal jest środek nocy, ale słońce za oknem świeciło jasno, musiało więc być po ósmej, może nawet później.

Namacalam komórkę na szafce nocnej. To była Ewa.

– Nie śpisz już? To dobrze! Bo ja muszę ci powiedzieć coś bardzo ważnego. Koniecznie.

– Nie spałam pół nocy. Czy możesz...

– No właśnie słyszałam, że była u was policja, ale to naprawdę ważne. Wpadnę do ciebie za pół godziny, dobrze?

– Powiedz mi teraz – poprosiłam.

– To nie jest na telefon – ucięła i rozłączyła się.

Przez chwilę miałam nadzieję, że kiedy zejść na dół, zobaczę złożoną sofę i Marleny już nie będzie. Ale wiadomo, czyją matką jest nadzieja. Marlena spała z głową przykrytą poduszką. Lola posapywała pod biurkiem. U Miśki panowała cisza.

Byłam wyrodną matką, nie dopilnowałam, żeby moje dziecko wstało na czas na e-lekcje. Trudno. Uznałam, że wydarzenia nocy usprawiedliwiają nieobecność Miśki co najmniej na trzech pierwszych godzinach, po czym poszłam do kuchni nastawić ekspres. W łazience przyglądałam sobie włosy, zmieniłam dres na dżinsy i czystą bluzę. Nie zamierzałam stroić się dla Ewy, ale nie chciałam, żeby całe miasteczko dowiedziało się, że przyjmuję gości w tym, w czym sypiam. A dowiedziałyby się na pewno.

Cicho otworzyłam drzwi od sypialni ojca. Usłyszałam jego ciężki oddech, więc cofnęłam się od progu.

Moja komórka znowu zadzwoniła.

– Jestem pod furtką, możesz do mnie wyjść? – zapytała Ewa.

Popatrzyłam na bałagan w salonie i rozgrzebaną sofę z zakopaną w pościeli Marleną.

– Poczekaj chwilę – powiedziałam.

Wygoniłam Lolę z koszyka. O tej porze powinna już stać pod drzwiami i czekać, aż ją wypuszczę. Popatrzyła na mnie spode łba, ale posłusznie poszła w krzaki, a ja podeszłam do bramy.

Ewa miała makijaż i ułożone włosy, a na nogach eleganckie botki. Perfekcyjna mieszkanka podwarszawskiego miasteczka w jesienny poranek, w drodze do codziennych obowiązków. Spojrzała na moje rozczłapane crocysy, szybko jednak przeniosła wzrok na bramę.

– Rany, co tu się u was w nocy działo?

– To długa historia. Słuchaj, trochę mi zimno, więc jeśli to nie jest nic ważnego...

Ewa nachyliła się do mnie.

– To jest bardzo ważne.

Objęłam się ramionami.

– No to mów.

Przysunęła się jeszcze bliżej i wyszeptwała, chociaż w promieniu kilkuset metrów nie było nikogo:

– Wiem, kim jest ta kobieta.

Patrzyłam na nią bez słowa.

– Cały czas miałam wrażenie, że skądś ją znam, tylko za nic w świecie nie mogłam sobie przypomnieć. Zadzwoiłam do Justyny i Anki i pytam: „Skąd ja mogę znać taką okropnie wysoką blondynkę koło trzydziestki?”. I Justyna od razu powiedziała: „Ewka, przecież my widziałyśmy kiedyś taką bardzo wysoką blondie w knajpie, jak byliśmy na babskim wieczorze. W Warszawie”. No i wtedy otworzyła mi się klapka w mózgu. Za cholereę nie mogłam sobie przypomnieć nazwy tej knajpy, Justyna też nie...

Przestąpiłam z nogi na nogę.

– Słuchaj, trochę się spieszę. Wszyscy dzisiaj zaspaliśmy i muszę zagonić Michalinę do lekcji...

– To musiało być w zeszłym roku, jeszcze przed tą cholerną pandemią. Obie zwróciłyśmy uwagę na tę kobietę, bo była strasznie wysoka.

– Ewa, ja naprawdę muszę iść.

– Czekaj, jeszcze nie powiedziałam ci najważniejszego. Ona była z facetem! Śmiali się i trzymali za ręce! Raz się nawet pocałowali.

– Ewa, ja muszę...

– I wtedy mówię do Justyny: „Ja tego faceta skądś znam”.

– Ewa...

– A Justyna: „Jak to nie wiesz, kto to jest? To Marcin Franki”.



## Rozdział 44

Gdybym się zastanowiła, na pewno przypominałabym sobie, kiedy ostatni raz siedzieliśmy z Marcinem w knajpie, śmialiśmy się, całowaliśmy i trzymaliśmy za ręce. Na pewno. Tyle że musiałabym dłużej pomyśleć, bo nic takiego nie przychodziło mi do głowy. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przed jego śmiercią często się kłóciliśmy, a Marcin sprawiał wrażenie nieobecnego. Oboje mieliśmy dużo pracy, byliśmy zmęczeni, poza tym Miśka wkroczyła w najgorszy wiek i codziennie były w domu burze z piorunami. Dlatego jego zachowanie nie wydało mi się w najmniejszym stopniu podejrzane.

Ewa jeszcze coś mówiła, ale się pożegnałam. Widziałam jej czujny wzrok, kiedy odchodziłam od furtki. Pewnie już sobie przygotowywała opis dla znajomych pod tytułem „Jak zareagowała Franka Kruk na wieść, że na jej kanapie spia kochanka męża”!

Machinalnie weszłam do domu. Machinalnie nałożyłam jedzenie do miski tańczącej wokół moich nóg Loli i dołałam jej świeżej wody. Machinalnie ruszyłam po schodach na górę i nie zareagowałam na „o, cześć” Marleny, która siedziała w rozgrzanej pościeli.

Zamknęłam się w sypialni i przekręciłam klucz w zamku.

Przez chwilę postalam z czołem opartym o drzwi szafy, a potem otworzyłam ją i wyjęłam z dna tekturowe pudło. Nie miało żadnego napisu. To były rzeczy Marcina, których nie zdołałam wyrzucić.

Usiadłam, bo bałam się, że nogi odmówią mi posłuszeństwa. Uchyliłam pokrywkę i zaraz zamknęłam oczy. Nie mogłam zdobyć się na to, żeby patrzeć na portfel, który po przyjeździe do domu zawsze rzucał gdzie popadnie, a potem go szukał; na breloczek do kluczyków do auta, który mu kupiłam tydzień po tym, jak się poznaliśmy; na klucze od naszego dawnego mieszkania (powiedziała kupcowi, że jeden komplet zgubiliśmy). Wymacałam komórkę Marcina, wyjęłam ją, po czym szybko nasunęłam pokrywkę i nogą wepchnęłam pudełko pod łóżko. Nie włączyłam tego telefonu ani razu, od kiedy odebrałam go w szpitalu razem z innymi rzeczami mojego męża.

Wetknęłam w obudowę wtyczkę do swojej ładowarki i czekałam – siedząc na podłodze, z plecami opartymi o łóżko i wyprostowanymi nogami. Czułam się tak, jak wyglądałam: jak szmaciana lalka.

Nie wiem, ile czasu minęło. Z dołu dobiegły mnie głosy ojca i Marleny. Wpełzłam na łóżko i przykryłam głowę poduszką, żeby ich nie słyszeć.

Kiedy sprawdziłam, bateria miała pięć procent. Nie wyciągałam kabla, tylko włączyłam aparat.

Znałam kod Marcina. On znał mój. Jak to w małżeństwie, niby każdy ma swoją komórkę, ale czasem musi awaryjnie skorzystać z tej drugiej.

Tylko że jego nie pasował. Najpierw myślałam, że pomyliłam się przy wstukiwaniu cyfr, potem, że zapomniałam. Nic dziwnego, w końcu nie używałam go od ponad roku. Ale nie, Marcin po prostu zabezpieczył swój aparat, żeby nikt inny nie mógł zobaczyć, co jest w środku.

Podniosłam z podłogi laptopa. Program do odblokowywania telefonów można dostać za niecałe pięćdziesiąt dolarów. Zawsze uważałam, że to dobrze zainwestowane pieniądze.

Podłączyłam komórkę do komputera. Poklikałam w klawisze.

Ostatnie połączenie było z drugiego października zeszłego roku, z godziny 1.14 nad ranem. Kilka mi-nut później Marcina staranowała ciężarówka. Kilka minut wcześniej wyszedł z domu. Pokłóciliśmy się, a ja zamknęłam się w sypialni. Nie wiedziałam, dokąd pojechał.

Zawsze miałam niezłą pamięć do cyfr. W czasach sprzed komórek rzadko wyciągałam notes z adresami, większość numerów potrafiłam wstukać z głowy i dlatego dobrze pamiętałam ten. 689 172 917. Ostatni numer, jaki zapisałam w komórce. Marlena podyktowała mi go, kiedy zaprosiłam ją do siebie. „Na wszelki wypadek”, powiedziała...

Przewinęłam listę połączeń w telefonie Marcina. Była tam „Franka”, „Miśka” i cała masa imion ludzi z jego pracy, nasi wspólni znajomi, kolega od rowerowych wypadów, pizzeria i fryzjer. Jednak w ostatnich miesiącach życia mojego męża numer, który najczęściej wybierał, z którego najczęściej do niego dzwonił i z którym prowadził najdłuższe rozmowy, należał do Marleny Sobieskiej, która teraz jadła późne śniadanie z moim ojcem.

Wyłączyłam telefon, wrzuciłam go z powrotem do pudełka z rzeczami Marcina, a potem wstałam i otworzyłam drzwi.

Na schodach trzymałam się mocno poręczy, ale nie dlatego, że drżały mi nogi. Po prostu bałam się, że z wściekłości nie trafię nogą w schodek.

Marlena i ojciec siedzieli przy małym stole. Mieścili się tam tylko dwie osoby, a trzecia, jeśli chciała się dosiąść, musiała się wciskać koło lodówki. Oboje mieli brudne talerze po jajecznicy i trzymali w dłoniach kubki z kawą. Urwali rozmowę i spojrzeli na mnie, kiedy wparowałam do kuchni.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że wiem, dlaczego Marlena opublikowała tylko ten jeden artykuł. Tekst ukazał się krótko przed śmiercią wicenaczelnego pisma. Wiadomo, kto dał jej zlecenie. Wiadomo, dlaczego nie dostała kolejnego.

Sięgnęłam po talerz, który przed nią stał, i wrzuciłam go do zlewu. Sądząc z dźwięku, rozpadł się na kilka kawałków, ale nie obejrzałam się, żeby sprawdzić. Wyrwałam jej pusty kubek po kawie i wrzuciłam za talerzem. Też się stłukł.

– Franko, co ty... – zaczął mój ojciec.

– Wypierdalaj z mojego domu – powiedziałam do Marleny. Mówiłam szeptem, bo bałam się, że jeśli podniosę głos, z wściekłości rozpadnę się na kawałki.

Wstała. Była ode mnie wyższa o pół głowy. Czułam się jak idiotka, kiedy patrzyłam na nią do góry.

– Chciałam ci wcześniej powiedzieć...

– Gównu mnie obchodzi, co chciałaś. Wypierdalaj. Masz dziesięć sekund na pozbieranie swoich rzeczy i zamknięcie drzwi od zewnątrz.

– Posłuchaj, ja chciałam...

– Wypierdalaj! – wydarłam się.

– Franko, co ty robisz? – Ojciec poderwał się od stołu. – Jak ty mówisz do naszego gościa?

– Tato, proszę cię, raz jeden jedyny w życiu nie wtrącaj się w nie swoje sprawy.

Marlena popatrzyła na mnie przez chwilę, po czym wyszła z kuchni. Słyszałam, jak porusza się w salonie, idzie do przedpokoju, a potem cicho zamyka za sobą drzwi od domu.

Usiadłam na jej miejscu przy stole i rozplakałam się. Ukryłam twarz w dłoniach. Łzy płynęły mi ciurkiem i kapały na obrus. Zrobiły mokrą plamę obok kółka po kawie pozostawionego przez kubek Marleny.

– Franko, co się dzieje? – Ojciec położył mi dłoń na ramieniu.

Strząsnęłam ją. Poderwałam się, wywracając krzesło i wybiegłam z kuchni.

Miśka wybrała dokładnie ten moment, żeby wystawić głowę ze swojego pokoju.

– Mamo, co się stało? Gdzie jest Marlena?

Nie odpowiedziałam. Wbiegłam po schodach na górę, zatrzasnęłam za sobą drzwi od sypialni i przekreśliłam klucz. Szlochając, rzuciłam się na łóżko, a kiedy już zabrakło mi łez, po prostu gapiłam się w sufit.

Długo.

Długo.

## Rozdział 45

W pokoju zrobiło się ciemno, a ja nie ruszyłam się z miejsca. Nawet nie chciało mi się siku. Nic mi się nie chciało.

Ojciec kilka razy pukał do drzwi, Miśka też. Odpowiedziałam, że boli mnie głowa i żeby dali mi spokój. Słyszałam, jak rozmawiają, potem ich kroki na schodach i w końcu w domu zapadła cisza.

Dzwonił telefon, dwa razy. Marlena. Najpierw go wyciszyłam, później wyłączyłam.

Musiałam na chwilę przysnąć, bo nagle obudziło mnie stukanie do drzwi.

– Mówiłam, że boli mnie głowa. Dajcie mi spokój!

– Franko, to ja, Łukasz.

Uniosłam się na łokciu. Rzeczywiście umówiliśmy się na dzisiaj, ale to też nie bardzo mnie obchodziło.

– Źle się czuję – odpowiedziałam.

Zastukał jeszcze raz, delikatnie.

– Franko, twój tata mówił, że coś się stało. Otwórz, proszę.

Nie odezwałam się.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

Przez długą chwilę milczał, ale nie słyszałam, żeby schodził po tych cholernych, skrzypiących schodach.

– Proszę cię, Franko.

Opadłam na poduszkę.

Podłoga zaskrzypiała, ale nie na schodach, tylko przed moimi drzwiami.

– Będę tu siedział, dopóki nie otworzysz.

Jeśli o mnie chodzi, mógł sobie siedzieć do usranej śmierci!

Wytrzymałam jakieś dziesięć minut, mniej więcej, bo nie patrzyłam na zegarek. Wstałam, przekręciłam klucz w zamku i uchyliłam drzwi.

W pokoju panował półmrok rozświetlony tylko światłem ulicznej latarni. Gdyby nie to, nie wpuściłabym Łukasza. Dobrze wiedziałam, jak wyglądam: podpuchnięte oczy i skołtunione włosy. Nie jak pewna siebie i skuteczna profesjonalistka albo kobieta, którą kiedyś kochał i której pożałował.

– Co się stało? – spytał.

Nie odpowiedziałam, więc wziął mnie za rękę, zaprowadził do łóżka, a sam przycupnął na brzegu.

– Franko, kiedyś wiele nas łączyło. Wiem, że to już przeszłość, ale przede mną nie musisz udawać. Naprawdę.

Pomacałam pod poduszką, wyciągnęłam wymiętą, lekko wilgotną chusteczkę i wysmarkałam nos. Rękawem wytarłam oczy. Wzięłam głęboki wdech i pomyślałam, że będę tego żałować. A potem mu powiedziałam.

– Cholera – mruknął, kiedy skończyłam. – Cholera.

No. Nic dodać, nic ująć.

– Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Odetnij mi głowę, żeby przestała myśleć.

– Bardzo śmieszne.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Nadal miałam zapchany nos, od wczoraj nic nie jadłam ani nie piłam i kręciło mi się w głowie.

– Przykro mi, że cię wpakowałem w to śledztwo.

– W nic mnie nie wpakowałeś.

Prawda była taka, że po prostu bardzo, ale to bardzo potrzebowałam jego pieniędzy. Nie powiedziałam tego głośno.

– Słuchaj, jeśli o mnie chodzi, możemy to zakończyć w tym momencie – zapewnił. – Jakoś sobie poradzę.

– Nie stać mnie, żeby zwrócić ci zaliczkę.

Machnął ręką.

– Daj spokój. Nic nie musisz zwracać. Wyplacę ci jeszcze pozostałą część. Wiem, że potrzebujesz...

Ugryzł się w język. Za późno.

Wstałam i powoli obróciłam się w jego stronę.

– Posłuchaj, ty cholerny, zadufany w sobie dupku! Jeśli myślisz, że potrzebuję jałmużny i litości, to grubo się mylisz. Włazisz w moje życie po przeszło dwudziestu latach i co sobie myślisz?

– Franko, ty mnie źle...

– Dobrze zrozumiałam. Wiem, że srasz kasą. Tak się składa, że ja niestety nie. Ale nie potrzebuję twójego fałszywego współczucia.

– Franko, ja nie...

– Ani pieniędzy za nic. Mam zamiar na nie zapracować. Rozumiesz?

– Rozumiem – odpowiedział cicho. – Rozumiem bardzo dobrze.

– To teraz wynoś się z mojego pokoju! Bo muszę się przebrać, wziąć prysznic i umyć włosy. Napiję się wody, wezmę cholerny proszek od bólu głowy i zjem jakąś kanapkę, a potem przedstawię ci raport.

Pokiwał głową.

– Okej.

– Po prostu wyobraź sobie, że przełożyliśmy nasze służbowe – położyłam nacisk na to słowo – spotkanie na godzinę później.

Wstał i podszedł do drzwi.

– Poczekam w samochodzie.

Tym razem usłyszałam, jak schodzi po schodach. Zapaliłam światło, zakląłam, kiedy jasność ukłuła mnie w oczy, i zaczęłam przeszukiwać szufladę szafki nocnej w poszukiwaniu proszków, bo głowa pękała mi z bólu.

## Rozdział 46

– Incele? – spytał, kiedy już siedzieliśmy na fotelach w salonie.

Zaparzyłam świeżej kawy, kanapę złożyłam, a pościel po Marlenie wrzuciłam do środka. Wolałam ją spalić, o tym jednak postanowiłam zdecydować później. Wzięłam szybki prysznic i co prawda nie umyłam włosów, ale porządnie się uczesałam. Darowałam sobie makijaż, bo i tak nie dalby rady przykryć opuchniętych oczu, przypudrowałam za to nos i włożyłam ładny sweter oraz starą spódnicę. Wyglądałam jak człowiek i to musiało wystarczyć.

– Wiesz, co to znaczy?

– Obiło mi się o uszy. Naprawdę uważasz, że któryś z nich ma coś wspólnego ze śmiercią Soni?

– Mam ważny ślad.

Nie miałam, ale liczyłam na to, że go znajdę.

Łukasz w zamyśleniu pokiwał głową.

– Ale dlaczego Sonia? – spytał w końcu.

– Bo była ładna i seksowna? Bo była bardzo popularną aktorką, tylko sprawiała wrażenie niedostępnej...

– Sonia nigdy...

– Bo żaden z tych facetów nigdy nie mógłby jej mieć ani nawet dotknąć? – dokończyłam.

– I to wystarczy, żeby zabić człowieka?

Na pewno wystarczyło, żeby cała incelska brać życzyła Soni śmierci w męczarniach.

– Jak chcesz zebrać dowody?

Odchyliłam się na fotelu.

– Nie mogę ci zdradzać sekretów swojego fachu, bo przestanę ci być potrzebna – odpowiedziałam, chociaż tak naprawdę po prostu nie wiedziałam, jak je zebrać. Nie miałam pojęcia.

Uśmiechnął się, pochylił do przodu i ujął moją dłoń w swoje.

– To się na pewno nie stanie.

Delikatnie cofnęłam rękę.

– Posłuchaj, Łukasz. Bardzo mi nie odpowiada mieszanie życia zawodowego z prywatnym.

Roześmiał się, tym razem głośno.

– Tu cię boli! Franko, posłuchaj mnie przez chwilę. Ja też wolę oddzielać interesy i życie prywatne, ale wierz mi, naprawdę jestem szczęśliwy, że trafiłem na ciebie. – Patrzył mi prosto w oczy i widziałam, że nie kłamie. – Mam do ciebie zaufanie, a poza tym zwyczajnie się cieszę, że znowu się widzimy. Czy to coś złego? – Pochylił się jeszcze bardziej w moją stronę. – Od śmierci twojego męża minął rok. Nie sądzisz, że powinnaś już zacząć myśleć o sobie?

Zesztywniałam. Zauważył to, bo od razu dodał:

– Mówię to jako twój przyjaciel, którego znasz kopę lat. I który zawsze powie ci prawdę.

– To fantastycznie. W takim razie powiedz mi, dlaczego mnie okłamałeś w sprawie... – Imię Marleny nie chciało mi przejść przez gardło. – W sprawie stalkerki Soni? Wysłałam ci jej zdjęcie, a ty powiedziałeś, że jej nie znasz.

Potańił czoło.

– To nie tak – odparł w końcu. – Powiedziałem, że nic nie wiem o stalkerce, zanim przysłałaś mi zdjęcie. Skojarzyłem dopiero później.

– Poszedłeś z Sonią na policję, złożyliście zeznania i sprawa trafiła do sądu. Marlena – tym razem mi się udało, bo byłam naprawdę zła – dostała zakaz zbliżania się do twojej żony. Podobno to wszystko działo się z twojej inicjatywy.

Uśmiechnął się.

– Franko, to po prostu nieporozumienie. Użyłaś słowa „stalkerka”, a ja nie od razu skojarzyłem, o co chodzi. Podczas składania zeznań ani procesu to słowo nie padło ani razu. Była mowa o „uporczywym nękananiu”.

– Czy ty sobie, kurwa, żartujesz? – prychnęłam. – Wiesz, kto to jest incel, a nie wiesz, kto to stalkerka?

– Wiem! – zawołał. – Oczywiście, że wiem, tylko nie skojarzyłem tego z tą dziewczyną. Dla mnie stalker to ktoś, kto oblewa ofiarę kwasem albo grozi jej śmiercią. Ta tego nie robiła – tłumaczył, patrząc mi prosto w oczy.

Słuchałam jego słów i próbowałam znaleźć w nich fałsz. Nie udało mi się.

– Wierzysz mi? – zapytał.

– Zastanawiam się, czy powinnam.

Tym razem roześmiał się mimo mojego groźnego spojrzenia.

– Powinnaś. Mówię prawdę, Franko. Przekonasz się.

Kiedy już wychodził, zatrzymał się przy drzwiach i znowu ujął moją dłoń.

– Wolę, jak się uśmiechasz, niż jak płaczesz – powiedział.

A ja wolę, jak mi płacisz, niż jak trzymasz mnie za rękę, pomyślałam, tyle że nie była to prawda. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatnio czyjś dotyk sprawiał mi taką przyjemność.

## Rozdział 47

Absolutnie jedynym tropem, który mógłby wskazywać na udział inceli w śmierci Soni, była nienawiść, którą ziali do niej na forum. Musiałam zdobyć więcej informacji, jakiś punkt zaczepienia, dowód, że to jeden z nich zabił Sonię. Tylko jak to zrobić? Zepchnął ją z drogi?

Tego, że Zagórski niczego mi nie powie, mogłam być pewna jak faktu, że moja nastoletnia córka zrobi mi niedługo kolejną awanturę. Dlatego zadzwoniłam do Łukasza.

– Też o tobie myślałem – powiedział, gdy tylko odebrał.

Uznałam, że nie będę tego komentować.

– Co było bezpośrednią przyczyną śmierci Soni? – spytałam.

– Bezpośrednią...?

– Widziałeś raport patologa?

Milczał przez chwilę. Słyszałam melodię jakiejś piosenki z radia w samochodzie – znałam ją, ale nie mogłam sobie przypomnieć, co to.

– Widziałem – westchnął. – Mój adwokat od nich wyciągnął.

– I?

– Wielonarządowe obrażenia wewnętrzne na skutek zderzenia samochodu z drzewem, mówiąc najprościej.

To znaczyło tylko tyle, że nikt nie strzelił jej w głowę ani nie udusił. W sumie jakiś krok do przodu, ale podejrzewałam, że gdyby doszło do czegoś takiego, Zagórski by o tym napomknął.

– A samochód? Ma jakieś podejrzane ślady, jak choćby wgniecenia od tyłu?

Coś takiego mogło przecież się wydarzyć – ktoś mógł w nią wjechać i zepchnąć z drogi.

– Tego nie wiem. Raportu z badań samochodu nie widziałem. Słuchaj, muszę kończyć, bo właśnie dojeżdżam...

Rozłączyłam się i zaczęłam przeglądać forum dla inceli, ale nie znalazłam niczego poza wpisem autorstwa – tak podejrzewałam – pieprzonej kochanki mojego męża. Pod nickiem Kopciuszek12 ktoś wyżywał się na tych ludziach tak strasznie, że pobazgrana brama przestała mnie dziwić: „Hej, przegrywy, jak często bierzecie prysznic? Może dlatego laski nie chcą wam obciążać, bo robicie to raz na tydzień albo rzadziej”. Komentarz pod linkiem do artykułu o częstszych samobójstwach mężczyzn głosił: „Jak się wygląda tak jak wy, to rzeczywiście lepiej się pochlastać”, a pod dyskusją o feministkach: „Pewnie, jak mamusia podtykała wszystko pod nos, to każda laska, która sugeruje, żebyś sam ugotował makaron, jest twoim wrogiem”. I tak dalej.

Siedziałam na tym forum kilka godzin, szukając jakiegoś punktu zaczepienia, tyle że nic nie znalazłam. Coś mi nie pasowało. Wszyscy narzekali, gadali, chcieli wysłać feministki do gazu, ale jakoś żaden nie zbudował komory gazowej.

Oni byli tylko mocni w gębie, więc jak to się stało, że dwóch dało się sprowokować i wysprejowało mi napis na bramie?

Najwyraźniej musieli mieć w swoim gronie kogoś, kto potrafi przejść od słów do czynów. Kogoś, kto rzeczywiście mógłby wjechać z dużą prędkością w samochód Soni i zepchnąć ją na drzewo.

Siedziałam i rozmyślałam o incelu, któremu coś zaklikało w głowie, kiedy na ekranie zamigotała zielona strzałka i pojawił się tekst, że na górze wątku jest nowa wiadomość.

Przewinięłam.

Poldziak: „O której to dzisiaj? Zapomniałem”.

Wacek: „21.00. Tylko weź się nie spóźnij, jak ostatnim razem”.

Tymo: „Właśnie, bo zaczniemy bez ciebie”.

Poldziak: „Nie mogłem znaleźć miejsca do zaparkowania”.

Tymo: „Problemy pierwszego świata. Ja przyjechałem 517 i było git”.

Juras: „Ja zawsze parkuję od Konińskiej. Tam są miejsca. Trzeba tylko kawałek przejść”.

Przerzuciłam się na Mapy Google'a i wpisałam nazwę ulicy. Ursus, od paru lat zwany szumnie dzielnicą Warszawy. Przyjrzałam się trasie 517 – to była linia przyspieszona, w tej okolicy miała tylko jeden przy-stanek.

Powiększyłam mapę, ale nic to nie dało. Trzy Żabki, dwie apteki, piekarnia, pizzeria, zakład szewski i biblioteka – żadne z tych miejsc nie rzuciło mi się w oczy jako punkt tajnych spotkań, gdzie incele mogliby snuć swoje plany przejęcia kontroli nad światem, a w każdym razie nad kobietami. Ale wiedziałam już, co będę robić wieczorem.



## Rozdział 48

Znowu mżyło. Było ciemno, zimno i wiał wiatr. Podobno Polacy mają jeden z najwyższych wskaźników samobójstw w Europie. Zawsze mnie dziwiło, dlaczego nie w ogóle najwyższy na świecie.

Zostawiłam samochód na jedynym wolnym miejscu do parkowania, być może blokując kołesia, który umawiał się z kumplami na forum, i pół godziny laziłam w kółko po ulicach. Kurtkę miałam przemoczoną, włosy też, bo zapomniałam zabrać czapkę, a parasol wywijał się na drugą stronę na wietrze. Liczyłam, że mimo wszystko nie skończy się to zapaleniem ucha, bo dostanie się do lekarza graniczyło z cudem.

Robiłam już drugi raz tę samą trasę, która obejmowała uliczki w pobliżu Konińskiej oraz okolice przystanku 517. Byłam pewna, że trzeci raz jej nie zrobię, tylko wrócę do samochodu, pojadę prosto do domu i położę się do łóżka. Może zajrzę jeszcze do kuchni, żeby zrobić sobie herbaty i wziąć dwa paracetamole.

W oknach nie świeciło się światło, bo o dwudziestej pierwszej zarówno szewc, jak i punkt naprawy rowerów oraz biblioteka były dawno nieczynne. Apteki zresztą też. Pozostawały mi jedynie Żabki, ale z gorących rzeczy mieli tam tylko hot dogi, a z pewnością porzygałabym się po zjedzeniu choćby jednego.

I wtedy go zobaczyłam. Faceta, który wyglądał zupełnie normalnie. Nie jak osoba, która nie wystawia nosa z piwnicy rodziców, i nie jak seryjny morderca. Miał na sobie kurtkę i džinsy. Pociągnął za drzwi prowadzące do jakiegoś pawilonu, a one się otworzyły.

Poczekalam, aż się za nim zamkną, i dopiero wtedy podeszłam. Na przykręconej do tynku tabliczce widniało „Biblioteka m.st. Warszawy, oddział Ursus”. A pod spodem znajdowała się druga tabliczka, tej samej wielkości i zapisana taką samą czcionką – „Miejski Dom Kultury”. Jak się okazało, ta pierwsza instytucja była już zamknięta, ale zza drzwi w głębi ciemnego korytarza docierały sine światła jarzeniówek i gwar głosów.

Dopiero kiedy pociągnęłam za gałkę, uzmysłowiłam sobie, że mogę być jedyną kobietą w tym towarzystwie i że będzie to więcej niż podejrzane. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

Niepotrzebnie się bałam. Nikt nie zwrócił uwagi na moje wejście, a na sali siedziało kilka kobiet, chociaż niewiele.

Wszystkie krzesła stojące wokół dziesięciu stołów były zajęte. Meble sprawiały wrażenie przyniesionych tu z różnych miejsc specjalnie na tę okazję, różniły się wielkością i kolorem. Na blatach leżały plansze do gry. Nie chodziło bynajmniej o monopol, jedyną znaną mi planszówkę, przy której kiedyś, jakiś milion lat temu, spędzaliśmy czas z Marcinem i Miśką. Żadnej z tych gier w życiu nie widziałam na oczy.

Jedni gracze trzymali w rękach karty oznaczone dziwnymi wzorami albo figurami, inni rozłożyli swoje na stole i – z tego, co zdążyłam zauważyć – widniały na nich głównie smoki oraz czarodzieje. Wszyscy byli maksymalnie skoncentrowani. Nikt nie podniósł głowy, nikt mnie nawet nie zauważył.

Cofnęłam się do korytarza i spojrzałam na zewnętrzną stronę drzwi. Metalowa tabliczka, przytwierdzona porządnie, na śruby, potwierdziła, że jestem w Miejskim Domu Kultury, oddział w Ursusie, a wyrwana z zeszytu i przyklejona pod spodem taśmą klejąca kartka poinformowała mnie, że to trzydziesty piąty wieczór gier planszowych.

Faceci, którzy nienawidzili kobiet i którzy – być może! – jedną zabili, spędzali wieczory z kumplami przy planszówce.

Założyłam maseczkę i weszłam do środka.

Nie zauważyłam mężczyzny stojącego pod ścianą, dopóki się od niej nie odkleił. Podszedł do mnie.

– Możesz to zdjąć. – Wskazał moją twarz. – Sama widzisz, że nikt tu tego nie nosi.  
Rzeczywiście nikt nie zasłaniał nosa ani ust i nie przestrzegał dystansu społecznego przy stolikach.  
– Nie lubimy tutaj pandemicznej propagandy. A ty pierwszy raz? Nigdy wcześniej cię nie widziałem.  
Pokiwałam głową.  
– Zarejestrowałaś się?  
– Nie... Nie wiedziałam, że trzeba. Ja tylko wpadłam...  
– Spoko – uspokoił mnie. – Wiele osób tak robi.  
– Naprawdę?  
– Ludzie wpadają tylko rzucić okiem, raz, drugi, trzeci, a potem zostają. To strasznie wciąga.  
– A ty nie grasz? – zaryzykowałam.  
– Jestem mistrzem ceremonii. Zawsze na początku spotkania losujemy jedną osobę, która rozwiązuje ewentualne spory. To co ci się najbardziej podoba?  
Machnęłam ręką w stronę najbliższego stolika.  
– *Kolaps grawitacyjny*. Dobry wybór. Jak chcesz, poproszę chłopaków, żeby się trochę posunęli. Oczywiście jeśli dołączysz na tym etapie, będziesz miała trochę pod górkę, ale wszystko ci wytłumaczę.  
– Nie, nie trzeba. – Jeszcze tylko tego brakowało, żebym uczyła się jakiejś gry.  
– Oni by się ucieszyli. – Przynął się i wyszeptał, jakby zdradzał mi tajemnicę, której nie znałam: – U nas nie ma za dużo dziewczyn.  
Mam czterdzieści lat i określenie „dziewczyna” pod moim adresem było bardzo naciągane. Incel, który nazwał się mistrzem ceremonii, najwyraźniej nie widział problemu.  
– Na razie wolę popatrzeć – odparłam, ale od stolika już poderwał się facet.  
– Siadaj z nami.  
Zaczynałam rozumieć, dlaczego ci panowie mieli problemy z kobietami. Ten, który mnie zaprosił, ograniczył się do przesunięcia w prawo. Krzesło musiałam sobie przynieść sama. Ledwo się wcisnęłam.  
Mężczyźni przy stoliku wyglądali normalnie. Mieli zwyczajne bluzy i spodnie, zwyczajnie obcięte włosy i całkiem zwyczajne twarze. Trochę niezwykajny był jedynie błysk w oku graczy.  
Ten, który się przesunął, wyjął z kupki pięć kart i mi podał.  
– Musisz zdobyć puchar – powiedział. – Do tego potrzebne ci będą moce i atrybuty. Zobacz sobie, na każdej karcie jest napisane, ile masz mocy i atrybutów.  
Zerknęłam na stół. Pierwsza karta przedstawiała dziewczynę w staniku ledwo przykrywającym jej sutki. Nie wiedziałam, czy to moc, czy atrybut.  
– Karty możesz wymieniać z innymi graczami. Jak ktoś potrzebuje więcej mocy, może ci za to dać jakiś atrybut. Jasne?  
Jak słońce.  
– No to rzuć kostką.  
Wyrzuciłam szóstkę. Gracze gwizdnęli.  
– No i proszę, od razu dostajesz dodatkową kartę. Paweł, nie gap się, twoja kolej.  
Paweł rzucił, a ja zagadnęłam faceta z drugiej strony:  
– Często się tak spotykacie?  
– Różnie.  
– A coś jeszcze robicie razem? Oprócz grania?  
– No wiesz, różnie.  
Zdaje się, że kolejną przyczyną ich problemów z kobietami była elokwencja.  
– Miałam na myśli, czy spotykacie się też w innych miejscach. Bo do Ursusa mam trochę daleko.  
– A, to różnie. A ty gdzie mieszkasz?

– W Piasecznie. – Specjalnie wybrałam miejscowość po przeciwnej stronie Warszawy.

– To faktycznie kawałek... – Podrapał się po głowie.

Kiedy znowu była moja kolej, wyrzuciłam dwójkę i tym razem nie dostałam żadnej karty.

Próbowałam się rozejrzeć, najpierw dyskretnie, potem już mniej, bo i tak nikt nie zwracał na mnie uwagi. Wszyscy gracze mieli pochylone głowy, kilku poruszało bezgłośnie wargami, jakby się modlili, chociaż pewnie tylko liczyli punkty. Dwa stoliki dalej rozgorzała gwałtowna dyskusja. Mistrz ceremonii podbiegł tam i próbował interweniować.

Nadal nie wiedziałam nikogo, kto wyglądałby na zdolnego do rękoczynów.

Ktoś trącił mnie w łokieć. Rzuciłam kostką. Trójka. Znowu nie dostałam żadnej karty.

– Chcesz wymienić dwa miecze na kielich? – zapytał mnie facet siedzący po przeciwnej stronie stołu. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, na szczęście nie musiałam. Pozostali zaczęli na niego krzyczeć, żeby zaczekał na swoją kolejkę.

Wstałam.

– Nie chcesz już grać? – spytał mnie ten z mojej prawej.

– Nie, to znaczy... chcę zobaczyć, na czym polegają inne gry.

– To daj mi swoje karty – poprosił.

No i znowu się zaczęło. Ktoś krzyczał, że karty wracają do puli. Ktoś inny, że powinien przejść je gracz, który wyrzuci największą liczbę oczek.

Odsunęłam się pod ścianę, tam gdzie wisiała biała tablica, na której można pisać mazakami. Na półeczce na dole leżał plik ulotek. Wzięłam jedną.

„Miłość aż do śmierci. Szymon Zawada na żywo! Spotkanie zamknięte”. Zgodnie z datą miało się odbyć następnego dnia.

– Nie grasz już?

Drgnęłam, ale to był tylko mistrz ceremonii.

– To dla mnie za trudne.

Zauważył ulotkę w moich rękach.

– Zapowiada się megaevent – stwierdził. – Bilety są po dwie stowy, a rozeszły się jak ciepłe bułeczki. Stąd to chyba wszyscy się wybierają.

Powiodłam wzrokiem po sali.

– Serio?

– Możesz zadzwonić. Z tyłu jest numer. Mówili, że może jeszcze wypuszczą jakieś miejscówki. – Mistrz ceremonii przysunął się bliżej. Czułam zapach jego koszuli, której przydałoby się pranie. – Nie wstydz się. Niektórzy lecą na starsze laski, takie jak ty.

W to ostatnie uwierzyłam bez trudu. Większość inceli szukała drugiej mamusi, a nie partnerki. Kobieta koło czterdziestki była dla nich wcielonym ideałem.

Postanowiłam udawać zainteresowaną.

– A kto tam będzie?

– Ja się wybieram.

Są takie chwile w życiu, kiedy nie wiem, czy zareagować uśmiechem, czy ucieczką, i to była jedna z nich.

– Zawsze chciałem zobaczyć Szymona na żywo – ciągnął mistrz ceremonii. – A ty nie?

Najwyraźniej czekał na moje okrzyki entuzjazmu, ale się nie doczekał, bo nie wiedziałam, kim jest Szymon.

– Naprawdę nie wiesz? Szymon Zawada?

Pokręciłam głową.

– On potrafi poderwać każdą laskę.

– Serio?

– Naprawdę o nim nie słyszałaś? Ma program w telewizji, taki, wiesz, make over. Bierze kilku totalnie nieśmiałych kolesi, co to w życiu by nie zagadali do laski, i uczy ich, jak podrywać.

– I co, to działa? – zainteresowałam się.

– W stu procentach. A teraz będzie na żywo, wyobrażasz sobie?! Jak przyjdiesz, sama zobaczysz, jaki on jest niesamowity.

Dla tych inceli facet, który twierdzi, że potrafi poderwać każdą kobietę, pewnie był bogiem.

Oczywiście, że zamierzałam przyjść. Za nic bym tego nie przegapiła.

## Rozdział 49

Marlena zadzwoniła, kiedy wsiadałam do samochodu, a potem jeszcze dwa razy. Gdy zaparkowałam pod domem, zobaczyłam, że zostawiła wiadomość. „Oddzwon, to ważne”.

Zablokowałam jej numer.

Było tuż przed północą. W salonie paliła się tylko boczna lampa. Lola spała jak zabita w koszyku pod biurkiem, a w fotelu siedział mój ojciec i nie spał.

– Tato, jest strasznie późno. Powinieneś się położyć.

Popatrzył na mnie poważnie.

– Przyjechała dziś ta twoja przyjaciółka, ta Mar-lenka...

– To nie jest moja... – Machnęłam ręką. – Czego chciała?

– Nie mogła się do ciebie dodzwonić. Podobno to coś bardzo pilnego. Prosiła, żebyś oddzwoniła. Bez względu na porę, powiedziała.

Przelknęłam ślinę.

– Idź na górę, tato, i spróbuj zasnąć. Bo jutro będziesz źle się czuł.

Ojciec wstał. Lola ze swojego koszyka pacnęła dwa razy ogonem o podłogę i znowu zapadła w sen.

– Córeczko, ja nie dlatego na ciebie czekam.

– Tato, posłuchaj, już późno, porozmawiamy jutro, dobrze? A teraz...

– Michasia nie wróciła jeszcze do domu.

Spojrzałam na niego.

– Jak to nie wróciła?

Wyszarpnęłam komórkę z kieszeni, wybrałam numer i odczekałam kilkanaście sygnałów. Włączyła się poczta głosowa.

– Miśka, natychmiast oddzwon. I wracaj do domu, ale już! Jest północ!

Napisałam to samo na WhatsAppie i – dla pewności – jeszcze w esemesie.

– Dokąd ona poszła, tato?

– No do tej koleżanki, u której była ostatnio. Weroniki? Wiktorii? Nie pamiętam, jak ma na imię.

Ja też nie pamiętałam, głównie dlatego, że ta koleżanka nie istniała.

Usiadłam, bo poczułam, jak uginają się pode mną nogi. Jeszcze raz wybrałam numer Miśki. I znowu: kilkanaście sygnałów, a potem połączenie z pocztą głosową.

– Miśka, odezwij się – powiedziałam i po sekundzie dodałam: – Proszę. My się tu z dziadkiem strasznie o ciebie martwimy.

Zerwałam się z kanapy i wyszłam do ogrodu. Nadal żyło i okropnie marzłam bez kurtki, ale było mi wszystko jedno. Zaczęłam chodzić w kółko. Znow próbowałam się dodzwonić i znow nic z tego nie wyszło. Wybrałam numer Zagórskiego, ale od razu przerzuciło mnie na pocztę głosową. Miał wyłączony telefon.

Nagrałam się, mówiąc, żeby oddzwonił, że to pilne i chodzi o Miśkę. Na wszelki wypadek jemu również napisałam to samo na WhatsAppie oraz w esemesie. I również nie zobaczyłam potwierdzenia, że wiadomość została przeczytana.

Wtedy zadzwoniłam pod 112.

Jako prywatna detektywka powinnam mieć w małym palcu procedury zgłoszeń na telefon alarmowy, ale kiedy dyspozytorka się odezwała, poczułam pustkę w głowie.

– Jak mogę pani pomóc? – przynagliła mnie.  
– Moja córka... nie wróciła na noc do domu.  
– Rozumiem. Ile córka ma lat?  
– Pra... prawie szesnaście. Skończy za miesiąc.  
– Rozumiem. Musi pani zadzwonić po upływie dwudziestu czterech godzin.  
– Proszę pani, moja córka nie wróciła na noc do domu! – powtórzyłam jeszcze głośniejszym głosem, w nadziei, że to do niej dotrze.  
– Rozumiem. Ale ponieważ pani córka ma ukończone piętnaście lat, nie jest automatycznie zgłaszana. Możemy przyjąć zgłoszenie dopiero, kiedy miną dwadzieścia cztery godziny od jej zaginięcia.  
– Ja nie wiem, czy ona zaginęła. Po prostu nie wróciła...  
– Rozumiem. Ale musi pani...  
– Nic pani nie rozumie! – wrzasnęłam. – Nic pani, kurwa, nie rozumie!  
Rozłączyłam się i ponownie wybrałam numer Miśki. Nic.  
Numer Zagórskiego. Nic.  
Miśki. Znowu nic...  
Stałam tak z komórką w dłoni i trzęsłam się z zimna. Nie wiedziałam, do kogo jeszcze mogłabym zadzwonić.  
W końcu wybrałam jedyny numer, jaki przyszedł mi do głowy.  
Łukasza Wolskiego.

## Rozdział 50

– Będę u ciebie za pół godziny – powiedział.

Przyjechał po dwudziestu minutach – musiał przekroczyć wszystkie ograniczenia prędkości. Miał szczęście, że nikt go nie złapał.

Udało mi się namówić ojca, żeby się położył. Nie mogłam jednocześnie szukać córki i leczyć jego chorego serca. Obiecałam mu, że na pewno zaczekam na powrót Miśki i będę do niej dzwonić do skutku. I tak nie robiłabym nic innego.

– I nie wiesz, dokąd poszła? – spytał Łukasz.

– Kurwa, wiem, tylko uznałam, że na pewno nudzisz się w środku nocy! – wybuchnęłam. – Ja też się trochę nudziłam i dlatego do ciebie zadzwoniłam!

Wziął głęboki wdech.

– Uspokój się, Franko. Twoje zdenerwowanie nic tu nie pomoże.

– A widziałeś, żeby ktoś się uspokoił po tym, jak usłyszał: „Uspokój się”?!

– Po prostu przestań!

Zamknęłam się. Dłonie trzęsły mi się tak, że nie mogłam utrzymać komórki.

– Przepraszam. Słyszysz, Franko? Przepraszam. Po prostu próbuję myśleć.

Usiadłam na kanapie i po raz setny wybrałam numer Miśki. Nadal nic.

– Gdzie mieszka ta jej koleżanka?

– Już ci mówiłam: ona nie ma koleżanki o takim imieniu. Musiała pójść gdzie indziej i nie chciała mi powiedzieć gdzie.

Przypomniałam sobie o chłopaku, o którym mówiła kilka dni temu.

Łukasz chyba czytał w moich myślach.

– Jak nie do koleżanki, to może do chłopaka?

– Miśka nie ma chłopaka – odparłam słabo. – To znaczy spotkała się raz z jednym, ale nie zostałyby u niego na noc. Nie uprawiają seksu ani nic takiego.

– Ty myślisz, że nie uprawiają – poprawił mnie, a ja nie odpowiedziałam, bo w głowie kołatała mi straszna myśl: co, jeśli Miśka postanowiła uciec z domu?

Po śmierci Marcina nasza rodzina rozsypała się, jakby ktoś dmuchnął na domek z kart. Jakby Marcin był cementem albo klejem i bez niego wszystko się rozpadło. Miśka pograżyła się w swoim świecie, ja w swoim. Niby żyłyśmy pod jednym dachem, ale bywały dni, kiedy jedyny słowo, jakie między nami padały, brzmiały: „Odrobiłaś lekcje?” i „Mamo, daj spokój”. Mój świat wypełnił się rozpaczą, problemami finansowymi i ogólną beznadzieją. Mogłam jedynie rozpamiętywać, jak dobre było to, co straciłam. A po tym, czego się dowiedziałam o Marcinie, nawet to okazało się zwykłą utudą...

Jak wyglądał świat Miśki, nie wiedziałam. I chyba wcale nie chciałam wiedzieć. Może dręczył ją jakiś problem, z którym nie potrafiła się zmierzyć. A może miała zwyczajnie dość zagubionej matki i skostniałego dziadka. Może uznała, że jest dorosła i rozpocznie nowe życie, gdzieś, bez nas.

Tliła się we mnie tylko iskierka nadziei, że moja córka odziedziczyła po mnie zdrowy rozsądek i nie zdecydowała się uciekać akurat w dniu z najgorszą chyba tej jesieni pogodą. I że pomyślała o pandemii i pustych ulicach, na których będzie widoczna z daleka jak palec w gipsie, zwłaszcza dla policyjnego patrolu. I że naprawdę poszła do koleżanki albo do tego cholernego chłopaka i się tam zasiedziała. Albo nawet w ramach buntu przeciwko beznadziejnej matce postanowiła nie wrócić na noc. Ale jest bezpieczna.

Zerwałam się z kanapy i podbiegłam do laptopa.

– Mam tu gdzieś listę wszystkich jej koleżanek z klasy, z telefonami kontaktowymi do rodziców. – Zaczęłam przewijać mejle do początku września. – Obdzwonię ich.

Łukasz podszedł, dotknął mojego ramienia.

– Franko, jest prawie pierwsza w nocy. Nie możesz dzwonić do ludzi o tej godzinie.

– Ale jeśli Miśka gdzieś tam jest...

– To jest bezpieczna. Raczej mała szansa, żeby wśród jej koleżanek i kolegów z klasy była rodzina kanibali, prawda?

– Bardzo śmieszne. Kurewsko śmieszne. Wprost nie do opisania śmieszne.

– Zrobię ci herbaty, okej? A potem zastanowimy się, co dalej.

Kiedy wyszedł do kuchni, wybrałam jeszcze raz numer Miśki. To samo co wcześniej.

– Słodzisz?! – zawołał Łukasz.

– Nie – powiedziałam cicho, podchodząc do niego i zerkając w stronę schodów. – Nie krzycz, bo obudzisz ojca.

I wtedy okno kuchni omiotł snop światła. Usłyszałam silnik samochodu. Auto zatrzymało się przed naszą bramą. Trzasnęły drzwi, a po chwili furka się otworzyła i do ogrodu weszła Miśka.

Wybiegłam z domu.

– Wszystko w porządku?! – zawołałam. – Nic ci nie jest?!

Chwyciłam ją za ramiona, a ona tylko się otrząsnęła.

– Mamo, czemu ty zawsze tak histeryzujesz? – rzuciła pogardliwie, po czym minęła mnie i weszła do środka.

– Gdzieś ty była?! – wybuchnęłam, wchodząc za nią. – Wiesz, jak się o ciebie martwiliśmy?!

– Nie jestem już dzieckiem – odburknęła.

Zdjęła buty i kurtkę i ruszyła prosto do swojego pokoju.

– Chwileczkę! – powiedziałam do jej pleców.

Zatrzymała się. Oparła się bokiem o ścianę i zaplotła ręce na piersi. Przybrała nonszalancką pozę pod tytułem: jestem normalną osobą i rozmawiam z histeryczką.

Krew się we mnie zagotowała.

– Chciałabym się dowiedzieć, gdzie byłaś – wycodziłam, ledwo nad sobą panując. – I dlaczego nie odbierałaś. Myślałam, że umrę z nerwów.

– Telefon mi się rozłądował.

– Nieprawda! Od razu włączyłaby się poczta głosowa.

Miśka wzruszyła ramionami.

– Coś jeszcze? Jestem strasznie śpiąca.

– Chcę wiedzieć, gdzie byłaś!

– U koleżanki. Już mówiłam dziadkowi.

– Miśka, nie kłam!

– A ty co? Kłamiesz na prawo i lewo! Żyjesz w kłamstwie, a mnie zabraniasz?! Wiesz, kim jesteś? Zwykłą hipokrytką!

– Nie powinnaś tak mówić do matki – odezwał się nagle Łukasz.

Odwróciłam się. Stał w drzwiach kuchni, oparty o framugę, z założonymi rękami, jak lustrzana kopia Miśki.

– Kim w ogóle jest ten facet? – zapytała moja córka. – I co robi w naszym domu w środku nocy?

– Pomaga mi ciebie szukać.

– No to już nie musi, bo się znalazłam. Zadowolona?



Weszła do swojego pokoju i zatrzasnęła drzwi, aż ściany zadrżały.

– Nie powinnaś jej pozwalać tak do siebie mówić.

Odwróciłam się.

– Łukasz, dziękuję ci za dobre rady. I za pomoc. A przede wszystkim za to, że tu ze mną byłeś. Ale teraz, proszę, idź już sobie.

Pokiwał głową.

– Połóż się. Odpocznij. Zadzwoń rano.

Zgarnął kurtkę i wyszedł.

## Rozdział 51

Rano wszyscy zachowywali się jak gdyby nigdy nic. Ojciec narzekał na serce, brak świeżego chleba na śniadanie i na to, że nie kupił mu krzyżówki. Miśka zrobiła awanturę, że nie ma czystej bluzy, zjadła jogurt owocowy z kubka i usiadła przed komputerem do lekcji. Żad-ne z nich nawet się nie zająknęło o tym, co zaszło w nocy.

Musiałam wreszcie napisać raport dla firmy ubezpieczeniowej i zainkasować wypłatę. To nie była duża kwota, ale nie mogłam liczyć, że jeszcze kiedykolwiek w życiu trafi mi się taka płaca, jaką zaoferował Łukasz. Odpaliłam laptopa, włączyłam edytor tekstu, napisałam nagłówek i... nie wiedziałam, co dalej.

Czułam się nieco zdezorientowana. Przyjemnie było odnowić starą przyjaźń z Łukaszem, mieć kogoś, na kogo można liczyć. Kogoś, kto obudzony w środku nocy przyjedzie mi na pomoc. Kogoś, z kim się nie klóciłam cały czas, jak z Zagórskim.

Przyjemniej jednak byłoby nie być od niego zależną – ani finansowo, ani w żaden inny sposób. Funkcjonować po prostu jako dawni znajomi. Z dwójga złego wolałabym nawet, żeby ograniczył nasze stosunki tylko do pracy. A tak, nie wiedziałam, co o tym myśleć. Od śmierci Marcina nie wiedziałam już w ogóle nic i byłam tym stanem bardzo zmęczona.

Wpatrywałam się w ekran, myśląc o mężu, który najpierw mnie oszukiwał i zdradzał z dziewczyną młodszą ode mnie o dziesięć lat oraz wyższą o co najmniej dziesięć centymetrów, a potem dał się zabić na przelotówce do Warszawy.

Próbowałam otrząsnąć się i wrócić do raportu, gdy nagle się zorientowałam, że nie zrobiłam pomiarów. Wybrałam się tylko raz na ten zakręt, w nocy po telefonie od Łukasza, i nie chciałam tam wracać nigdy więcej. Ale musiałam.

Przejrzałam szafę w swoim pokoju, wszystkie szafki w kuchni i schowek w przedpokoju, zanim znalazłam rozwijaną dziesięciometrową miarkę. Zakład ubezpieczeniowy miał pewnie wszystkie pomiary od policjantów, ale jeśli chciałam, żeby mój raport wyglądał profesjonalnie (i żebym mogła jak najszybciej zainkasować honorarium bez nanoszenia żadnych poprawek), musiałam dodać swoje. Oczywiście wiedziałam, że po wypadku nie ma już śladu, może tylko rozbite szkło na poboczu, jednak pozostawało ustalenie widoczności, odległości od zakrętu do miejsca wypadku oraz od pasa, którym jechała Sonia, do drzewa, na którym się rozbiła. I tak dalej.

Wsiadłam do samochodu i ruszyłam, chociaż z każdym kilometrem coraz bardziej chciałam zawrócić. Przecież oni już mieli te cholerne pomiary. Po co im były jeszcze moje?!

Zaparkowałam kilkadziesiąt metrów od skrzyżowania. Dalej nie było można, zresztą przestało padać i nawet pokazało się słońce. Zupełnie jakby ta jesień miała jednak okazać się znośna.

Rozboliła mnie głowa. Ociągałam się z zamknięciem samochodu, potem z wracaniem i sprawdzaniem, czy na pewno go zamknęłam, ale nie dałam rady przeciągać tego dłużej. Wiedziałam, że albo zrobię to teraz, albo wrócę do domu, schowam się pod kołdrą i pozostanie mi już tylko płacz. To nie był wybór.

Po deszczu na poboczu znajdowały się wielkie kałuże i musiałam ustawić się tak, żeby żadne auto mnie nie ochlapało. Poczekałam na przerwę między jadącymi samochodami i na chwilę wbiegłam na środek drogi, tam gdzie musiał znajdować się samochód Soni, kiedy zjechała na przeciwny pas tuż przed uderzeniem w drzewo. Nie spuszczałam oczu z zakrętu. Zapamiętałam, do którego drzewa jestem w stanie najdalej zobaczyć pobocze, i szybko uciekłam, bo Miśka straciła już jedno z rodziców.

Potem wyciągnęłam miarkę. Dziesięć metrów to nie jest dużo, kiedy trzeba zmierzyć kawał drogi, dlatego znalazłam zaostrowany patyk, zaczęłam o niego oczko na zerze miarki i wbiłam w ziemię.

Rozciągnęłam całe dziesięć metrów, zaznaczyłam, dokąd sięga, i wróciłam po początek. Powtórzyłam to jeszcze kilka razy. Od tego schylania się rozboleły mnie plecy, ale przynajmniej nie miałam siły myśleć o tym, co wydarzyło się na tej drodze, kiedy jechał nią Marcin.

Wbić patyk, docisnąć, żeby nie wyskoczył (na szczęście pobocze było miękkie po deszczu), rozwinąć miarkę, zaznaczyć dziesięć metrów, zabrać miarkę, wbić patyk, rozwinąć miarkę i tak dalej.

Kiedy skończyłam, wyprostowałam się i pokręciłam głową, aż strzeliło mi w karku. Miałam wszystkie pomiary do tego pieprzonego raportu. Mogłam odjechać i do końca życia tak wybierać trasy, żeby już nigdy nie znaleźć się na zakręcie, który zniszczył moje życie. Zakręt życia! Co za banal.

Rozejrzałam się. Świeciło piękne słońce, wiał wiatr, a niebo było błękitne. Tylko te śmieci...

Zakrętka od plastikowej butelki. Pęknięty kubek po kawie (zapewne ze stacji kawalek za zakrętem), papiery, chusteczki do nosa, więcej papierów, maseczka, wizytówka. Najwyraźniej każdy, kto tędy przejeżdżał, czuł się w obowiązku wyrzucić tu chusteczkę higieniczną czy paragon. Chyba że śmieci po prostu same rosły na poboczach polskich dróg, jak trawa.

Wizytówka... Białe prostokąci, to znaczy kiedyś białe, bo obecnie był szary od wilgoci, choć jeszcze nie na tyle wdeptany w błoto, żeby nie dało się nie zauważyć rysunku.

To Miśka wymyśliła mi logo, kiedy była jeszcze mała – głowę kobiety w kapeluszu, takim, jakie noszą detektywi w filmach noir. Miśka miała wtedy fazę na rysowanie. Nawet przez chwilę baliśmy się z Marcinem, że zostanie artystką. Na szczęście jej przeszło. Najpierw myślałam, że to logo jest nieprofesjonalne, potem jednak uznałam, że nie ma złej reklamy, jest tylko reklama, a rysunek pomagał odróżnić moją wizytówkę od dziesiątek innych.

Dlatego od razu ją poznałam. Pochyliłam się, podniosłam tekturowy prostokąt i obróciłam na drugą stronę. Moje nazwisko i numer telefonu były ledwo czytelne.

Wizytówki często zmieniają właścicieli, krążą między ludźmi. Ktoś się rozwodzi, ktoś daje temu komuś zamiar na detektywkę, którą poznał kiedyś na imprezie u znajomych. Komuś innemu wypada z portfela.

Kto zgubił moją wizytówkę w miejscu, gdzie zginęła Sonia?

## Rozdział 52

Zauważyłam ją, gdy tylko wjechałam w uliczkę. Klęczała przy bramie. W jednej ręce trzymała jaskrawożółtą szmatę, a w drugiej butelkę z ciemnego szkła.

Wyskoczyłam z samochodu. W powietrzu unosił się ostry chemiczny smród.

– Co ty, do kurwy nędzy, robisz pod moją bramą?!

– O, Franka – rozpromieniła się Marlena. – Obiecałam ci przecież, że to zmyję.

Zaplotłam ręce na piersi.

– Już nie musisz. Po prostu stąd wypierdalaj.

– Franka, posłuchaj, to ważne...

– To ty posłuchaj. To też ważne. Wypierdalaj stąd! Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! Ani słyszeć, więc nie wydzwaniam do mnie!

– Zablokowałam mój numer – powiedziała ponuro. – A ja muszę ci powiedzieć coś ważnego. Odsłuchałam...

– Czy ty masz, kurwa, problemy ze słuchem?! – wydarłam się. – Czy ze zrozumieniem języka polskiego?! Mam ci to napisać na bramie drukowanymi literami?! WYPIERDALAJ!

Przeszłam przez furtkę i zatrzasnęłam ją przez nosek Marleny. Nie odwróciłam się, żeby sprawdzić, czy w nią uderzyła, tylko ruszyłam prosto do domu.

## Rozdział 53

Początkowo miałam zamiar zastosować ten sam numer, który udał się z Zagórskim. Może i stary, może i używałam go zawsze, gdy mogłam, ale w końcu działał. Krótka spódnica i botki na obcasie, bluzka bez dekoltu (to byłoby zbyt oczywiste) albo (w sumie lepszy) obcisły golf, podkreślający mój ładny biust. W warsztacie samochodowym było pewnie z milion miejsc, w których można się o coś oprzeć i podkreślić linię sylwetki albo (jeszcze lepiej) ubrudzić się, a potem poprosić panów mechaników, żeby pomogli sczyścić smar. Jedzie to seksizmem, wiem, ale liczyła się skuteczność.

Nawet zabrałam się do tego, jak należy. Wyprasowałam spódnice, wyczyściłam botki, a golf wciągnęłam na miękki stanik, przez który przebijały sutki. Włosy spięłam i wypuściłam na szyję kilka wijących się kosmyków. Na koniec pomalowałam usta szminką, po czym przypomniałam sobie o cholernej pandemii i maseczkach, starłam szminkę i zrobiłam oko.

W botkach na obcasie niewygodnie się prowadziło, musiałam się więc skoncentrować i dlatego przez całą drogę do policyjnego warsztatu samochodowego nie miałam kiedy zastanowić się, o co dokładnie powinnam spytać. Gdy zaparkowałam na podjeździe, uznałam, że będę improwizować.

Było tuż po południu, teoretycznie w warsztacie powinni być ludzie, ale kiedy weszłam do środka, słyszałam tylko stukot moich obcasów o beton.

– Halo! – zawołałam. I po chwili jeszcze: – Dzień dobry!

– Już idę – dobiegło gdzieś z głębi, jednak każdy ma inne wyobrażenie na temat „już”, bo czekałam jeszcze z dziesięć minut.

Facet wyglądał jak ilustracja w Wikipedii przy haśle „mechanik samochodowy”: był po pięćdziesiątce, z brzuchem, w wybrudzonym smarem kombinezonie.

– Słucham panią, pani kochana – rzucił.

Uśmiechnęłam się, dałam krok do przodu, żeby zobaczyć moje nogi w botkach, i w tym momencie opuściły mnie siły. Po prostu wiedziałam, że nie dam rady z nim flirtować i wyciągać z niego informacji. Nie było takiej opcji, żebym się o coś opierała, wypinała albo wachlowała rzęsami.

Bo właśnie w tym warsztacie rok wcześniej podpisywałam papiery na zezłomowanie auta po śmierci Marcina.

Wtedy kręciło się tu dużo ludzi, a ja nie do końca rozumiałam, co się dzieje. Nie chciałam nawet oglądać samochodu. Podpisałam papiery, wyszłam na ulicę i zwymiotowałam pod rachitycznym drzewkiem na trawniku.

– Prze... przepraszam – powiedziałam. – Muszę usiąść, chociaż na chwilę.

Podsunał mi krzesło.

– Może wody? – zapytał, a gdy pokręciłam głową, popatrzył na mnie z troską. – Wie pani co, pani kochana, zrobić herbaty. Łyk ciepłego i zaraz poczuje się pani lepiej.

Zniknął, zanim zdążyłam zaprotestować.

Siedziałam, wpatrując się w podłogę z betonu. Wzdłuż całej hali ciągnęło się poszarpane pęknięcie. Nie byłam w stanie się podnieść ani skupić na tym, po co tu przyszłam. Myślałam tylko, że jestem beznadziejna i głupia. Nic dziwnego, że Marcin mnie zdradzał...

– Proszę bardzo, herbatka, mocna i z cukrem. Zaraz pani pomoże, pani kochana. Tylko proszę ostrożnie, bo gorąca. – Mechanik postawił na betonie obok mojego krzesła szklankę w metalowym koszyczku.

Ostatni raz piłam herbatę z czegoś takiego u babci. Podniosłam szklankę za uchwyt, zsunęłam maseczkę i upiłam mały łyk. Oczywiście poparzyłam wargi.

– Pani zdjęcie to świństwo, bo w tym nie da się oddychać, a strasznie pani błada, pani kochana – zasugerował mechanik, więc go posłuchałam. – Lepiej?

– Dziękuję.

– No to się cieszę. W czym mogę pomóc? Pani z policji? Bo to jest warsztat policyjny. Jak pani ma auto do naprawy, mogę pani dać dobry adres.

Pokręciłam głową, a potem znowu upiłam mały łyk.

– Nie, ja... w sprawie ubezpieczenia.

– Chodzi o wypadek tej aktorki? Ale pani nie z policji, pani kochana?

Niestety nie miałam żadnej policyjnej blachy, którą mogłabym mu pokazać. Pomyślałam, że powinienam sobie taką sprawić. Zdaje się, że na Allegro można dostać całkiem niedrogo.

– No to ja pani nie pomogę. Nie wolno nam udzielać informacji. Sama pani rozumie.

Milczałam. Małymi łykami popijałam herbatę.

Mechanik odezwał się dopiero po dłuższej chwili:

– A skąd ja mogę wiedzieć, że pani nie z prasy?

Pogrzebałam w kieszeni i podałam mu wizytówkę. Przyjrzał się uważnie z jednej strony i z drugiej, a potem mi oddał.

– Oj, pani kochana, takie coś to każdy może sobie wydrukować.

Stłumiłam westchnienie.

– To ten? – Skinęłam głową w kierunku narożnika warsztatu. Stało tam gołębioszare audi. Od tyłu w ogóle nie wyglądało jak samochód po wypadku. Kolor był prześliczny, o wiele ładniejszy, niż sobie wyobrażałam.

– No nie mogę, pani kochana, nie mogę. To jest policyjna buda. Wie pani, jakie miałbym nieprzyjemności, jakby się ktoś dowiedział?

Tylko kto miałby się dowiedzieć? Byliśmy przecież sami. Normalnie zasypałabym go argumentami, a nawet pokłóciła się z nim i w efekcie przekonała, żeby ze mną porozmawiał, ale chciałam jedynie wrócić do domu i wejść do łóżka.

Upiłam jeszcze łyk herbaty. Była obrzydliwa, jednak pomagała.

– Ale wie pani co?

Spojrzałam na niego.

– Mogłaby mi pani zadawać pytania, a ja bym odpowiadał „tak” albo „nie”. To przecież jakbym nic pani nie powiedział.

Serio? Nagle poczułam się znów jak na wieczorze z planszówkami, tylko że tym razem znałam zasady gry.

– Przewód hamulcowy. – Potrząsnęłam głową, żeby zebrać myśli. – Był przecięty?

– Nie, no skąd. Myśli pani, pani kochana, że w tych nowych autach tak łatwo przeciąć przewód hamulcowy? To tylko w filmach, pani kochana, tylko w filmach.

Jeśli on tak rozumiał krótkie „nie”, to naprawę mogłam dowiedzieć się czegoś ciekawego.

– A coś innego? – rzuciłam. – W sensie, czy coś zostało specjalnie uszkodzone. No wie pan, jak na filmach.

Pokręcił głową.

– Ja tam nic nie widziałem, pani kochana. Może mi pani wierzyć na słowo. Ja się znam na samochodach. Rozbieram na części każdą brykę z wypadku.

Ręka, w której trzymałam szklankę, zaczęła drżeć. Musiałam odstawić herbatę na beton.

– Znowu pani pobladła, pani kochana. Może w ciąży pani jest?

Jeszcze by mi tego brakowało!

– Pani pije dalej.

– Nie, bardzo dziękuję, już pomogło. To dlaczego Sonia wjechała w drzewo? Skoro auto było sprawne, pogoda dobra, a szosa pusta...

– No pani kochana, już mówiłem, że ja tak nie mogę. Miała pani pytać na „tak” albo na „nie”. Lepiej niech mnie pani o torebkę spyta.

– O torebkę? – powtórzyłam.

Pokiwał głową i uśmiechnął się od ucha do ucha.

– Pani mnie spyta, pani kochana.

Musiałam się gapić na niego wzrokiem pozbawionym inteligencji, bo w końcu się nade mną złitował.

– A pani to gdzie wozi torebkę, pani kochana, jak pani jedzie autem?

Człowiek wkłada do samochodu rzeczy tak automatycznie, że musiałam się przez chwilę zastanowić. Zawsze kładę torebkę z przodu, pod siedzeniem pasażera. Nie lubię z tyłu albo w bagażniku, bo czasem muszę po coś sięgnąć, kiedy stoję na światłach.

– A jak pani mąż siedzi obok, a pani za kierownicą, to gdzie pani kładzie torebkę?

Mój mąż nie żyje, debil! – wrzasnęłam w duchu, po czym głęboko wciągnęłam powietrze.

– Z tyłu – powiedziałam cicho. – To znaczy mąż zawsze tam przekłada, bo mu przeszkadza.

– No właśnie, pani kochana! – Mechanik się ucieszył, jakby było z czego. – No właśnie. Wszyscy panowie tak robią. Panie kładą torebkę z przodu, a panowie przekładają do tyłu, bo im niewygodnie.

– Na pewno nie wszyscy.

– Wszyscy, pani kochana, wszyscy.

Patrzył na mnie, uśmiechał się i wyrażnie czekał na pytanie z mojej strony.

– Torebka Soni też była z tyłu? – spytałam więc.

– Tak, pani kochana. Dokładnie tak.

– Ale przecież... To było potężne zderzenie. Mogła przelecieć.

– Nie przeleciała, pani kochana, ja się na tym znam. Jakby przeleciała, inaczej by to wszystko wyglądało. Ja już dużo widziałem takich torebek, co przeleciały.

– Ale...

– I coś jeszcze pani powiem. Tej pani aktorce wypadła szminka z torebki, zanim ją przełożyła na tył. I szminka nie przeleciała? – Popatrzył na mnie znacząco. – Była pod siedzeniem pasażera, a torebka z tyłu, pani kochana. Taka duża torebka, co to panie zawsze w nich wszystko noszą, więc pewnie temu pani przeszkadzała, jak siedział z przodu.

Potarłam ręką czoło. Na palcach pozostał mi ślad podkładu.

– Mówi pan, że koło Soni w chwili wypadku ktoś siedział? Ale przecież... przecież policja twierdzi, że Sonia jest jedyną ofiarą...

– To się zdarza, pani kochana. Rzadko, ale się zdarza.

– Powiedział pan o tym policji?

– Raport piszę dla nich, pani kochana. To jeszcze potrwa, tam dużo rzeczy muszę napisać.

Zerwałam się z krzesła.

– Bardzo panu dziękuję! Za herbatę i za pomoc.

– Co miałem nie pomóc takiej ładnej kobiecie, pani kochana. Jakby pani jeszcze kiedyś czegoś potrzebowała, to jak w dym. Do mnie zawsze jak w dym.

## Rozdział 54

Wykład Szymona Zawady był dla mężczyzn. Nie. Wróć. Wykład był tylko dla mężczyzn.

Szkoda, że ten, kto komponował tekst na ulotce, nie zająknął się o tym ani słowem. Chociaż równie dobrze mogło mu to po prostu nie przyjść do głowy. Incel, który zaprojektował ulotkę o wykładzie incele dla innych inceli... No jaka jest szansa, że pomyślał o kobietach?

– Co panu szkodzi? Postoję sobie z tyłu. Prowadzący nawet mnie nie zauważy – przekonywałam bramkarza, ten jednak pokręcił głową.

Wyjęłam z portfela stówę. Zrobiłam to z bólem serca, bo nie lubiłam rozstawać się niepotrzebnie z kasą, nawet tak lekko zarobioną, jak ta od Łukasza. Postanowiłam, że dopiszę to do kosztów.

Znowu pokręcił głową. Ten świat naprawdę zszedł na psy, skoro bramkarz nie przyjmuje forsy na boku.

Wysunęłam przed siebie nogę i przeniosłam ciężar ciała na drugą, żeby podkreślić linię bioder, ale facet po prostu odwrócił wzrok.

– Proszę pana, to dla mnie naprawdę bardzo ważne. Jestem dziennikarką, a pan Zawada jest przecież słynny. Życiowa szansa. Chce mnie pan jej pozbawić?

Nie odpowiedział.

– Mogę założyć to. – Pomachałam mu przed nosem maseczką zaczeponą na nadgarstku.

– Niech się pani nie wygłupia z tym kagańcem – odparł.

– No dobrze, powiem panu prawdę. Jestem prywatną detektywką. Dostałam bardzo ważne zlecenie. Po prostu muszę tam wejść, rozumie pan?

Wyjęłam drugą stówę.

– Za chwilę mi pani powie, że jest z policji, a za pięć minut, że z ABW. Pani schowa te banknoty.

– Proszę pana, ja naprawdę...

Drzwi do sali w hotelu Marriott otworzyły się z takim impetem, że walnęły bramkarza w ramię. Była jeszcze sprawiedliwość na tym świecie.

Na korytarz wypadł facecik w przyciasnej marynarce. Na pewno kiedyś leżała na nim ładnie – jakieś dziesięć do piętnastu kilo wcześniej.

– Nie ma jej jeszcze? – spytał.

Ochroniarz pokazał na mnie ręką.

– Nie jej! Tej drugiej! – zaperzył się facecik.

– Nikogo nie widziałem.

Gość w marynarce pobiegł na koniec korytarza, wyjrzał za róg i wrócił. Wyjął komórkę, wybrał numer i posłuchał chwilę sygnału.

– I do tego nie odbiera! No do kurwy!

Przesunęłam się kawałek w stronę otwartych drzwi. Liczyłam na to, że jeśli ochroniarz będzie dalej obserwował spektakl w wykonaniu facecika, wsunę się do środka i zniknę mu z oczu.

– Już pani powiedziałam: kobietom wstęp wzbroniony!

Zastanawiałam się, czy go zbluzgać, czy powołać się na konstytucyjne prawa, chociaż wiedziałam, że obie strategie zakończą się tak samo: klęską.

Facecik podniósł wzrok znad komórki i spojrzął na mnie.

– Kto to jest? – spytał bramkarza.

– Jakaś pani. Najpierw mówiła, że jest dziennikarką, a potem...



Facecik uniósł dłoń, podszedł bliżej i obciął mnie wzrokiem od stóp do głów. Dosłownie. Jak w słabych komediach przesunął spojrzeniem najpierw po botkach, potem długo gapił się na moje nogi w rajstopach, aż zaczęłam się obawiać, że oczko mi poleciało, po czym przesunął wzrok na mój brzuch, biodra, biust i na koniec na twarz. Czekałam, aż każe mi się obrócić, żeby mógł ocenić tylek, albo – w końcu dlaczego nie! – mnie powącha.

– Może być – powiedział w końcu. – Proszę za mną.

To ostatnie było najwyraźniej do mnie. Nie ruszyłam się z miejsca.

– Proszę pani, nie mam czasu! Już jest opóźnienie.

Założyłam ręce na piersi.

– No dobrze – westchnął. – Tysiąc pięćset może być? Umowę podpiszemy po zakończeniu.

Z tego wynioskowałam, że jednak nie proponował mi półtora tysiąka za seks.

– Och, niech będzie – oznajmił. – Pani to się umie targować. Dwa. Płatne gotówką. I sama pani zdecydуйте, czy chce umowę, czy nie. Tylko bardzo proszę, niech pani się pośpieszy, bo tam wszyscy na nas czekają.

I ruszył przez otwarte drzwi na salę. Chętnie pokazałabym bramkarzowi język, ale trzeba mieć swoją godność.

## Rozdział 55

Puścił mnie przodem, wzdłuż widowni wypełnionej szczerlnie – na ile potrafiłam się zorientować w półmroku – samymi facetami, a potem pokazał mi schody z boku sceny.

– Raz-raz, szybciotko. Pan Zawada czeka.

Odwrociłam się. Facecik musiał gwałtownie zahamować, żeby na mnie nie wpaść.

– Powie mi pan, o co chodzi?

– Jezu, nie mamy czasu.

– No to proszę mi powiedzieć szybko. W tej chwili to pan marnuje czas pana Zawady, nie ja.

Westchnął, ale trzeba mu przyznać, że był dobry w błyskawicznym podejmowaniu decyzji.

– Nawaliła nam modelka – powiedział.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. Mam, co prawda, bardzo dobre zdanie o swoich nogach i nie najgorsze o biuście, ale do modelki naprawdę mi daleko.

– No, role modelka. To znaczy osoba, która będzie grać kobietę. No, kobieta.

– Precyzyjniej?

– Pan Zawada będzie demonstrował techniki podrywania. Nie zademonstruje ich przecież na mnie, prawda? To by się miało z celem.

Nie mogłam odmówić mu racji.

– No to raz-raz, pani wskakuje na scenę, a po zakończeniu proszę do mnie podejść. Będę za kulisami. I w międzyczasie proszę się zastanowić, co z umową.

– Ale co ja mam robić? – syknęłam.

– Zorientuje się pani.

Dałam krok w kierunku jasno oświetlonej sceny.

– Aj, momencik – rzucił. – Całkiem zapomniałem przez ten bałagan. Poproszę o pani komórkę.

– To się raczej nie wydarzy, ale mogę wyciszyć, żeby nie zadzwoniła w nieodpowiednim momencie. Chociaż pan Zawada mógłby przy okazji zaimprovizować, jak poderwać kobietę, która rozmawia przez telefon.

– Proszę pani, nie mamy czasu – zniecierpliwił się. – I nie chodzi o dzwonek. To są wszystko zastrzeżone materiały. Nie wolno nagrywać i tak dalej. Wszyscy uczestnicy seminarium oddają przy wejściu komórki.

Powoli wyjęłam aparat z kieszeni. Facecik nieomal wyrwał mi go z dłoni, wsunął do kieszeni swojej marynarki i powtórzył:

– Raz-raz.

Na scenie oślepiło mnie światło. Musiałam się zatrzymać i osłonić oczy, bo bałam się, że spadnę. Nagle ktoś chwycił mnie za rękę i pociągnął. Poczulałam zapach dobrej wody kolońskiej i usłyszałam syknięcie:

– No, jest pani wreszcie.

A potem ten sam głos zadudnił wzmocniony przez głośniki:

– Witam państwa. A właściwie powinienem powiedzieć: witam panów!

Aplauz na sali.

– Bardzo się cieszę, że przybyliście dzisiaj tak licznie. Możecie mi wierzyć: weszliście tu niepewni siebie, niepewni wiary w swoje możliwości.

Tym razem wśród publiczności rozległ się szmer.

– Ale wyjdziecie jako inni ludzie. Wyjdziecie jako mężczyźni przez wielkie M!

Znowu aplauz.

– Wyjdziecie wyżsi! Urośnięcie! Będziecie zawadzać głowami o sufit. Urośnięcie nie tylko w swoich oczach. Urośnięcie w oczach wszystkich!

Tym razem aplauz był nawet dłuższy niż poprzednio, ale jakbym zapłaciła dwie stówy za bilet na taki event, też bym biła brawo, a żeby mi spuchły dłonie, żeby sama przed sobą uzasadnić ten wydatek.

– To wam obiecuję: wyjdziecie stąd wielcy. Nie będziecie się niczego bać. Nauczę was, jak poderwać każdą kobietę. Każdą! Nawet taką ślicznotkę jak ta, która stoi koło mnie na scenie.

Ostatni raz ktoś nazwał mnie ślicznotką, kiedy chodziłam do liceum, nie miałam jednak czasu się nad tym zastanowić, bo Zawada ścisnął moją dłoń i syknął:

– Ukłoń się.

No to się ukloniłam.

– Popatrzcie, jaka laseczka. – Zakręcił mną w kółko, jak w tańcu. – A jaką ma minę. Nieprzystępna. Przyjrzyjcie się jej uważnie. Obiecuję wam, że nim skończy się nasze seminarium, będzie mi jąda z ręki.

Najpierw szmer, a potem aplauz. I to jaki aplauz.

Mój wzrok powoli zaczął się przyzwyczajać do diabelskiego oświetlenia na scenie. Zawada miał na sobie nienagannie skrojony garnitur z najlepszej wełny i rozpiętą pod szyją białą koszulę bez krawata. Do tego trzydniowy zarost i fryzurę, która zapewne kosztowała tyle, że nie byłoby mnie na nią stać, nawet gdybym co miesiąc zarabiała krocie. Nareszcie zrozumiałam powiedzenie „wyglądać jak milion dolarów”.

Podprowadził mnie do ustawionego na środku sceny krzesła, a ja usiadłam, bo najwyraźniej tego oczekiwał.

– Załóż nogę na nogę – fuknął, po czym znowu zagrzmiął przez głośniki: – Przyjrzyjcie się uważnie. Kobieta niezależna, wyzwolona. Teraz wszystkie są takie. Teraz nie ma już po prostu miłych kobiet, które chcą zrobić przyjemność swojemu mężczyźnie.

Aplauz omal nie wybił dziury w suficie.

– Popatrzcie sami. Widzicie, jak jest ubrana? Tak, żeby was sprowokować. Gdyby jej na tym nie zależało, włożyłaby normalne spodnie i sweter, ale nie, ona chciała, żeby każdy ją zauważył. Żeby każdy zobaczył, jakie ma ładne nogi. Przypatrzcie się uważnie: specjalnie siedzi tak, żeby je wyeksponować.

Obrciłam się do niego i już chciałam zaprotestować, ale znowu syknął:

– Bardzo ładnie. Po prostu rób, co mówię.

Wzniosłam oczy do nieba (i tak nikt z widowni by tego nie zauważył), po czym wyprostowałam plecy i uśmiechnęłam się zalotnie. To było nawet zabawne – grać laleczkę prowokatorkę, za dwa tysiące złotych polskich.

– Ile znacie takich lasek? Mnóstwo, prawda?

Pomruk na widowni. Ostre światło nie pozwalało mi zobaczyć, co dzieje się w tylnych rzędach, ale ci z przodu kiwali głowami.

– Każda kobieta, którą znacie, jest taka! Prowokuje was, a kiedy nie wiecie, gdzie podziąć oczy, chcecie zaprosić ją do kina albo chociaż klepnąć w przelocie po tym ładnym tyłeczku, to zaraz jest wołanie, że hashtag metoo, że męskie świny, że trzymaj łapy przy sobie, chamie! Ile razy coś takiego wam się przytrafiło? No, ile razy?

Sądząc po reakcji widowni, mnóstwo. Oklaski nie milkły przez parę minut. Jeden facet, który klaskał rytmicznie jak terminator, chciał się wedrzeć na scenę – na szczęście była ochrona.

To przestawało być zabawne. Poczułam, jak po plecach płynie mi pot. Znajdowałam się na sali z dwoma albo trzema ochroniarzami i kilkuset nienawidzącymi kobiet facetami, których ten idiota obok własnie podjudzał. Gdyby zechcieli mnie zgwałcić, a potem rozszarpać na kawałki, kto by im zabronił?

– A ja wam mówię: to koniec! Koniec nieprzystępnych lasek! Koniec kobiet, które was odrzucają, zanim na was spojrzą! Koniec laleczek, które prowadzą się z waszymi przystojniejszymi kolegami, a wam nie pozostaje nic! Koniec! Od dziś waszym hasłem jest: poderwij ją!

– Po-der-wij-ją! Po-der-wij-ją! Po-der-wij-ją! – skandowała sala.

Zawada słuchał tego przez chwilę, a potem uniósł obie ręce gestem Mojżesza rozdzielającego Morze Czerwone. Wszyscy nagle umilkli.

– Na dzisiejsze seminarium wybrałem też inny przykład. Popatrzcie! – Machnął ręką w stronę wielkiego ekranu w tyle sceny. Wcześniej nie zauważyłam, że coś tam wisi. – Na pewno ją znacie.

Znowu dostałam światłem po oczach, tym razem kolorowym. Ktoś uruchomił projektor i na ekranie pojawiła się twarz Soni Marchlewskiej.

– Znacie ją, prawda? To Królowa Zimnych Suk! Ucieleśnienie wszystkich lasek, które kiedykolwiek was odrzuciły!

Nowe zdjęcie, też Soni. Zbliżenie twarzy.

– Zim-na-su-ka! – skandował tłum. – Zim-na-su-ka!

Kolejne, tym razem cała sylwetka. Sonia pochyla się, poprawia pasek przy sandałku na obcasie. Uda-je jej się to zrobić jedną ręką, bo drugą podtrzymuje falę włosów.

– Zim-na-su-ka! Zim-na-su-ka! Zim-na-su-ka!

Zawada znowu uniósł ręce i sala momentalnie pogrążyła się w ciszy. Gdyby komuś jednak nagle zadzwoniła w kieszeni nieoddana komórka, reszta padłaby na zawal.

– A ja wam mówię: ona też mogłaby być wasza! Nawet Królowa Zimnych Suk! Po dzisiejszym seminarium wszystko będzie możliwe. Nie będziecie mieli problemu z żadną kobietą. Każda będzie się do was tak uśmiechała. Każda będzie na was tak patrzyła.

Kolejne zdjęcie. Sonia wpatrywała się w obiektyw, a jej uśmiech rozczulił nawet mnie, starą cyniczkę. Kolejne. Spojrzenie, jakie posyła się tylko kochankowi. Kolejne... Zdjęcia zmieniały się w rytm oklasków sali.

Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Podniosłam się z krzesła, przesunęłam się na bok sceny, a potem szybko zbiegłam po schodkach.

Właściwie miałam zamiar zwiewać, ile sił w nogach. Nikt się nie zorientował, bo wszyscy wpatrywali się w zdjęcia Soni. Trudno, przebolewałabym nawet te dwa tysiące, ale przypomniałam sobie, że oddałam telefon facecikowi w marynarce.

Kiedy znalazłam się poza zasięgiem sceniczne-go światła, musiałam chwilę poczekać, aż moje oczy przyzwyczają się do półmroku. Facecika nigdzie nie było, za to z boku sceny dojrzałam drzwi.

Podeszłam i nacisnęłam klamkę.

Wyglądało jak normalne sceniczne zaplecze. Krzesła, długi stół, na środku butelki wody gazowanej i niegazowanej, stos plastikowych kubeczków (brak szacunku dla kobiet i brak szacunku dla planety to właściwie jedno i to samo), z tyłu toaletka z podświetlanym lustrem, na blacie kilka kosmetyków. Na jednym z odsuniętych krzeseł wisiła marynarka, którą już widziałam.

Szybko obszukałam jej kieszenie. Mój telefon był w prawej, razem z drugim aparatem. Ten z kolei miał fikuśną osłonę z prawdziwej skóry (powąchałam!) i dwie wytłoczone złote litery S oraz Z. No proszę, asystent zarekwirował nawet komórkę gwiazdy wieczoru.

Wsadziłam swoją komórkę do kieszeni żakietu, tę drugą z powrotem do marynarki, po czym ruszyłam w stronę wyjścia. I nagle zatrzymałam się w pół kroku. Bo zdałam sobie sprawę z jednej rzeczy.

Te zdjęcia Soni, śliczne, hipnotyzujące ujęcia, na których wyglądała jak najbardziej pożądana kobieta na świecie, nie pochodziły ze stocków. Musiał je zrobić ktoś, kogo znała, do kogo tak uroczo się

uśmiechała i do kogo miała zaufanie. Ktoś bliski, ktoś, kogo kochała. Sonia była gwiazdką, ale nie wybitną aktorką – nie potrafiłaby tak dobrze zagrać miłości.

Cofnęłam się po telefon z literami S i Z, schowałam go do kieszeni i pobiegłam do wyjścia.

## Rozdział 56

Nie wiem, co sobie wyobrażałam. Że będą mnie ścigać, wybiegnie za mną ochroniarz albo – jeszcze gorzej – cała sala napalonych facetów?

Jedno było pewne: naprawdę powinnam oglądać mniej filmów, zwłaszcza horrorów.

Nikt mnie nie gonił. Nikt nawet nie wybiegł za mną na parking. Zamiast biec i ryzykować złamanie nogi w tych idiotycznych botkach, mogłam spokojnie przejść, a nawet – gdybym paliła – znaleźć czas na papierosa.

Podejrzywałam, że nikt w ogóle nie zauważył mojej ucieczki albo po prostu nikogo to nie obchodziło. Może nawet asystent Zawady ucieszył się, że zaoszczędził trochę kasy. W każdym razie miałam sporo czasu, nim sam Zawada odkryje brak komórki.

Wsiadłam do samochodu, wyjęłam spod siedzenia laptop, podłączyłam komórkę i włamałam się do środka. Oczekiwałam, że taka medialna persona ma w telefonie porządne zabezpieczenia i będę musiała zapłacić kilka ładnych stów jakiemuś znajomemu hakerowi. A jednak nie. Do komórki Zawady łatwiej było się włamać niż do tej Marcina.

Domyślałam się, że lista kontaktów może być smakowita. Mogłabym zarobić łatwe i bezpieczne pieniądze – wystarczyłby jeden telefon do jakiegoś brukowca, a przecież dziennikarze chronią swoje źródła, ale nie miałam czasu na takie zabawy. Weszłam prosto w galerię zdjęć.

Może to kwestia skrzywienia zawodowego, a może pomogłam już się rozwieść zbyt wielu parom, w każdym razie na miejscu Zawady wykasowałamby te wszystkie zdjęcia lub przeniosła je na oddzielną kartę pamięci i trzymała w sejfie na dnie morza. Albo w ogóle bym ich nie robiła, bo w życiu największe znaczenie ma wiarygodność.

Kiedy facet chce, żeby rozwód orzeczono z winy żony, sam powinien być czysty jak łąza – kochankę najlepiej wtedy zabić i zakopać w ogródku. Kiedy chce być poważnie traktowany w interesach, to musi szarpnąć się na dobry garnitur i portfel z prawdziwej skóry. Kiedy chce uchodzić za guru od podrywania, takiego, który wyrywa, wykorzystuje i porzuca dziewczyny, to nie może się zakochać.

A Zawada był w Soni zakochany. Patrzył na nią maślanymi oczami na wspólnym selfie, nosił na rękach na plaży, jadł z nią lody, podawał jej owinięte wokół palca spaghetti, przytulał, całował, obejmował, a głupawy uśmiech nawet na chwilę nie schodził mu z twarzy.

Sonia też była w nim zakochana. Na zdjęciach z telefonu Zawady wyglądała na młodszą i szczęśliwszą niż na jakichkolwiek fotografiach, jakie widziałam wcześniej, a widziałam ich sporo od czasu jej śmierci, we wszystkich możliwych serwisach internetowych.

Sprawdziłam daty. Pierwsze zdjęcia pochodziły sprzed pół roku. Według tego, co mówił Łukasz, byli już wtedy w separacji. Żadnego skandalu w stylu: „Ma męża i sypia z innym”, a więc romans nie stanowiłby dla niej problemu wizerunkowego. Mąż i żona się rozstają, mąż się wyprowadza, żona zatrzymuje dom i zakochuje się w kimś innym – wszystko we właściwej kolejności. To byłoby nawet za nudne na okładki tabloidów.

Co innego tytuły: „Usidliła faceta, którego żadna nie zdołała usidlić” albo: „Wieczny podrywacz naprawdę zakochany?”. Soni mogło to nawet pomóc w i tak ładnie rozwijającej się karierze, natomiast kariera Zawady poszłaby się gonić. Zakochany, usidlony, zaobrączkowany wieczny podrywacz nie jest już wiecznym podrywaczem. Facet, który chodzi z tą samą kobietą do łóżka, na lody i po zakupy, nie jest już guru dla inceli, którzy nie potrafią skłonić żadnej laski, żeby wykonała z nimi którąkolwiek z tych czynności nawet raz, a co dopiero kilka razy.

Tak, na jego miejscu nigdy nie trzymałabym takich dowodów w telefonie.

Ostatnie zdjęcia zostały zrobione na dzień przed śmiercią Soni.

Nareszcie miałam prawdziwego podejrzanego! Punkt zaczepienia, i to nie mały haczyk, jak do łowienia rybek na Mazurach, tylko potężny wielorybiczny hak.

Chciałam od razu zadzwonić do Łukasza i o wszystkim mu opowiedzieć. Na pewno by się ucieszył. Może nawet uznałby, że już niczego więcej ode mnie nie oczekuje i wypłaciłby mi drugą część pieniędzy, a telefon Zawady sam zaniósł na policję. Mogłam mu nawet powiedzieć, w którym pokoju pracuje Zagórski (o ile sam tego jeszcze nie wiedział). Powstrzymały mnie jednak dwie rzeczy.

Po pierwsze, bałam się z nim rozmawiać. Ostatnio, kiedy widziałam jego imię na wyświetlaczu, waliło mi serce. Waliło jeszcze mocniej, kiedy siedział na fotelu obok, a kiedy trzymał mnie za rękę, omal nie wyskoczyło mi z piersi. Bałam się tego, jak na mnie patrzył, jaką przyjemność mi to sprawiało. Bałam się tego, że nawet teraz, gdy o nim myślałam, czułam lekki zawrót głowy. A po drugie, co ważniejsze, zdjęcia robiono w ciągu sześciu miesięcy. Każdego dnia po kilka, kilkanaście. Przejrzałam je wszystkie bardzo starannie. Siedziałam w zimnym i śmierdzącym mokrym psem samochodzie, w krótkiej spódnicy, w której marzły mi kolana, oraz w idiotycznych botkach na obcasie i studiowałam wyraz oczu Soni na każdym z nich. Zdjęcie za zdjęciem.

Na żadnym, aż do ostatniego, nie było niczego, co sugerowałoby kłótnię kochanków czy chociaż gorzy dzień – niczego, co świadczyłoby o tym, że ich relacja się pogarsza.

Wiadomo, ludzie nie fotografują się podczas kłótni, ale przez pół roku, każdego dnia, Sonia wpatrywała się w Zawadę zakochanymi oczami.

Aż do śmierci.

## Rozdział 57

Zadzwoniłam do Łukasza rano. Odebrał po pierwszym dzwonku, jakby siedział z komórką w dłoni i czekał, aż się odezwę.

– Jeśli to naprawdę ważne, wolałbym nie przez telefon – powiedział. – Za pół godziny mogę być u ciebie.

Nie wiem, czy podejrzewał, że policja założyła mu podsłuch, czy po prostu chciał się skoncentrować na rozmowie, ale mnie to pasowało: też wolałam nie mówić przez telefon o tym, że jego żona miała kochanka. Poza którym światu nie widziała.

Znowu pojawiło się słońce i o dziesiątej rano zrobiło się dziwnie ciepło – piętnaście stopni, ale nawet to nie wyciągnęło Miśki z pokoju. Za to ojciec oznajmił, że idzie się przejść, po czym naprawdę się ubrał i wyszedł. Zabroniłam mu wchodzić do sklepów i apteki, ale nie mogłam zapobiec temu, żeby kupił krzyżówkę w kiosku. Na szczęście bolały go plecy, więc wiedziałam, że nie schyli się do samego okienka, a zważywszy na pogodę, pieniądze i tak poda kioskarcze w rękawiczkach.

Otworzyłam wszystkie okna i wciągnęłam głęboko zapach wilgotnej ziemi.

Kiedyś go kochałam. Zapach cyklów natury, bakterii, fermentacji, życia. Od śmierci Marcina nie mogłam go jednak znieść – tak pachniała świeża ziemia na grobie.

Zatrzasnęłam okno i poszłam do łazienki po odświeżacz powietrza, od którego wszystko śmierdziało jak w miejskim kiblu, ale przynajmniej ta woń nie kojarzyła mi się z niczym innym. Ubrałam się starannie niż zazwyczaj – nie w dżinsy i dres, tylko w wełniane spodnie i sweter, który od biedy mógł uchodzić za elegancki. W uszy wpięłam kolczyki i popsikałam się perfumami. Dłonie drżały mi na myśl o tym, że Łukasz zaraz znajdzie się pół metra ode mnie, więc wolałam się schować za eleganckim wyglądem.

Słuchał mnie z miną tak spokojną, że równie dobrze mogłam być w dresie. Spoglądał na zmianę na swoje ręce i za okno.

Kiedy skończyłam, czubkiem palca przesunęłam komórkę po stole w jego stronę.

– To nie jest żaden dowód, ale wiem, że ktoś siedział obok Soni... To znaczy twojej byłej żony – poprawiłam się szybko, on jednak machnął ręką, żebym nie przejmowała się formami. – Tuż przed wypadkiem albo nawet w trakcie – dodałam.

– Serio? – Wyraźnie się zdziwił. – Skąd masz takie wiadomości?

Teraz ja machnęłam ręką. Detektyw, tak jak dziennikarz, nigdy nie powinien zdradzać swoich źródeł.

– Nieistotne. Ważne, że policja też o tym wie albo zaraz się dowie. Jeśli pójdziesz do nich z tymi zdjęciami, poznają tożsamość tego mężczyzny.

– Myślisz, że... Myślisz... – Nie umiał dokończyć myśli, więc mu pomogłam.

– Myślę, że to Zawada mógł spowodować wypadek Soni – dokończyłam za niego, a potem wyłożyłam swoją teorię o tym, jak Sonia zakończyłaby jego karierę, gdyby tylko paparazzi wyczaili, że to nie jednorazowa historia, ale długi romans.

Łukasz mi nie przerywał. Nadal patrzył na zmianę w okno i na swoje ręce.

– Możesz mieć rację – powiedział, kiedy już skończyłam, i położył dłoń na komórcze Zawady.

Pochyliłam się i wyjęłam aparat z jego palców.

– Nie możesz jej wziąć. Skopiuję ci te zdjęcia.

Pokiwał głową.

– Powinnaś ją zniszczyć. Byłoby niefajnie, gdyby ktoś znalazł ją u ciebie, a komórki mają lokalizację.



– Może tak zrobię. – Schowałam telefon Zawady do kieszeni, po czym odchyliłam się w fotelu i parzyłam na Łukasza bez słowa przez dobrą minutę.

Podobnie jak większość ludzi i on poczuł się przez to niekomfortowo.

– Zaciąłem się przy goleniu? – spytał. – Mam na policzku jajko ze śniadania?

Pokręciłam głową.

– Dobrze to znosisz – powiedziałam.

– Że Sonia miała kochanka? Byliśmy w separacji – mruknął.

– W świeżej separacji. Poza tym widziałam już facetów, którzy nawet po wielu latach od rozstania są zazdrośni o byłe żony.

– Ja też takich widziałem, ale do nich nie należę.

– Najwyraźniej.

Znowu w pokoju zapadła cisza. Łukasz gapił się w okno, a potem nagle odwrócił głowę i spojrzał mi prosto w oczy.

– Gdyby to wszystko wydarzyło się kilka tygodni wcześniej – zaczął – pewnie gorzej bym to znosił.

– Bo?

– Jezu, Franka. – Zaśmiał się. – Jesteś ucieleśnieniem konkrety.

– Nie widzę w tym nic złego.

– Nie powiedziałem, że to coś złego, ale daj mi skończyć, dobrze?

Wzruszyłam ramionami, on jednak wstał, poprosił, żebym chwilę poczekała, i wyszedł.

W ciszy, która zapadła w domu, słyszałam, jak Miśka mówi coś półszepem w swoim pokoju. Zaraz potem skrzypnęły drzwi wejściowe. Odwróciłam głowę.

Bukiet czerwonych róż był tak wielki, że wyglądał, jakby sam szedł na dwóch nogach. Musiało być ich z pięćdziesiąt. Takie bukiety powinno się chyba dostawać na pięćdziesiąte urodziny, a z tego, co pamiętam, jeszcze ich nie obchodziłam.

Podniosłam się z fotela.

Staliśmy naprzeciwko siebie, przedzieleni wiechciem pąsowych kwiatów.

– To dla ciebie – powiedział w końcu.

– Dziękuję.

Oboje zabrzmieliśmy równie idiotycznie.

Potrząsnęłam głową.

– To nie ma sensu, Łukasz.

– Co nie ma sensu? – zapytał zza róż. – Że przyniosłem ci kwiaty? Kiedyś je kochałaś...

– Nadal je kocham!

Wyszarpnęłam mu bukiet z rąk i rzuciłam na fotel. Różami nie powinno się rzucać, ale chciałam widzieć jego twarz.

– Po co to robisz?

– Franko...

– Spytałam: po co to robisz!

– To daj mi odpowiedzieć, do cholery! – Dał krok do przodu i wziął mnie za rękę. – Powiedziałem ci przed chwilą, że gdyby ta cała historia z Sonią, jej kochankiem i wypadkiem wydarzyła się wcześniej, byłbym wrakiem człowieka. Ale nie jestem. Coś się zmieniło w moim życiu.

– Niech zgadnę. Ja w nie weszłam? – zadrwiłam. – Po, kurwa, dwudziestu latach?

Skrzywił się.

– Nie musisz być taka cyniczna.

– Nie muszę, ale chcę – odparłam. – Bo to wszystko jest śmieszne, nie widzisz? Spotkanie dawnych kochanków. Ona wdowa, on wdowiec, mogą sobie wspólnie ułożyć życie.

– Miłość zawsze jest śmieszna – mruknął.

– Łukasz, to, co było między nami, wydarzyło się dwadzieścia lat temu. Dwadzieścia!

– No i co z tego?

– Dużo się zmieniło.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Chwyił mocno moją dłoń i przyciągnął mnie do siebie. Nie opierałam się.

– Franko, do cholery! Możesz mi powiedzieć, że nic nie czujesz, ale ja w to nie uwierzę! Nie jestem ślepy!

Głupi też nie był, więc nie miałam zamiaru go oszukiwać. Czułam, oczywiście, że czułam. I bałam się tego uczucia jak cholera.

Coś zachrobotało u Miśki. Odskokczyliśmy od siebie jak nastolatki pod pokojem nauczycielskim na dużej przerwie.

– Co będzie na obiad? – spytała moja córka, wyłaniając się zza drzwi.

– Mówi się „dzień dobry” – pouczyłam ją. Głównie po to, żeby nie zauważyła mojego zmieszania, chociaż nie wierzyłam, że nie zauważy. Nastolatki mają wzrok jak sępy.

Miśka burknęła coś pod nosem i poszła do łazienki.

Popatrzyłam na Łukasza.

– Nic nie mów – powiedział. – Weź te cholerne kwiaty i wstaw je do wody, zanim zwiędną. Zadzwonię później, dobrze?

Kiedy wyszedł, pomyślałam, że chyba po raz pierwszy w życiu słowo „później” zabrzmiało tak sensownie.

## Rozdział 58

To był piękny, słoneczny dzień. Ojciec wrócił ze spaceru z błyskiem w oku i powiedział, że kupił mięso. Miałam go opieprzyć, na czym świat stoi, ale dawno nie widziałam go tak pełnego energii. Do tego oznajmił, że własnoręcznie przyrządzi obiad, i zamknął się w kuchni.

Miśka nadal tkwiła w swoim pokoju. Wysłałam z Lolą do ogrodu, porzucaliśmy jej patyk i uznałam, że przydałoby się zgrabic liście w jeden ką. Trochę ruchu na świeżym powietrzu mogło mi tylko dobrze zrobić po godzinach przed komputerem. Poza tym nie chciałam siedzieć i myśleć o tym, co wydarzyło się przed godziną z Łukaszem. W ogóle nie chciałam myśleć. O niczym.

Wyciągnęłam z szopy grabie, które pamiętałam jeszcze z dzieciństwa. Uznałam, że powinnam kupić nowe, i postanowiłam pojechać później do sklepu ogrodniczego. Zastanawiałam się nawet, ile mogą kosztować, ale i tak wiedziałam, że się oszukuję – całe to grabienie, zabawa z Lolą i planowanie zakupów wcale nie były po to, żeby nie myśleć o Łukaszu, tylko żeby chociaż na chwilę wyrzucić z głowy to, co nie dawało mi spokoju.

Jakim cudem ktoś siedział koło Soni podczas wypadku i nie zabił się na miejscu razem z nią?

Nie musiałam się tym zajmować, przecież Łukasz o to nie prosił, mózg jednak mnie nie słuchał. Żadne argumenty do niego nie docierały.

Usiadałam na schodku przed domem. Beton był ciepły od słońca. Lola uwalila się obok mnie zachwycona, że może się wyrzucić po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy.

Obracałam w dłoniach wyłączony telefon Zawady. Powinnam zrobić tak, jak radził Łukasz. Wyjąć ze środka baterię, wałnąć w obudowę parę razy siekierą (kiedyś ją mieliśmy, zresztą w tej samej szopie, z której wyjęłam grabie) i wyrzucić szczątki do kilku różnych śmietników. Nie mogłam przecież wykluczyć, że taki człowiek jak Zawada zainstalował u siebie wyrafinowany system śledzący na wypadek utraty komórki. I że za chwilę podjedzie pod dom kilku dobrze zbudowanych panów w czarnym mercedesie.

Tyle że gdyby mieli pojechać, pewnie już by to zrobili. Może Zawada był po prostu tak samo lekko-myślny w stosunku do swojego sprzętu elektronicznego jak my wszyscy.

W końcu uznałam, że nic więcej nie wymyślę. Włączyłam jego komórkę, przejrzałam jeszcze raz wszystkie zdjęcia, a potem przerzuciłam się na listę kontaktów. Masa nazwisk – niektóre nawet coś mi mówiły (gdzieś z tyłu głowy dźwięczało echo wieczorów spędzonych na Pudelku), ale żadne nie spowodowało, żeby zaświeciła mi się czerwona lampka.

Na deser zostawiłam sobie listę połączeń i szczerze mówiąc, byłam zdumiona. Ten facet musiał żyć z komórką przyrośniętą do ucha! Gadał całymi dniami, rano, wieczorem i w południe. Jakim cudem miał jeszcze czas na prowadzenie szkoleń albo romans z Sonią? W dodatku nie tylko cały czas rozmawiał przez telefon, ale też niewiele numerów na jego liście się powtarzało. Najczęściej oczywiście Soni, asystenta (wpisanego w kontakty bez imienia i nazwiska, po prostu jako Asystent) i mamy (co dało mi do myślenia). Były jeszcze dwa inne. Jeden należał do niejakiego Bednarskiego, a drugi figurował jako Bemowo.

Wyjęłam z kieszeni swoją komórkę i zadzwoniłam pod ten drugi.

– Szkoła rajdowa na lotnisku w Bemowie, w czym mogę pomóc? – usłyszałam męski głos.

Szkoła rajdowa? Miejsce, gdzie można ćwiczyć jazdę samochodem? Na poziomie wyższym niż u przeciętnego użytkownika ulic?

Czyli Sonia miała kochanka, który doskonale panował nad samochodem, a sama zginęła w wypadku samochodowym...

Odstawiłam grabie do szopy i rzuciłam Loli patyk, żeby się trochę poruszała, bo już wiedziałam, że nie zabiorę jej na spacer. O zakupach w ogrodniczym też raczej nie było mowy.

## Rozdział 59

Facet, który mnie przywitał na płycie lotniska na Bemowie, był dobrze po sześćdziesiątce. Miał na sobie skórzaną kurtkę i okulary lustrzanki. Może myślał, że jest nie kierowcą, a pilotem bombowca podczas drugiej wojny światowej. W każdym razie starał się być miły i pomocny.

– Teoretycznie to możliwe – przyznał.

– A praktycznie?

– Praktycznie to bardzo trudne, proszę pani.

Tyle to wiedziałam i bez niego. Gdyby z fotela pasażera łatwo było spowodować wypadek tak, żeby samemu wyjść bez szwanku, ale żeby kierowca się zabił, pewnie niejeden by się o to pokusił i załatwił w ten sposób żonę albo teściową, a jakoś media nie trąbiły o takich przypadkach.

Pilot bombowca zamyślił się, a ja mu nie przeszkadzałam. Zamknęłam oczy i wystawiłam twarz do słońca. Wiatr rozwiewał mi włosy i przez ułamek sekundy poczułam się jak na wakacjach, a nie na betonowej płycie w najbrzydszej dzielnicy Warszawy, otoczona swoimi i cudzymi problemami.

– Żeby zrobić coś takiego, potrzebne jest ogromne doświadczenie, proszę pani. Wszystko trzeba sobie wyliczyć co do milimetra, co do ułamka sekundy. Prędkość, w którym momencie szarpnąć za kierownicę, pod jakim kątem samochód ma się wbić w drzewo, no i są jeszcze warunki atmosferyczne. A wie pani, ile rzeczy może pójść nie tak?

Mniej więcej sobie wyobrażałam.

– Wystarczy mżawka, plama oleju na asfalcie albo dołek. Przecież pani wie, w jakim stanie są drogi w Polsce. Wtedy wszystkie wyliczenia mogą wziąć w łeb, a ten, kto to planował, sam może skończyć jako nieboszczyk.

Nie skończył, przynajmniej nie w tym przypadku. Sonia była jedyną ofiarą kraksy.

– Poza tym to musi być ktoś wytrzymały fizycznie. Bo o wytrzymałości psychicznej nawet nie chce mi się gadać. Gdyby ktoś chciał zrobić coś takiego, musiałby się liczyć z tym, że oberwie poduszką i może go nawet zamroczyc.

Znowu się zamyślił, a ja znowu zamknęłam oczy, ale nie udało mi się już odlecieć i udawać, że jestem na Karaibach.

– Coś pani pokażę.

Obszedł samochód, otworzył drzwi od strony pasażera i zaprosił mnie ruchem ręki.

Zawahałam się, ale tylko przez chwilę.

Zanim przekreślił kluczyk w stacyjce, sprawdził jeszcze dobrze mój pas, po czym powoli ruszył. Odjechał na kraniec betonowej płyty, a potem łagodnym łukiem zawrócił.

Samochód podsakał na każdej nierówności. Gdyby ktoś mnie uprzedził, włożyłabym stanik sportowy. Nie wiedziałam, jak dyskretnie przytrzymać biust rękami, jednak pilot bombowca nie zwracał na mnie uwagi. Miał wzrok wbity w odległy koniec pasa, a nogę na gazie.

Zerknęłam na licznik. Jechaliśmy już sto pięćdziesiąt. Pewnie mniej więcej do takiej prędkości rozpedziła się Sonia na pustej podwarszawskiej drodze, zanim skończyła na drzewie.

– Mam nieletnią córkę – powiedziałam. – I ojca staruszka pod opieką. Chciałabym jeszcze kilka lat pożyć.

Pilot bombowca uśmiechnął się pod wąsem. Nawet na mnie nie zerknął, nie spuszczał oczu z pasa. Byłam mu za to nieskończenie wdzięczna.

– Proszę się nie bać – odparł. – Tutaj możemy sobie pozwolić na eksperymenty.

Wolałabym, żeby mówił za siebie. Wbiłam palce w boki siedzenia. Mieliśmy już sto osiemdziesiąt na liczniku.

Na końcu stała zaporą, której używa się przy remontach dróg, żeby rozdzielić pasy. Płat betonu, wzmocnionego pewnie drutami, ustawiony w pionie sięgał do połowy maski samochodu.

– Widzi pani tę zaporę?

Musiałabym być ślepa, żeby jej nie widzieć. Zbliżaliśmy się do niej w zawrotnym tempie, a pilot nie zdejmował nogi z gazu. Wskazówka szybkościomierza była tuż pod dwusetką.

– Mógłbym teraz włączyć nas na tę barierę, a właściwie to włączyć panią, czyli wjechać połową samochodu. Oczywiście nie z tą prędkością, bo wtedy nie byłbym w stanie przewidzieć, jakie będą skutki, ale przy stu trzydziestu mogłoby się udać.

Patrzyłam na zaporę jak zahipnotyzowana. Była coraz bliżej. Od śmierci dzieliły mnie sekundy.

– Jak mówiłem, wiele rzeczy może się wydarzyć. Może być coś na drodze albo może mi zadrzeć rękę.

Poruszył minimalnie kierownicę. Samochodem zarzuciło, ale pilot bombowca szybko odzyskał nad nim panowanie i zmienił kurs. Nie pruliśmy już prosto na betonową płytę. Minęliśmy ją o dobry metr.

Pilot zdjął nogę z gazu. Kiedy samochód zaczął powoli wytracać prędkość, puściłam boki siedzenia i przy okazji odkryłam, że złamałam sobie dwa paznokcie u lewej ręki.

– Rozumie pani, na czym to wszystko polega?

Głos, który wydobył się z mojego gardła, z całą pewnością nie należał do mnie.

– Rozumiałam już wcześniej.

Milczał chwilę, a potem zwolnił jeszcze bardziej. Po wcześniejszym pędzie miałam uczucie, jakby auto pełzło zółwim tempem, chociaż na liczniku było siedemdziesiąt.

– Podrzucę panią do bramy – zaproponował i resztę drogi spędziliśmy w milczeniu.

Zatrzymał się, znowu obszedł samochód i otworzył drzwi, żeby mnie wypuścić.

Nie byłam pewna, czy nie przewrócę się zaraz po tym, jak wysiądę. Na wszelki wypadek przytrzymałam się lusterka.

Spojrzałam na niego.

– Czy myśli pan, że pan Zawada potrafiłby zrobić coś takiego?

– Zawada? – zdziwił się. – Podejrzewają o to Zawadę?

– Czysto teoretycznie.

Zadumał się.

– Bo ja wiem? – odparł w końcu. – Trudno powiedzieć. Zawada jest niezły.

– A pan? – spytałam, bo musiałam o to spytać.

Uśmiechnął się. Zęby miał zadziwiająco równe i białe.

– Kiedyś może tak. Teraz to już na pewno nie. Nie te lata.

Podziękowanie nie chciało mi przejść przez gardło, ale w końcu coś tam mruknęłam. Odkleiałam się od boku jego samochodu i krok za krokiem ruszyłam w kierunku bramy.

– Proszę pani?! – zawołał za mną.

Odwróciłam się powoli.

– Ale myślę, że Bednarski na sto procent dałby radę.

Bednarski. Powtarzające się nazwisko na liście Zawady.

– No, kolega pana Zawady – dodał. – Zawsze razem przyjeżdżali tu ćwiczyć. Był o kilka, co ja mówię, o kilkanaście klas lepszy od Zawady, ale to moje prywatne zdanie. – Podniósł ręce. – Jakby mnie pani zapytała publicznie, nie powtórzę. My tu nie faworyzujemy uczniów.

– Czy ten Bednarski byłby w stanie zabić kogoś w wypadku samochodowym i samemu wyjść cało?

Wzruszył ramionami.

– Już pani mówiłem. To nie jest matematyka, tu nie da się wyliczyć wszystkiego. Można próbować, a w ostatniej chwili wyliczenia biorą w łeb. Ale gdybym miał na kogoś stawiać, to na niego właśnie. Piekielnie zdolny, mówię pani. Niesamowita koordynacja. Tacy ludzie rzadko się rodzą.

– A jak ma na imię ten Bednarski? – spytałam.

– Oj, nie pamiętam. A nawet gdybym pamiętał, RODO... Sama pani rozumie. Zresztą oni zawsze mówili do siebie po nazwisku, jak jacyś gangsterzy w filmach: Zawada i Bednarski.

Bednarski. Czyli gra się jeszcze nie skończyła.

## Rozdział 60

Bednarski. Popularne nazwisko, a ja nie znałam imienia. Nie było nawet sensu wrzucać w Google'a. Na szczęście miałam jego numer telefonu.

Z Bemowa do Brwinowa w sprzyjających warunkach jedzie się dobrą godzinę. Da się krócej, ale potrzebowałam czasu, żeby pomyśleć. Przez całą drogę zastanawiałam się, jak zadać pytanie, żeby uzyskać na nie odpowiedź. Co prawda gdybym miała wymienić jeden jedyny przepis prawny, który zamienił życie prywatnych detektywów w piekło, to byłoby RODO, ale miałam przecież szkolną koleżankę zatrudnioną w sieci komórkowej. I to u tego samego operatora, u którego, sądząc po prefiksie, komórkę miał kolega Zawady. W dodatku koleżanka ta całkiem niedawno deklarowała, że marzy o odświeżeniu kontaktów. A czyż można odświeżać je lepiej niż podczas pogaduszek o kliencie nazwiskiem Bednarski?

– Nie mogę – usłyszałam, ledwo sformułowałam dwa pierwsze zdania. Dorota zniżyła głos, chociaż oprócz nas dwóch nie było w salonie nikogo. – Franka, nie wygłupiaj się. Przecież mamy RODO. A nawet gdybyśmy nie mieli, to wywaliliby mnie z roboty na udzielanie informacji o klientach osobom postronnym.

– Nikt się nie dowie – zapewniłam ją.

– Nie mogę. Naprawdę nie mogę, Franka. Chętnie bym ci pomogła, ale po prostu... nie mogę.

Z doświadczenia wiem, że im ktoś dłużej się tłumaczy, czemu nie może czegoś zrobić, tym bardziej chce to zrobić. Wymaga tylko odpowiedniego podejścia.

Usiadłam na stolku dla klienta. Nie wiem, kto je zaprojektował, bo żeby się na taki wdrapać, trzeba mieć doświadczenie himalaistyczne i kilka zdobytych ośmiotysięczników. Stopy zwisały mi nad podłogą i nie mogłam nimi trafić w podpórkę, o ile w ogóle jakaś była.

– Jak nic nie ustale, nie zapłacę mi za zlecenie.

Nie westchnęłam. Westchnienie w takim momencie mogłoby obudzić podejrzenia osoby bardziej wyuczulonej na fałsz. Po prostu wbiłam wzrok w ścianę przed sobą i nie dodałam ani słowa więcej.

– O rany, Franka, no naprawdę nie mogę – widać się Dorota. – A co ty właściwie musisz wiedzieć?

Wszystko. Najchętniej poznałabym adres, biling i może jeszcze dane z lokalizacji, o ile Bednarski jej nie wyłączył. PESEL-em też bym nie wzgardziła, ale praca detektywa nauczyła mnie jeszcze jednej rzeczy: pazerność nie popłaca.

– Cokolwiek, co im pokaże, że się staram.

Dorota odchyliła się na swoim himalajskim stołku po drugiej stronie blatu, jakby właśnie wpadła na jakiś pomysł. Miała lekko rozmazany tusz pod prawym okiem.

– Ale przecież ty nie możesz łamać prawa. Napisz w raporcie, że RODO, i koniec.

Wzruszyłam ramionami.

– To nikogo nie obchodzi. Jak myślisz, dlaczego firma ubezpieczeniowa zatrudnia osoby z zewnątrz? W razie czego nie ponosi żadnej odpowiedzialności.

– No tak, no tak... – Zamyśliła się, a ja jej nie przeszkadzałam. Pewne procesy wymagają czasu. – Może powinnaś zawiadomić policję? No wiesz, ktoś kiedyś powinien ukrócić te praktyki.

Jej myśli zdecydowanie poszły nie tą ścieżką, co trzeba.

– Dorota, ja mam dziecko i ojca na głowie. Nie stać mnie na zawiadomienie policji. Po prostu muszę za-rzobić te pieniądze. Od śmierci Marcina ledwo sobie radzimy.

Jeszcze zanim Marcin zginął, nienawidziłam wykorzystywania rodzinnej sytuacji do załatwiania spraw. Nigdy nie wykręcałam się z niczego na „chore dziecko” albo „śmierć w rodzinie”, po tym jednak,



jak dowiedziałam się... Dzięki, mężu. Mam nadzieję, że przewracasz się w grobie!

– No tak – powtórzyła. – No tak.

Postukała się długopisem po przednich zębach. Pewnie tym samym, którym wcześniej tysiące klientów podpisywały umowy. Na wszelki wypadek podciągnęłam maseczkę wyżej na nos i napotkałam zdziwione spojrzenie Doroty.

– Nie mogę się zarazić. Mam starego ojca – wyjaśniłam. Już dawno temu zorientowałam się, że w pewnych kręgach rygorystyczne noszenie maseczki było równie źle widziane jak w innych kręgach jej nienoszenie. Problem polegał tylko na tym, żeby się zorientować, które kręgi są które.

– Posłuchaj – zaczęła Dorota, jeszcze bardziej zniżając głos i pochylając głowę. Dopiero teraz nasza rozmowa musiała wyglądać podejrzanie. – Mogę ci powiedzieć, kiedy twój Bednarski kupił tę kartę. Pomże ci to w czymś? Więcej nie mogę, naprawdę.

Pokiwałam z entuzjazmem głową. Może przy okazji uda mi się zerknąć jej przez ramię na PESEL albo chociaż na samą datę urodzenia.

Podyktowałam numer telefonu, a ona postukała w klawisze i sięgnęła po mysz.

– O, mam – powiedziała. – Wiesław Bednarski. Niecałe pół roku temu, zobacz. Osiemnastego czerwca. Nie mogę ci tego zapisać, chyba rozumiesz. Nie chcę zostawiać dowodu w postaci kartki z moim charakterem pisma.

Większość ludzi, którzy mnie otaczali, naprawdę miała błędne wyobrażenie na temat skuteczności policji.

Dorota na moment przesunęła ekran w moją stronę, a ja wlepiłam wzrok w datę urodzenia Wiesława Bednarskiego, który osiemnastego czerwca kupił komórkę na kartę. Niestety zdołałam dostrzec tylko miesiąc i rok. Marzec tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego.

Na początek musiało wystarczyć.

Chyba nie okazałam wdzięczności tak, jak oczekiwała tego Dorota, i za szybko się pożegnałam, bo odprowadziła mnie do drzwi urażonym spojrzeniem. Zapomniałam, że w moim rodzinnym miasteczku panowały otomańskie zasady uprzejmości. Cokolwiek dla kogoś zrobiłeś albo ktoś zrobił dla ciebie, łądowało w niepisany kodeksie, który precyzował, jak wielka powinna być wdzięczność i w jakim czasie odwzajemniona przysługa. Wszyscy to wiedzieli, tylko ja nie. Będę musiała wpaść następnego dnia z kwiatami albo z dobrym kremem do twarzy dla cery dojrzałej – tak, to mi jakoś bardziej pasowało do brwinowskiego kodeksu wzajemności.

Na razie jednak interesowało mnie coś innego. Zamknęłam się w samochodzie na parkingu i wstukałam w wyszukiwarkę „Wiesław Bednarski”.

Spodziewałam się tysiąca stron wyników – w końcu ani imię, ani nazwisko nie były rzadkie – ale nie tego, że wszystkie te strony dotyczyć będą jednej osoby.

Niejaki Wiesław Bednarski był kierowcą rajdowym, choć nie takim z Formuły 1, tylko bliżej rajdów typu Paryż–Dakar. W dodatku bardzo dobrym, co wynikało z nagłówków, które mi się wyświetliły. Wszedłam w trzy pierwsze. Dwa wychwalały jego osiągnięcia, a trzeci był starym wywiadem, pełnym technicznych i zupełnie dla mnie niezrozumiałych terminów.

Wielka gwiazda rajdowa na pewno miała umiejętności, o których mówił pilot bombowca z lotniska na Bemowie. Zastanawiało mnie co innego – dlaczego nie powiedział ani słowa o tym, że kumpel Zawady jest zawodowym kierowcą, i do tego słynnym. W życiu nie uwierzę, że go nie rozpoznał.

Postanowiłam zadzwonić i zapytać, najpierw jednak zerknęłam do Wikipedii. Chciałam sprawdzić, czy Wiesław Bednarski, który kupił komórkę osiemnastego czerwca, był tym samym, który naprawdę umiał po mistrzowsku prowadzić samochód.

Był. Tyle że ów słynny kierowca, urodzony w marcu siedemdziesiątego siódmego, a dokładnie: dwudziestego marca, zginął w wypadku samochodowym w tym roku, tuż przed swoimi urodzinami.

Równy trzy miesiące przed tym, nim kupił komórkę.

## Rozdział 61

Nie chciałam opowiadać Zagórskiemu o tym wszystkim przez telefon. Chyba przeczuwałam, że rzuciłby słuchawką, zanim na dobre bym zaczęła, a najpóźniej w momencie, w którym przyznałabym się do kradzieży komórki Zawady. Wolalabym pojechać na komendę i przekazać mu to w cztery oczy, ale nie miałam wyjścia: była sobota, a ja nie chciałam czekać do poniedziałku.

Nie rzucił telefonem, tak jak się tego obawiałam. Przynajmniej dotrwał do końca.

– Skończyłaś? – spytał, kiedy umilkłam.

Potwierdziłam.

– I czego teraz ode mnie oczekujesz? Znowu wtrącasz się w policyjne śledztwo, co samo w sobie jest już czynem karalnym. Artykuł dwieście trzydzieści dziewięć kodeksu karnego, paragraf pierwszy.

– Fajnie tak znać różne paragrafy z pamięci, co? – rzuciłam ironicznie, a on walnął pięścią w stół tak nagle, że telefon omal nie wypadł mi z dłoni.

– Przegięłaś, Franka! Po prostu przegięłaś. Myślisz, że wszystko ci wolno, co? Myślisz, że możesz udawać detektywa, bawić się w śledztwo, utrudniać policyjne działania...

– Ja nie utru...

– I do tego cynicznie wrywać na seks policjanta przydzielonego do śledztwa, żeby dowiedzieć się od niego jak najwięcej szczegółów? I podsuwać mu swoje, pożałuj Boże, pomysły?

Zastanowiłam się przez ułamek sekundy, czy bardziej chodziło o podryw, czy o to, że chciałam podsunąć mu swoje pomysły jako jego własne. W gruncie rzeczy nie miało to znaczenia.

– Janek, to nieważne – powiedziałam spokojnie. – Po prostu zrób z tym coś.

Przez chwilę milczał.

– Przykro mi, Franka – odparł w końcu. – To było bardzo fajne, ty jesteś bardzo fajna. Kiedy nie bawisz się w śledztwo.

– Ja nie bawię się w śledztwo, do cholery! – nie wytrzymałam. – To moja praca.

Jego ton głosu w ogóle się nie zmienił, jakby mnie nie usłyszał.

– Naprawdę mi przykro, ale to nie ma sensu. Nie jestem w stanie spotykać się z osobą, która mnie tylko wykorzystuje.

Pokręciłam głową.

– Powiedz, że to nieprawda. Że wcale nie przysłałaś tu wtedy i nie usiadłaś na moim biurku w krótkiej spódnicy tylko dlatego, że śledztwo w sprawie śmierci Soni Marchlewskiej dostałem właśnie ja.

Nie mogłam zaprzeczyć.

– No właśnie – mruknął.

– Janek... – Mnie też zrobiło się przykro. Zagórski był naprawdę fajnym facetem, w dodatku dobrym w łóżku jak mało kto, tyle że nic więcej do niego nie czułam. Myślałam nieustannie o Łukaszu.

– Przywieź mi tę komórkę Zawady w poniedziałek – powiedział w końcu. – Ostatni raz cię kryję. Powiniennem wsadzić cię za kradzież, wiesz o tym? Po prostu podrzuć mi ten telefon, jakoś to załatwię, a potem nie przychodź tu więcej.

## Rozdział 62

Nie wiem, dlaczego chciało mi się płakać. Przecież Zagórski mnie nie obchodził. Owszem, był miły (pod warunkiem, że nie rozmawialiśmy o mojej pracy), przyjemnie się z nim bzykało i miał ładny uśmiech, ale nic poza tym. Łatwo przyszło, łatwo poszło. Dlaczego więc było mi tak smutno?

Siedziałam w samochodzie i czekałam, aż łyzy przestaną mi napływać do oczu. W końcu wysmarkałam się w zmiętą chusteczkę znaną w kieszeni i uznałam, że trzeba jechać do domu, zrobić jakieś zakupy i w ogóle zainteresować się życiem mojej rodziny. Którą zaniedbywałam, zanim jeszcze dostałam to zlecenie, zanim dowiedziałam się, że Marcin mnie zdradzał, zanim pojawił się ten cholerny wirus. Prawda była taka, że zaczęłam ją zaniedbywać, kiedy zostałam wdową i dałam sobie prawo do niszczenia życia także innych ludzi.

Tak, musiałam wrócić do domu. Naprawdę do niego wrócić, nie tylko po to, żeby się przespać, wziąć prysznic i siedzieć godzinami przed ekranem komputera. Już najwyższy czas coś ugotować, pogadać z Miśką albo przynajmniej spróbować. Pobyć trochę z ojcem i chociaż raz kupić mu tę cholerną krzyżówkę. Wziąć Lolę na długi spacer...

Otarłam oczy i włączyłam silnik. Poszukałam w radiu rozgłośni, która puszczała dobry stary rock, a nie jakieś smutasy, i ruszyłam.

Po drodze zrobiłam zakupy. Pomyślałam o każdym. Dla Loli wybrałam gryzaka, który wyglądał na takiego, co może przetrwać w jej zębach całe dwa dni, a nie tylko dwie godziny. Dla Miśki wzięłam kilka opakowań żelków, bo kiedyś za nimi przepadała. Moja córka może udawać dorosłą, ale miłość do słodyczy jeszcze jej nie minęła. I nie muszę chyba dodawać, że kupiłam ojcu nie jedną, ale trzy pieprzone krzyżówki oraz gazetę.

Postanowiłam wrócić przez pola koło komina. Wszyscy miejscowi tak nazywali drogę prowadzącą niedaleko nigdy niedokończonej budowy elektrociepłowni czy fabryki, z której powstał jedynie komin, służący teraz za najdroższy na świecie, ale bardzo praktyczny punkt orientacyjny. Na polach zwiniałam i opuściłam szybę. Może to ostatni taki ciepły dzień przed zimą?

Wjechałam do Brwinowa ulicą Powstańców Warszawy i akurat kiedy przejeżdżałam koło domu rodziców Natalii, zobaczyłam, jak wychodzi przez furtkę. Gdy podjechałam bliżej, zerknęła z ukosa i natychmiast mnie rozpoznała.

Zaparkowałam krzywo na pasie błota przy chodniku, który w zamierzeniu miał być zapewne pasem trawy.

– Natalia, zaczekaj! – Wyskoczyłam z samochodu, ona jednak przyspieszyła kroku. – Podobno jesteś w Niemczech – zagałam, idąc chodnikiem wraz z nią.

– Jestem – warknęła. – Zostaw mnie w spokoju.

– Chciałam ci tylko zadać kilka pytań.

– Zostaw mnie w spokoju, słyszałaś?!

Na ulicy nie było tłumy, ale ktoś mógłby wyrwać się z powszechnej znieczulicy i zadzwonić po policję. Na szczęście jednak nie jestem facetem, bo nikt, naprawdę nikt nie zwraca uwagi na dwie kłócące się kobiety.

– Powiedz mi, co się wtedy stało.

Nie odpowiedziała, po prostu jeszcze bardziej przyspieszyła.

– Nie muszę z tobą rozmawiać – rzuciła, nie patrząc na mnie.

– Nie musisz – zgodziłam się. – Ale jeśli czegoś się boisz, może potrafię pomóc.

Roześmiała się gorzko i nic nie odpowiedziała.

– Jeśli nie chcesz rozmawiać na ulicy, możemy umówić się później. Mogę przyjść do ciebie do domu, pieszo, żeby nie parkować w okolicy. Ty możesz przyjść do mnie. Możemy spotkać się w Warszawie...

– Już ci powiedziałam: daj mi spokój!

Przez chwilę szłyśmy obok siebie w milczeniu.

– Czego bała się Sonia? – zapytałam w końcu.

– Raczej „kogo” – mruknęła Natalia, a potem skrzywiła się ze złością, uświadamiając sobie, że właśnie się wygadała.

– Swojego kochanka? Szymona Zawady?

Natalia zacisnęła wargi i pokręciła głową w geście „Nic więcej ci nie powiem”. Mimo to próbowałam dalej.

– Miała się z kimś jeszcze zobaczyć po waszym spotkaniu tamtego wieczora? Jeśli ktoś ją zabił, a ty podejrzewasz kto, tobie też grozi niebezpieczeństwo – wypaliłam z grubej rury, bo wciąż milczała.

Zatrzymała się nagle.

– No właśnie – powiedziała. – Już wiesz, dlaczego nie chcę z tobą rozmawiać? Więc idź stąd i nie przychodź więcej do moich rodziców, bo to źle się dla mnie skończy.

Tego się nie spodziewałam.

– Daj mi chociaż swój numer telefonu – poprosiłam.

– Zadzwoń do ciebie, jeśli będę chciała – odparła. – Ale raczej nie będę.

– Nie masz numeru. Twoja matka nie wzięła mojej wizytówki. – Wyciągnęłam jedną z kieszeni i przytrzymałam ją przed oczami Natalii. Zgarnęła ją zirytowanym ruchem. – A teraz, proszę, podaj mi swój numer. Na wszelki wypadek. Proszę.

Patrzyła na mnie i nawet nie mrugała. Miałam wrażenie, że mówię do niej po chińsku.

– Proszę – powtórzyłam.

– Sześćset dziewięć, dwieście siedemdziesiąt trzy, siedemset czterdzieści dziewięć – odezwała się nagle. – I nie dzwoń do mnie.

Kiedy ruszyła, wstukałam numer w komórkę i nacisnęłam zieloną słuchawkę. Mogła mi przecież dyktować cokolwiek, jednak usłyszałam sygnał dzwonka. Natalia zatrzymała się, wyjęła telefon z kieszeni i odwróciła się do mnie z wściekłym wyrazem twarzy.

– Mówiłam ci, żebyś do mnie nie dzwoniła!

– Nie będę – obiecałam. – Chyba że to będzie coś bardzo ważnego.

– Wtedy też nie! – odparowała, oddalając się szybko ode mnie.

Patrzyłam na jej plecy.

– Dzwoń, gdybyś czegoś potrzebowała! – zawołałam, ale ona już się nie odwróciła.

Nawet ruchem ramion nie dała znać, że mnie usłyszała.

## Rozdział 63

Miški nie było w domu.

Cały mój plan, że odtąd zajmę się rodziną, będę dobrą i wyrozumiałą matką oraz córką, trafił szlag.

– Nie tłumacz się – warknęłam na ojca. – To ty pozwoliłeś jej wyjść!

– Miałem ją zamknąć w pokoju?

Oczywiście, że tak. Mógł też zamknąć drzwi wejściowe, wrzucić klucz do kibla i spuścić wodę. Może nie przyszłoby jej do głowy, że da się wyjść oknem.

– Tysiąc razy ci mówiłam, tato...

– Franko, powinnaś z nią porozmawiać. Zakazy nic nie pomogą. Ona wychodzi z domu, bo źle się tu czuje.

– Ja też źle się tu czuję! – wybuchnęłam. – Jak w klatce! Jak w pieprzonym więzieniu! I wszystko jedno, czy jestem w domu, czy poza domem!

Ojciec popatrzył na mnie sponad okularów.

– Po pierwsze, nie mów tak brzydko. A po drugie, rozumiem cię.

– Nowość – mruknęłam.

Wziął mnie za rękę. Skórę miał chłodną i tak cienką, że przypominała kruchy pergamin.

– Franko, myślisz, że ja nie widzę, jak się męczysz? Przecież jesteś moją córką.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Ostatni raz był wobec mnie taki otwarty, pewnie kiedy mi zmieniał pieluchy.

– Wiem, że nie jest ci lekko – dodał. – Nie wiem, jak mogę pomóc.

– Nie możesz – szepnęłam.

– Nawet nie chcę ci mówić, że wszystko się ułoży. Chociaż się ułoży, ale wiem, że teraz w to nie uwierzysz.

To było miłe z jego strony.

– Musisz jednak porozmawiać z Mišką. Jej jest trudniej niż tobie.

Szczerze w to wątpiłam. Licytacja z własną córką, kto ma gorzej, brzmi kiepsko – wiem o tym, ale ona straciła ojca, a ja nie tylko męża, ale też przekonanie, że kiedykolwiek naprawdę był mi bliski. Poza tym słyśmy łeb w łeb: obie straciłyśmy mieszkanie, bezpieczeństwo finansowe i środowisko, w którym żyłyśmy.

Nie miałam nastroju na dyskusje.

– Idź się połóż, tato – powiedziałam. – Jesteś zdenerwowany, będzie cię bolało serce.

Ojciec dotknął klatki piersiowej. To znaczyło, że już go boli.

– Dopiero popołudnie – zaprotestował.

– To po prostu się połóż i poczytaj. Odpocznij. Ja i tak mam robotę, poczekam na Miškę. I obiecuję, że z nią porozmawiam.

Wyglądał, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć, jednak tego nie zrobił. Pokręcił głową i zaczął powoli wchodzić po schodach.

Zrobiłam sobie herbaty i kanapkę, bo ojciec najwyraźniej zapomniał, że miał dokończyć przygotowanie obiadu – zamarynowane mięso stało w lodówce, a potem usiadłam przy komputerze. Zaczęłam od Pudelka, później przerzuciłam się na dwa inne serwisy plotkarskie oraz na stronę poważnej gazety, która okazała się jeszcze nudniejsza niż plotki.

Powoli zrobiło się ciemno. Zapaliłam małą lampkę na biurku. Z góry nie dochodziły żadne dźwięki. Ojciec pewnie usnął.

Lola cicho posapywała w koszyku pod moimi nogami. Schyliłam się i pogłaskałam ją delikatnie, tak żeby jej nie budzić. Westchnęła. Ciekawe, o czym śniła.

Moje okno omiotły światła samochodu. Zatrzymał się przed furtką.

Nie traciłam nawet czasu na wkładanie butów. Wypadłam na dwór i skarpetki natychmiast przesiąkły mi wilgocią, ale dzięki temu Miśka nie usłyszała moich kroków.

Znalazłam się przy bramie akurat, kiedy moja córka pochyliła się i pocałowała kogoś, kto siedział za kierownicą. To był naprawdę długi i namiętny pocałunek.

Kiedy się wyprostowała, zobaczyłam w świetle latarni jego twarz.

To był Piotrek.

## Rozdział 64

– Miśka, do domu! – warknęłam.

W skarpetkach podeszłam do samochodu. Czułam w środku taki chłód, że nawet nie wiedziałam, czy mi zimno w nogi.

– Spotkałem ją, jak wracała od koleżanki – wyjaśnił szybko Piotrek. – Pomyślałem: co ma tak sama łązić po nocy.

Z całej siły rąbnęłam pięścią w przednią szybę. Niestety szyby w samochodach są zaprojektowane tak, by wytrzymać o wiele większą siłę, niż ta, którą dysponowała moja ręka. Ból przeszył mnie po łokieć.

– Co ty, kurwa... – zaczęłam, ale nie potrafiłam skończyć. W głowie czułam bryłę lodu, podobnie jak w sercu.

– Franka, to nie jest tak, jak myślisz.

– Ile razy? – spytałam.

– Co „ile razy”? Ty chyba nie myślisz, że...

– Ile, kurwa, razy?

– Franka, daj spokój. Twoja córka ma skończone piętnaście lat. Może legalnie uprawiać seks i nie musi się z tego nikomu tłumaczyć. Ja też nie.

Przysięgam, że gdybym tylko mogła, zabiłabym go. Gdybym miała pistolet, pociągnęłabym za spust, gdybym miała nóż, wbiłabym mu go w szyję, gdybym miała granat, bez chwili zastanowienia wyciągnęłabym zawleczkę, ale zostały mi tylko ręce, a jedna w dodatku potwornie mnie bolała. Gołymi rękami nie dałabym rady zadusić dorosłego mężczyzny.

– Jesteś chujem, wiesz? – rzuciłam. – Zwykłym chujem.

– Kurwa, Franka. Ja jej do niczego nie zmuszałem. Tak po prostu wyszło. Dziewczyna potrzebuje kogoś bliskiego, źle się tu czuje. Ty się nią nie zajmujesz po śmierci Marcina. Od kiedy przeprowadziła się na to zadupie, jest zupełnie sama.

– I dlatego musiała zawrzeć bliższą znajomość z twoim kutasem?

– Ja jej do niczego nie zmuszałem – powtórzył i opuścił głowę.

– Ewka wie?

Drgnął gwałtownie i posłał mi gorączkowe spojrzenie.

– Oszalałaś?! Ona nie może się dowiedzieć!

– Serio? Co za pech. Już do niej dzwonię. – Poklepałam się po kieszeniach i przypomniałam sobie, że komórkę zostawiłam na biurku, podłączoną do ładowarki.

– Franka, proszę cię, niech to pozostanie między nami – wyskamlął Piotrek. – Ewka wywali mnie z domu.

Pokręciłam głową.

– Oby pozwoliła ci zostać na jeszcze jedną noc, a jak będziesz spał, uciął ci kutasa – wycodziłam. – Tępy nożem.

Miałam ochotę wyć. Miałam ochotę go udusić. Zrobić cokolwiek, co zmaże z jego twarzy ten kretyński wyraz: co złego, to nie ja. Ja jestem fajnym facetem. Mam żonę, tę samą od dwudziestu lat, odchowane dziecko, dom z ogródkiem i pracę, cholera, mam nawet wnuczkę! Upijam się tylko na imprezie z kumpłami. A że zerżnąłem zagubioną w życiu małolatę? Oj tam, oj tam. Sama chciała.

– Nie każdy ma w życiu tyle szczęścia co ty – mruknął.

– Słucham?

Myślałam, że źle zrozumiałam. Byłam pewna, że powiedział coś rodzaju: „Nie każdy ma w życiu takiego pecha jak ty”. Po prostu chciałam się upewnić.

– Niecały rok po śmierci męża znajdujesz sobie bogatego kochanka i jesteś królową balu. Może najlepiej chajtnij się z nim jak najszybciej, póki go nie złapie jakaś młodsza. Będziesz trzęsła połową Brwinowa.

– Słucham, kurwa?!

– A co ty myślisz?! – Podniósł głos. – Wszyscy siedzimy u Wolskiego w kieszeni. Ta pandemia nikogo nie oszczędziła. Sam jestem u niego tak zadłużony, że gdyby tylko kiwnął palcem, z całą rodziną wyładowałbym na bruku! Odmawiamy co wieczór paciorek, żeby nie kiwnął.

Potrząsnęłam głową. Miałam uczucie, że śnię jakiś dziwny sen, w którym każdy mówi w obcym języku, a ja nic nie rozumiem. W ustach czułam gorzki posmak. Chciałam przełknąć ślinę, ale gardło było ściśnięte. Splunęłam, jednak zamiast trafić Piotrka w twarz, trafiłam w lustro.

– Franka, nie zrozum mnie źle. Wiem, że to nie twoja wina, tak się po prostu ułożyło. Wiadomo, śmierć męża i tak dalej. To nie twoja wina, że zaniedbałaś Michalinę i ona przyszła do mnie. Po prostu...

– Spierdaj stąd!

– Franka, posłuchaj...

– Spierdaj stąd, ty chuju! – rozdarłam się. Miałam gdzieś, czy sąsiedzi wybiegną z domów oglądać kolejną scenę. – Jeśli zobaczę cię jeszcze raz pod domem, rozwalę ci szybę grabiami!

– Franka...

Nie wiem, co chciał powiedzieć, bo nagle zmienił zdanie, wrzucił biegi i odjechał.

Oparłam się o płot. Spojrzałam na swoje stopy – skarpetki miałam zablocone po kostki. Nic nie czułam. Zupełnie nic.

Naprawdę nie wiem, ile tak stałam, jakim cudem udało mi się wreszcie oderwać plecy od płotu i pokonać tych kilkanaście kroków od furtki do domu.

– Rany boskie, Franko, czyś ty oszalała?! – przywitał mnie ojciec. Naprawdę liczyłam na to, że będzie na górze. Ale dlaczego miałyby mi się udać w życiu nawet tak drobna rzecz? – Boso biegasz po dworze? W październiku? Będziesz chora.

Powoli poszłam do łazienki. Zdjęłam przemoczone u dołu spodnie od dresu i skarpetki. Z kosza na brudną bieliznę wyjęłam jakieś suche, włożyłam je na niebieskie z zimna stopy i owinęłam się ciasno szlafrokiem. Musiałam oprzeć się o pralkę, żeby nie upaść. I nadal nic nie czułam.

– A wiesz, że covid najbardziej atakuje tych z osłabionym systemem odpornościowym? – perorował ojciec, kiedy wyszłam. – Powinnas zaraz zrobić sobie gorącej herbaty i położyć się do łóżka – dodał, po czym nagle zmienił temat. – Dowiedziałas się od Miśki, gdzie ona w ogóle była? Bo mnie nic nie chciała powiedzieć. Zamknęła się w swoim pokoju i tyle. Nawet rąk nie umyła, a przecież wszyscy trąbią na prawo i lewo, że trzeba dokładnie myć ręce.

Wymięłam go, podeszłam do drzwi córki i zastukałam.

Nie odpowiedziała.

Zastukałam jeszcze raz. Nie mogłam wypowiedzieć jej imienia, bo nic nie chciało mi przejść przez gardło.

– Michasiu, otwórz. – Ojciec stanął za moimi plecami. – Otwórz te drzwi. Musisz umyć ręce i zjeść kolację.

Zza drzwi nie dobiegł żaden dźwięk.

– Michasiu, otwórz. Prosimy cię razem z mamą.

Nic.



Ojciec pokręcił głową z dezaprobatą.

– Nie możesz jej na wszystko pozwalać, Franko – powiedział. – Ja to rozumiem, trudny okres i tak dalej, ale musisz ją po prostu trzymać krócej i już. Takie jest moje zdanie, jeśli chcesz wiedzieć.

Ze wszystkich rzeczy, jakie chciałam, poznanie zdania ojca było ostatnią. Odwróciłam się i poszłam na górę.

– No właśnie! – zawołał za moimi plecami. – Tak ją wychowałeś. Jaka matka, taka córka.

## Rozdział 65

W nocy nie spałam. Przewracałam się z boku na bok, przesuwając Lolę, która grzała jak piec, odrzucałam koldrę i z powrotem ją naciągałam. Wstałam dwa razy, postałam trochę pod drzwiami Miśki i wróciłam na górę – tylko po to, żeby znowu przewracać się z boku na bok.

Przysnęłam, kiedy na dworze było już jasno. Śniła mi się mała Miśka, stawiająca pierwsze kroki. Wyciągałam do niej ręce i wiedziałam, że nie zdążę jej złapać, że upadnie na swoją śliczną buzię, złamię nos, rozkrwawi usteczka, podbije oczy.

Coś stuknęło na dole. Usiadłam na łóżku i zerknęłam na zegar – dopiero wybiła ósma.

Lola mruknęła niezadowolona i przekręciła się na grzbiet.

Pod powiekami miałam piasek, ale nie byłam w stanie znieść myśli o powrocie do łóżka. Trzęsłam się z zimna i sama już nie wiedziałam, czy to z powodu temperatury w domu, czy mojego wewnętrznego chłodu. Naciągnęłam na piżamę sweter oraz szlafrok, na nogi najgrubsze skarpety, jakie znalazłam w szufladzie, i zesłam.

Zapukałam do drzwi Miśki.

Otworzyła od razu.

Też nie spała w nocy. Miała sińce pod oczami.

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć, a potem je zamknęłam i przytuliłam ją z całej siły.

To dziwne uczucie przytulać dziecko, które jest prawie dorosłe. Miśka już była ode mnie kilka centymetrów wyższa, miała małe, twarde piersi i biodra kobiety, a nie dziewczynki, ale wtuliła się we mnie, jakby znowu chodziła do przedszkola.

Stałyśmy tak, aż poczułam wilgoć na ramieniu. Odsunęłam twarz od córki i spojrzałam na nią. Jej oczy były mokre.

Nie puściłam jej ręki, tylko pociągnęłam ją za sobą na łóżko. Ciężko mi było usiąść, bo nie chciała się ode mnie oderwać. Zaczęła szlochać.

– Mamo – wychlipała. – Przepraszam.

Pokręciłam głową i przytuliłam ją jeszcze mocniej.

Moja córka przeproszała mnie za to, że nie zajmowałam się nią po śmierci ojca. Że wyrwałam ją z jej srodowiska i wrzuciłam do świata, w którym musiała od początku radzić sobie sama. Że pozwalałam jej siedzieć samej w pokoju całymi dniami. Że z nią nie rozmawiałam. Że nawet nie próbowałam złapać z nią kontaktu. Że pozostawiłam ją samą sobie. Całkiem samą.

Pękło mi serce.

W końcu sama się odsunęła i otarła oczy.

– Nie chciałam, żebyś się dowiedziała – wychrypiała. – Po prostu nie wiedziałam, co mam zrobić. Na początku strasznie mnie kręcił, wiesz? Czy ty to w ogóle rozumiesz?

Pokiwałam głową. Nie rozumiałam, ale i tak pokiwałam.

– A potem już sama nie wiedziałam, czy chcę, czy nie. Tylko nie umiałam mu tego powiedzieć.

– Rozumiem.

Przytuliłam ją tak mocno, że żadna z nas nie mogła oddychać.

– Mamo, ja po prostu nie wiem, co mam zrobić.

– Ja też nie – przyznałam.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem.

– Serio? Ty nie wiesz? Przecież zawsze wiesz. Zawsze się mądrzysz, wszystkimi komenderujesz i mówisz, co mają robić.

– Teraz nie wiem – przyznałam szczerze. – Od kiedy tata... – Nie potrafiłam tego powiedzieć. Słowa nie chciały mi przejść przez gardło i teraz to Miśka mnie objęła. – Ja po prostu nie wiem, co mam dalej robić... – Rozplakałam się.

Ekalałam wtulona w pierś piętnastoletniej córki, która już prawie była kobietą, i czułam się lepiej niż kiedykolwiek przez ostatni rok.

– Mamo, osmarkałaś mi dres – powiedziała w końcu Miśka.

Parsknęłam śmiechem. Ona też się uśmiechnęła.

Do pokoju wparowała Lola, wskoczyła na łóżko, polizała ją po twarzy, a potem uwalila się na jej poduszce.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć... – zaczęła moja córka.

– Jesteś w ciąży? – Przeszło mi przez usta, zanim zdążyłam ugryźć się w język.

– Zwariowałaś? – Popatrzyła na mnie z oburzeniem. – Nie jestem głupia. Zabezpieczałam się, ale pewnie wolałabyś o tym teraz nie rozmawiać... Muszę ci powiedzieć coś innego – dodała. – Dzwoniła do mnie Marlena.

Zesztywniałam.

– Kilka razy. Nie chciałam ci mówić, żeby cię nie zdenerwować.

– No to ci się w końcu udało – mruknęłam.

– Rozumiem cię.

W to akurat wątpiłam. Nie sądzę, żeby jakokolwiek piętnastolatka rozumiała upokorzenie i wściekłość zdradzanej żony. Modliłam się, żeby Miśka nigdy nie musiała tego zrozumieć.

– Czego chciała? – spytałam.

– Porozmawiać z tobą. Mówiła, że to bardzo ważne.

Z całą, kurwa, pewnością!

– Powiedziała jej, że nie możesz z nią rozmawiać, ale bardzo o to prosiła. Może byś do niej odzwonila, chociaż raz?

– Pomyślę o tym – skłamałam.

Miśka zmarszczyła czoło, a potem popatrzyła na mnie poważnie.

– Mamo, ja nie chcę, żebyś myślała, że ją lubię albo coś.

Wzięłam głęboki wdech. Musiałam włożyć sporo wysiłku, żeby zdobyć się na te słowa:

– Wiem, że ją lubisz, córeczko.

– Ale ja nie chcę, żebyś myślała... – Miśka posłała mi spłoszone spojrzenie. – Ja wszystko wiem. O niej i o tacie.

Kurwa! Kurwa, kurwa, kurwa!

– Twój tata był tak samo winny jak Marlena – odpowiedziałam.

– Wiem.

Przytuliła się do mnie. Była ciepła. Pachniała potem i zdecydowanie powinna wziąć prysznic, ale w tym momencie dla mnie był to najpiękniejszy zapach na świecie.

– Nie gniewasz się? – zapytała i moje serce znowu pękło.

– Popatrz na mnie – powiedziałam, a kiedy podniosła wzrok, dodałam: – Jesteś najwspanialszą, najmądrzejszą, najcudowniejszą i najpiękniejszą córką na świecie. Rozumiesz?

– Chyba trochę przesadziłaś. – Uśmiechnęła się, a ja z pełnym przekonaniem pokręciłam głową. – Kocham cię, mamo. – Wtuliła się we mnie i wtedy przypomniałam sobie tekst, który powtarzałyśmy na zmianę, kiedy była mała.

- Ja ciebie bardziej – odpowiedziałam.
- Nieprawda, bo ja ciebie – zachichotała.
- Nieprawda, bo ja ciebie.

I właśnie wtedy do pokoju wparował ojciec.

- Drzwi były uchylone – oznajmił, zanim zdążyłam zwrócić mu uwagę, że najpierw powinien zapukać. - Chciałem zapytać, czy ktoś będzie jadł śniadanie.

Wzięłam Miśkę za rękę.

- Ja tak – oświadczyłam.
- Ja też. Tylko najpierw się umyję – odparła moja córka i ruszyła do łazienki.
- Tylko nie marnuj wody! – zawołał za nią ojciec, a potem spojrzął na mnie: - Naprawdę uważam, że musisz ją trzymać krócej.

## Rozdział 66

Poszłam z Lolą na spacer, właściwie poszliśmy razem z Miśką. Podczas każdej minuty naszej wyprawy miałam pełną świadomość tego, że to cud. Pogoda trochę się zepsuła, ale nie padało. Łaziłyśmy po pustych ulicach i gadałyśmy o dupie Maryni. Miśka o szkole przez internet i o tym, jak wszyscy wydają się się nudni, z wyjątkiem jednej dziewczyny, z którą może nawet się zaprzyjaźni, ja o filmie o pszczołach, który kiedyś widziałam. Potem opowiedziałam jej kilka historyjek z cyklu: jak byłaś malutka, ale taka naprawdę mała... Większość opowiadałam już sto razy, ona jednak nigdy nie miała ich dosyć. A później spytała:

– Powiesz jego żonie?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć ani co w ogóle z tym zrobić.

– A ty co byś wolała?

– Wolałabym, żebyś nie mówiła – odparła tak szybko, jakby miała z góry przygotowany tekst. – To była też moja wina...

Zatrzymałam się tak gwałtownie, że smycz szarpnęła Lolę do tyłu.

– Córeczko, ty masz piętnaście lat.

– Szesnaście.

– Jeszcze nie. Nawet nie jesteś pełnoletnia.

– Nie traktuj mnie jak dziecko – naburmuszyła się.

– Nie zamierzam. Chcę ci powiedzieć tylko jedno: to nie była twoja wina. To! Nie! Była! Twoja! Wina! Rozumiesz?

– Mamo, ja też tego chciałam...

– Kurwa, dziecko! Zapamiętaj sobie raz na zawsze: takie sytuacje to wyłącznie wina dorosłego.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Miśka – powiedziałam. – Psim obowiązkiem każdej dorosłej osoby jest chronić dzieci, a nie je wykorzystywać!

– Nie każdy tak myśli – mruknęła.

– Ale każdy powinien.

Otoczyłam ją ramieniem. Myślałam, że się odsunie, jednak ona objęła mnie w pasie. Lola podbiegła i skoczyła ubłoconymi łapami na moje dżinsy.

– Jeśli nie chcesz, nie powiem nic Ewie – zapewniłam.

Na razie, dodałam w myślach.

Obiad nie wyszedł nam najlepiej, bo Miśka przypaliła mięso, które poprzedniego dnia zamarynowała ojciec, ale po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy siedzieliśmy przy stole we trójkę. Jedliśmy, rozmawialiśmy i było dobrze, właściwie tysiąc razy lepiej niż przez ostatni rok.

A potem przyjechał Łukasz.

Zdziwiłam się, że nie zadzwonił, bo zawsze wcześniej to robił.

– Przepraszam – powiedział. – Czy to problem?

Pokręciłam głową i poszłam do kuchni zaparzyć kawę, chociaż o nią nie poprosił.

Stanął w drzwiach, oparł się o framugę i patrzył, jak nalewam wody do ekspresu.

– Jeszcze nie zmyłaś tego napisu z bramy. Chcesz, żebym poszukał ci fachowców? Bo z drewnianych sztachet to tak łatwo nie zjeździe. Są firmy, które specjalizują się w usuwaniu graffiti.

W to nie wątpiłam, tak samo jak w ich cennik.

Zaniosłam kawę do pokoju i postawiłam na stoliku przy kanapie.

– Franko, czy mogę z tobą chwilę porozmawiać? Na osobności?

Ojciec uznał, że musi się położyć, a Miśka po obiedzie wróciła do swojego pokoju. Może i zawarłyśmy kruchy rozejm, ale to nie znaczyło, że przestała być okropną nastolatką. Byliśmy w salonie sami, nie licząc Loli wtulonej w posłanie.

– Bardziej na osobności nie będzie.

Uśmiechnął się.

– Zawsze taka sama...

Nie zrozumiałam.

– Nieważne.

Przysunął się i wziął mnie za rękę, a ja natychmiast ją zabrałam. Dopiero co wszystko zaczęło się układać. Nie chciałam zburzyć tej delikatnej równowagi.

– Łukasz, nie zaczynaj znowu.

Wyglądał na naprawdę zdziwionego.

– Myślałem...

Dotknęłam delikatnie jego kolana.

– Posłuchaj. Jesteś dla mnie bardzo ważną osobą, jesteś częścią mojej przeszłości, ale...

– Chcę być częścią twojej teraźniejszości. – Potarł czoło. – Boże! Dopiero jak człowiek mówi takie rzeczy na głos, słyszy, jak głupio to brzmi.

Pokręciłam głową.

– Moje życie jest skomplikowane – odparłam. – Mam pod opieką ludzi, którzy mnie potrzebują. Nie mam siły dawać z siebie jeszcze więcej...

Znowu wziął mnie za rękę i tym razem mu na to pozwoliłam.

– Nie chcę, żebyś mi coś dawała. To ja chcę ci coś dać.

– To tak nie działa, Łukasz.

– Czego ty chcesz? Mam paść na kolana?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

– Franko, nic na to nie poradzę. Jestem w tobie zakochany. Jak dzieciak, którym byłem, kiedy spotkał się pierwszy raz. Nie mogę pracować, nie mogę spać, schudłem. Bo myślę, kurwa, tylko o tobie! – Po raz pierwszy, od kiedy się spotkaliśmy po dwudziestu latach, wyglądał, jakby był na mnie zły. – Nie rozumiesz tego? Niczego mi nie brakowało. Owszem, moja żona zginęła, ale przypominam, byliśmy w separacji. To tragiczny wypadek, jednak niewiele dla mnie zmienił. Biznes mi idzie, w pandemii nawet lepiej niż wcześniej, jestem zdrowy, dobrze wyglądam, laski na mnie lecą. Nie krzyw się. Po prostu przedstawiam ci obraz sytuacji.

– Bardzo szczegółowy – mruknęłam.

– Chcę, żebyś mnie rozumiała. Moje życie jest w porządku, a potem znów spotykam ciebie i nagle wszystko się wali. Tak spektakularnie, że mogę się tylko z tego śmiać.

Milczałam.

– Żyłem dotąd w przekonaniu, że miłość jest fajnym dodatkiem, choć da się bez niego obejść, seks jeszcze fajniejszym, ale to nieprawda. Pomyliłem się. Och, kurwa, jak ja się pomyliłem! – Ukłęknął przede mną, a ja nerwowo zerknęłam na drzwi do pokoju Miśki. – Franko, nie jestem w stanie dłużej tak funkcjonować, więc błagam cię. Powiedz mi, tylko głośno i wyraźnie, że nic do mnie nie czujesz. Że to wszystko dzieje się wyłącznie w mojej głowie. Popatrz mi w oczy i powiedz to, a ja obiecuję, że wyjdę stąd i więcej się nie zobaczymy. Oczywiście, przeleję ci na konto całą sumę za twoją pracę.

To ostatnie trochę mi zazgrzytało, chociaż może byłam przewrażliwiona. W końcu co może być bardziej romantycznego niż zapewnienie ukochanej, że nie pozwoli się jej zginąć z głodu?

– Franko?

Spojrzałam na niego.

– Słyszałaś w ogóle, co mówiłem?

Pokiwałam głową i pogładziłam go po ręce.

Od śmierci Marcina żyłam w skorupie zbudowanej z żalu i rozpacz. Właściwie robiłam to już wcześniej, tylko sama nie chciałam się do tego przyznać. Skorupa była ciasna, twarda i cholernie niewygodna, ale zaczęłam się już w niej urządzać, a teraz Łukasz chciał, żebym z niej wyszła i roztrzaskała ją młotkiem, bo wtedy nie miałabym dokąd wracać.

Patrzyłam na niego bez słowa.

Podniósł się z kolan, a kiedy ja też wstałam, pochylił się i pocałował mnie.

Nikt mnie tak nigdy nie całował. Marcin też nie. A może po prostu wcześniej nie byłam gotowa na taki pocałunek. Aż do teraz.

Oparłam się o niego całym ciałem, bo czułam, że nie mam siły stać. Otoczył mnie ramionami i całował moje czoło, oczy, policzki, brodę, szyję.

W końcu udało mi się od niego oderwać.

– Chodź na górę – szepnęłam.

Na schodach trzymałam go mocno za rękę. Bałam się, że zniknie, że obudzi się i znowu będę sama. Ja, smutna, samotna kobieta po czterdziestce, która boryka się z życiem i oplakuje męża, chociaż nie warto go oplakiwać, chciałam być nade wszystko szczęśliwą nastolatką.

W moim pokoju Łukasz długo mnie całował. Wieki trwało, zanim przesunął ręce z mojej tali na pupę, a potem na piersi. Tysiąclecia, zanim pomógł mi wyswobodzić się z bluzy od dresu i rozpiął stanik.

Odsunął się. Nie mogłam powstrzymać jęku zawodu.

– Poczekaj chwilę – powiedział.

Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął złożoną paczuszkę czerwonego materiału. Strzepnął go. To była jedwabna koszulka.

– Włóżysz to dla mnie? – spytał.

– Muszę? – droczyłam się z nim. Nie chciałam się ubierać. Chciałam czuć jego skórę na swojej. Chciałam, żeby znowu mnie dotknął.

– Nie musisz. Myślałem, że pamiętasz.

I wtedy sobie przypomniałam. Kiedyś przyniósł mi taką samą koszulkę, tylko że wtedy źle trafił. Podał mi ją akurat w dniu, kiedy powiedziałam mu o Marcinie.

– Chciałem odczarować tamten moment – szepnęłam. – Wymazać te dwadzieścia lat.

Uniosłam ręce, a on przełożył mi koszulkę przez głowę. Jedwab osunął się po moim nagim ciele. Najpierw wydał mi się lodowaty, potem przybrał temperaturę mojej skóry.

Zanim zdjęłam majtki, przekreśliłam klucz w drzwiach.

## Rozdział 67

Seks z Marcinem był świetny, z Zagórskim też, ale to... To było coś zupełnie innego. Gdybym nie bała się tego słowa, powiedziałabym: to była wielka miłość.

Potem leżeliśmy i patrzyliśmy, jak zmierzcha, aż zrobiło się całkiem ciemno. Słyszałam, jak ojciec wychodzi ze swojego pokoju, a później wraca, Miśka na dole wypuszcza Lolę, a później ją wpuszcza. Nie chciałam opuścić łóżka nawet na sekundę.

Wtuliłam się w Łukasza. Pachniał jak bożonarodzeniowe ciasto. Cieniutki jedwab stanowił jedyną barierę między naszymi ciałami. Był jak trzecia skóra.

Łukasz pocałował mnie w czubek głowy.

– Wiesz, że oni wszyscy mi zazdroszczą?

– Kto? – zdziwił się. – Czego?

– Ludzie z Brwinowa. Wszyscy nasi koledzy i koleżanki, którzy tu zostali. – Imię Piotrka nie chciało mi przejść przez gardło. – Uważają, że odnowiłam znajomość z tobą dla kasy.

Roześmiał się.

– Serio?

– Mają mnie za wesołą wdówkę, która złapała bogatego faceta.

Odsunął się ode mnie na długość ramienia. Nie spodobało mi się to.

– Chyba się tym nie przejmujesz? – zapytał.

– Nie, ale nie lubię słuchać o tobie nieprzyjemnych rzeczy, a oni wszyscy podobno siedzą u ciebie w kieszeni, bo sprzedali ci udziały, kiedy w pandemii źle szły interesy.

Usiadł na łóżku i popatrzył na mnie z góry.

– Ja nawet nie wiem, jakie firmy kupiłem, Franko. Tym zajmują się moi ludzie. Nie jestem w stanie kontrolować oddzielnie każdej transakcji, zwłaszcza drobnej. Dziewczyno, to biznes. Sprzedajesz, kupujesz, pożyczasz, bierzesz procent, płacisz procent. Zabawa polega na tym, żeby sprzedać drożej, niż się kupiło, i wziąć większy procent, niż się zapłaciło. Do tego się to mniej więcej sprowadza.

Pokiwałam głową.

– Naprawdę się tym przejęłaś – dodał po chwili.

O dziwo tak. W końcu nic mnie nie łączyło z ludźmi z tego miasteczka. Nic, oprócz wspólnej przeszłości.

– Dobra, mam pomysł – powiedział. – Pójdę pod prysznic, a potem zabiorę cię na małą wycieczkę.

– W nocy? Już po dziewiątej.

– A nie spytasz dokąd?

– Lubię niespodzianki. – Uśmiechnęłam się.

– Nawet nie wiesz, jak to w tobie kocham. To zaufanie do całego świata.

Pochylił się i mnie pocałował. Znowu zmiękły mi nogi. Właściwie wcale nie chciałam jechać na żadną wycieczkę. W ogóle nie chciałam wychodzić z łóżka. Nie byliśmy jednak w hotelu, tylko w starym domu mojego ojca i wiedziałam, że ktoś prędzej czy później zapuka do tych drzwi.



## Rozdział 68

– Masz ochotę wybrać się do Włoch?! – krzyknął Łukasz z łazienki.

– Do Włoch?

– Tam jest teraz ciepło. Nie gorąco, tylko w sam raz. Idealna temperatura.

Miałabym ochotę wybrać się nawet do Gdańska, gdzie na pewno nie było ciepło. Nie ruszałam się nigdzie dalej od ponad roku.

– A pandemia?

– Samoloty latają, a przepisy i tak zmieniają się co pięć minut. – Wystawił głowę przez drzwi. – Zanim pojedziemy, będą już nowe.

– Nie mam kasy.

Popatrzył na mnie poważnie.

– Nie wygłupiaj się, Franko.

– Nie wygłupiam się. Sam widzisz, jaką mam pracę.

Cofnął się do łazienki, a po chwili wyszedł owinięty ręcznikiem. Wziął mnie za rękę.

– Chciałbym cię gdzieś zabrać. Żebyś nie musiała się martwić o pieniądze ani o nic innego. Proszę, zgódź się.

Uśmiechnęłam się.

– Idź pod prysznic. Porozmawiamy, jak wyjdiesz.

Kiedy zniknął za drzwiami i usłyszałam szum wody, zaczęłam myśleć, jak przyjemnie byłoby poleżeć na plaży i nic nie musieć. Chociaż przez kilka dni.

To mi przypomniało, że muszę jednak coś zrobić, zanim Łukasz wyjdzie z łazienki: zadzwonić do Bednarskiego, słynnego mistrza kierownicy, który potrafiłby wpakować Sonię na drzewo i samemu wyjść cało z kraksy. I który, tak się pechowo złożyło, zginął kilka miesięcy wcześniej. Skoro jednak zdołał po śmierci kupić telefon komórkowy i trenować na lotnisku na Bemowie, to może zabił też przy okazji gwiazdkę filmową.

Podniosłam spodnie z podłogi i wyjęłam z kieszeni telefon Zawady. Wybrałam numer i wcisnęłam zieloną słuchawkę.

Chyba spodziewałam się usłyszeć: „Abonent czasowo niedostępny” albo: „Numer, na który dzwonisz, nie istnieje”, ale zamiast tego rozległ się sygnał łączenia, a zaraz potem odgłos wibrującego telefonu.

Dochodził z rzuconej na podłogę marynarki Łukasza.

Zerknęłam na jego komórkę leżącą na krześle, a potem znów na marynarkę. Podeszłam i pochyliłam się. Wibrujący aparat był w wewnętrznej kieszeni. Na ekranie nie wyświetlało się żadne nazwisko, tylko numer. Znajomy numer.

Nie chciało mi się w to wierzyć, więc rozłączyłam się, weszłam w kontakty Zawady i sprawdziłam numer Bednarskiego.

Tak, był ten sam. Tylko dlaczego Łukasz miał przy sobie jego telefon?

Z łazienki dobiegł mnie głos. Drgnęłam. Komórka Zawady wypadła mi z ręki, prosto na drewnianą podłogę. Wyświetlacz pękł, a potem zgasł.

– Wszystko w porządku?! – zawołał Łukasz z łazienki.

– Tak! – odkrzyknęłam.

Wsunęłam aparat Zawady pod pościel, wyjęłam spod łóżka laptopa i podpięłam do niego telefon z marynarki Łukasza.

Na pulpicie nie było prawie żadnych ikonek, zaledwie tyle, ile w ustawieniach fabrycznych. Żadnych kont do poczty, komunikatorów, Messengera czy Whats-Appa. Tylko telefon oraz esemesy.

Kliknęłam najpierw w tę drugą ikonkę, okazała się jednak pusta. Wiadomości najwyraźniej zostały skasowane. Otworzyłam więc listę rozmów. Najwięcej połączeń było z numerem Zawady – długich i krótkich, o różnych porach dnia, głównie przychodzących. Wyglądało na to, że Zawada lubił sobie pogadać, a sam Bednarski oddzwaniał rzadko i wtedy rozmowa trwała krótko. Oprócz tego kilka innych numerów, ale żaden nie wyglądał znajomo. Z wyjątkiem jednego. Tego, który niedawno wpisałam do swojego telefonu.

Numeru Natalii.

Było tylko jedno połączenie – przychodzące. Trwało kilka sekund, jakby powiedziała jedno zdanie, góra dwa, a potem się rozłączyła. Zostało wykonane w ubiegły poniedziałek, tuż po północy. W momencie, kiedy Sonia i jej koleżanki wychodziły z knajpy w Podkowie Leśnej. Na dwadzieścia minut przed wypadkiem.

## Rozdział 69

Woda pod prysznicem przestała lecieć.

Wsunęłam komórkę z powrotem do kieszeni marynarki Łukasza, przycisnęłam drzwi do framugi, żeby klucz w zamku obrócił się bezszelestnie, powoli otworzyłam i wysłizgnęłam się na korytarz. Na palcach zesłam na dół, starając się, żeby nie skrzyknął żaden stopień.

Na dole było ciemno. Poczekałam chwilę, aż źrenice rozszerzą mi się na tyle, żeby rozróżnić kontury mebli w słabym świetle ulicznej latarni, które wpadało przez okno. Odłączyłam komórkę z ładowarki na biurku i wybrałam numer Zagórskiego.

Usłyszałam kilka sygnałów. Kurwa, Zagórski, nie rób mi tego, zaklinałam go w myślach. Błagam cię, odbierz. Błagam!

Po chwili sygnał przełączył się na zajęty. Kiedy spróbowałam ponownie, dłonie trzęsły mi się tak bardzo, że ledwo trzymałam aparat w rękach. Znowu zajęty. Janek odrzucał połączenia.

„Odbierz. Proszę” – napisałam w esemesie i wtedy ktoś zadzwonił do furtki. Wyrzałam przez okno. Na ulicy stała Marlena. Poznałam ją od razu, mimo ciemności, czapki i szalika.

Usłyszałam ruch na górze, więc nie tracąc czasu na szukanie kurtki i butów, wypadłam z domu. Boso, w jedwabnej czerwonej koszulce na nagim ciele dobiegłam do furtki. Aparat podskakiwał w moich dłoniach. Tak trzęsły mi się ręce, że nie mogłam nawet wybrać trzech cyfr.

– Franka? – Marlena miała minę, jakby zobaczyła ducha. Odsunęła się. – Przepraszam, że tak późno, wiem, że nie chcesz ze mną...

– Dzwon na policję!

Zrobiła jeszcze jeden krok do tyłu. Być może uznała, że zwariowałam. Pewnie sama bym tak uznała na jej miejscu, ale nie miałam czasu się nad tym zastanawiać.

– Dzwon, kurwa!

W końcu uznała, że wariatce lepiej się nie sprzeciwiać. Wyjęła z kieszeni komórkę i w tym momencie za moimi plecami otworzyły się drzwi od domu.

Obróciłam się dookoła własnej osi. Marlena uniosła wzrok.

W progu stał Łukasz. Podświetlony od tyłu światłem z korytarza, wyglądał jak sylwetka w chińskim teatrze cieni. Widziałam wyraźnie nóż, który trzymał przy gardle mojej córki.

– Franko, co ty wyprawiasz? Zmarzniesz – odezwał się spokojnie. – Zapraszam do środka. Obie panie. I chyba nie muszę mówić, że macie wyrzucić komórki do ogródka, prawda?

Zrobiłam, co kazał. Marlena po chwili wahania też, a potem ruszyliśmy do domu.

Łukasz zamknął za nami drzwi.

## Rozdział 70

– Na kanapę! Już!

Jego głos brzmiał teraz ostro, nieprzyjemnie. Posłałam szybkie spojrzenie Miśce. Była przerażona, ale cała. Stała wyprostowana jak struna przy Łukaszu i nie spuszczała ze mnie oczu.

– Na kanapę! – warknął.

Minęłam córkę i usiadłam. Zaczęłam się cała trząść.

– Co ty jesteś małym dzieckiem, żeby biegać w październiku po dworze na golasa? – Łukasz uśmiechnął się tym swoim specjalnym, naprawdę bardzo ładnym uśmiechem. Tym, który tak dobrze znałam. A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Daj jej swoją kurtkę – polecił siedzącej obok mnie Marlenie.

Marlena posłusznie zdjęła okrycie, a ja posłusznie je włożyłam. Nie spuszczałam wzroku z twarzy Miśki. Była biała. Nóż przy jej gardle pochodził z naszej kuchni. Stary nóż do mięsa, mój ulubiony.

– Kochanie – powiedziałam. – Nie bój się. Mama jest przy tobie.

Bezgłośnie poruszyła wargami. Ani przez sekundę nie myślałam, że uwierzyła w moje zapewnienia.

Łukasz odsunął fotel od biurka i brutalnie posadził na nim Miśkę. Sam usiadł na krześle obok. Zaczął się bawić nożem. Klinga odbijała światło lampy.

– Wypuść ją – poprosiłam, nie spuszczać wzroku z twarzy córki.

– No coś ty! Przecież jest pandemia. Nie wolno wychodzić z domu bez wyraźnej potrzeby – zadrwił.

– Łukasz, kurwa, przestań! Po prostu ją wypuść.

– Nigdy mi się nie podobało, jak przeklinasz, Franko. Wtedy, dwadzieścia lat temu, też nie, a teraz przeklinasz częściej.

Powoli przestawałam się trząść.

– Czego chcesz?

Odchylił głowę w bok.

– Czy ty wiesz, jaki dzisiaj jest dzień?

– Niedziela.

– Data!

Musiałam się wysilić, żeby sobie przypomnieć.

– Dwudziesty trzeci października.

– A pamiętasz, co się wydarzyło dwudziestego trzeciego października?

Jakaś bitwa? Podpisanie traktatu pokojowego? Umarł jakiś, kurwa, król? Nigdy nie byłam dobra z historii.

– Którego roku? – zaryzykowałam.

– Dwa tysiące pierwszego – wycedził. – Dwadzieścia lat temu.

Miałam pustkę w głowie.

– Naprawdę nie pamiętasz? I nie przypomnisz sobie? Nawet gdyby od tego zależało życie twojej córki?

Miśka drgnęła. Łukasz uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie dotykaj jej! – warknęłam.

– Lepiej się skup. Co takiego miało miejsce dwudziestego trzeciego października dwa tysiące pierwszego roku?

Czułam, że Marlena na mnie patrzy. Zerknęłam na nią kątem oka. Też nie wyglądała na taką, co wie.  
– Przyszłaś do mnie wieczorem, prawie tak późno... – Zerknął na zegarek. – No nie, już po dwudziestej drugiej. Przyszłaś wcześniej, ale było już ciemno.

– I powiedziałam ci, że spotykam się z kimś innym... – skojarzyłam wreszcie.

– I powiedziałaś mi, że spotykasz się z kimś innym – potwierdził.

– Masz dobrą pamięć.

– Nie, kurwa! – wrzasnął, zrywając się na nogi.

Miśka zasłoniła twarz rękami, ale Łukasz potrzebował tylko ułamka sekundy, żeby się opanować. Znowu jego twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

– Nie, to nie jest kwestia pamięci. Bardzo mnie wtedy zraniłaś, wiesz?

Milczałam.

– Wiesz? – Podniósł głos.

Pokiwałam głową.

– Chcę to usłyszeć.

– Wiem – wychrypiałam. Nagle poczułam, że słowa nie chcą przechodzić mi przez gardło.

– Nigdy ci tego nie wybaczyłem i czekałem na ten moment przez dwadzieścia lat.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Chyba w tamtej chwili po raz pierwszy pojęłam, że znalazłam się w sytuacji bez wyjścia.

## Rozdział 71

Siedzieliśmy w ciszy. Miśka podciągnęła kolana i objęła je ramionami. Bardzo chciałam ją przytulić. Za to Marlena odchyliła się na kanapie, założyła nogę na nogę i zaplotła ręce na piersi. Wyglądała, jakby oglądała film, który nie bardzo jej się podoba.

– Strasznie tu u was zimno – poskarżyła się w końcu.

– Ogrzewanie kosztuje – warknęłam.

– Zamknijcie się – powiedział spokojnie Łukasz.

– Czego ty od nas chcesz? – zapytałam, ale on zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie nie usłyszał. Wpatrywałam się w nóż kuchenny, zastanawiając się, co się teraz wydarzy. Miśka również na niego patrzyła. Musiałam odwrócić od niej jego uwagę. – Dlaczego zabiłeś Sonię? – rzuciłam.

Marlena poruszyła się obok mnie.

– Nie wiesz?

Wiedziałam. Oczywiście, że wiedziałam. Teraz zrozumiałam.

– Bo cię zostawiła.

– Pieprzona kurwa! – wybuchnął.

– Hej, tu jest dziecko! – wyrwało się nagle Marlenie.

– Zamknij się! – wrzasnęła Łukasz i Miśka skuliła się jeszcze bardziej.

– Może lepiej rzeczywiście się zamknij – powiedziałam do Marleny najspokojniej, jak potrafiłam.

Widziałam, że chce coś odpowiedzieć, i byłam jej wdzięczna, że tego nie zrobiła.

– Ciebie się nie zostawia, prawda, Łukasz? – odezwałam się znów do niego.

– Mnie się nie zostawia. – Jego głos znowu brzmiał spokojnie, jakbyśmy zebrali się wszyscy na popołudniowej herbatce.

– Co ci powiedziała Natalia?

– Jesteś detektywką. – Uśmiechnął się. – Powinnaś umieć wydedukować takie rzeczy.

– Zadzwoń do ciebie na numer, który zarejestrowałeś na nazwisko Bednarskiego. Nawet nie chce mi się już wnikać, jak to zrobiłeś.

– Jak to powiedziałaś? „Cały Brwinów siedzi u ciebie w kieszeni”?

Pokiwałam głową. Oczywiście. Czemu wcześniej o tym nie pomyślałam?

– Nieżle to sobie zaplanowałeś – ciągnęłam. – Sonia powiedziała ci o Zawadzie czy sam to odkryłeś? Zresztą nieważne. Zaprzyjaźniłeś się z nim, żeby być blisko. Pewnie sporo ci opowiadał o swojej ukochanej, co? W końcu ci ufał... A potem czekałeś na odpowiedni moment. I kiedy tamtego wieczora Natalia powiedziała ci, że właśnie wyszły z knajpy, postanowiłeś działać. Swoją drogą ciekawe, jak ją do tego nakłoniłeś. Wykupiłeś firmę jej rodziców?

Wzruszył ramionami.

– Dowiedziałeś się, że Sonia rusza do domu, i wtedy do niej zadzwoniłeś. Co jej powiedziałaś?

– Wydedukuj.

Pomyślałam o wizytówce na miejscu wypadku, o tym, jak Mariola koniecznie chciała moje namiary, a potem o jej słowach na popijawie u Ewy – że Łukasz jest de facto jej szefem.

Jak to możliwe, żeby jeden facet miał w garści całe miasteczko?

Chyba wreszcie rozumiałam, dlaczego nigdy nie chciałam tu wracać.

– Powiedziałeś Soni, że samochód ci się zepsuł w drodze do Warszawy, na przelotówce, kilkaset metrów przed zakrętem. – Przymknęłam oczy. Spróbowałam połączyć wszystkie fakty. – Wybrałeś miejsce, zaparkowałeś na poboczu, włączyłeś światła awaryjne. Zadzwońiłeś do Soni. Przeprosiłeś, że tak późno, i spytałeś, czy mogłaby cię podwieźć, skoro mieszka tuż obok.

Lukasz kiwał głową do rytmu moich słów.

– A Sonia była miła. Wszyscy tak o niej mówili: miła dziewczyna. Nie powiedziała więc, żebyś się goił albo wziął ubera. Powiedziała, że właśnie wyszła z knajpy obok i że nie ma sprawy. Dlatego nie odwozła koleżanek do domu.

– Całkiem nieźle ci idzie – przyznał.

– A potem ją zabiłeś. Wjechałeś w drzewo tak, żeby nic ci się nie stało. Sporo ryzykowałeś.

– Sporo – przyznał. – Mogła przeżyć, ale po takim zderzeniu na pewno byłaby kaleką do końca życia. Zmroził mnie chłód w jego głosie.

– A nie przyszło ci do głowy, że ty też możesz zginąć? Ten facet na lotnisku Bemowo powiedział...

– To stary pierdziel, a ja, moja miła, nie popełniam błędów.

Potrzebałam dłuższej chwili, żeby znowu wydobyć z siebie głos.

– Wydostałeś się z auta, wróciłeś do swojego samochodu i poczekałeś, aż dojdiesz do siebie. Dobrze wiedziałeś, że w nocy na tej drodze rzadko cokolwiek jeździ.

– Mówiłam ci, że to on – syknęła mi Marlena do ucha tak nagle, że aż podskoczyłam. – Cały czas ci mówiłam.

– Zamknij się – powiedzieliśmy z Łukaszem równocześnie.

– Widzisz, Franko? – Uśmiechnął się i spojrzał na mnie. – Nawet po dwudziestu latach ciągle myślimy tak samo. Niepotrzebnie mnie wtedy rzuciłaś.

– Puść Miškę. I tę idiotkę też. – Ruchem głowy wskazałam Marlenę.

– Franko, myśl logicznie. Świadkowie.

– Możesz je zastraszyć. Jak Natalię. I pół Brwinowa.

Pokręcił głową.

– Gdybyś nie była taka upierdliwa, nikt by się nie dowiedział. A ten twój kochanek Zagórski jest równo upierdliwy jak ty. Prędzej czy później też może wpaść na rozwiązanie.

– Po pierwsze, on nie jest moim... – Machnęłam ręką. – Nieważne. Po drugie, wołę słowo „docieklawa”. A po trzecie, wypuść Miškę. To tylko nastolatka. Głupia jak but. Wszystko jej się popieprzy i nikt nie uwierzy jej zeznaniom.

Spodziewałam się, że moja córka zerwie się z fotela oburzona, ona jednak siedziała skulona i nawet nie drgnęła. Serce mi się ścisnęło na widok jej przerażonej miny.

Spróbowałam inaczej.

– Jeśli coś nam zrobisz, będzie wiadomo, że to ty. Wszyscy już wiedzą, że jesteśmy kochankami, że wróciliśmy do siebie po latach. Wiedzą, że do mnie przyjeżdżasz i że kazałeś mi sprawdzić okoliczności wypadku Soni.

Lukasz przez chwilę tylko mi się przyglądał, jakbym była zwierzęciem w zoo.

– W tym miasteczku ludzie wiedzą tyle, ile pozwalałam im wiedzieć – odparł. – I wierz mi, nikt nie wie, że zleciłem ci sprawę Soni. Jak myślisz, dlaczego zapłaciłem ci gotówką?

– W moim komputerze...

– Wiedzą jedynie, że parę razy cię odwiedziłem. Wiadomo, stara znajomość. Cała reszta to plotki. Myślisz, że ktoś aresztuje poważnego biznesmena na podstawie małomiasteczkowych plotek? A komputerem się nie przejmuj. Pójdzie z dymem razem z twoim domem. Mam cały bagażnik kanistrów benzyny. Ta rudera spłonie jak zapalka!

Miśka poderwała głowę. Przerażenie na jej twarzy zmieniło się w panikę.

– No i zadarłaś z incelami – ciągnął Łukasz. – A to już nie są plotki. Pomalowali ci bramę, przyjechała policja. Wszyscy o tym wiedzą. Więc jak nagle w nocy splonie twój dom, pokiwiąją tylko głowami nad twoją głupotą i nieostrością. A ja już wtedy będę daleko.

Przypomniałam sobie słowa Piotrka – że całe miasteczko siedzi u Łukasza w kieszeni. Potem pomyślałam o Marioli, która pewnie dała Łukaszowi moją wizytówkę, i o tym, co mówiła na spotkaniu u Ewy. To ona skierowała moją uwagę na inceli.

– To też... twoja sprawa? – Popatrzyłam na niego ze zdumieniem. Nie doceniałam go.

– Chciałem cię popchnąć w stronę Zawady. – Uśmiechnął się rozbrajająco. – Twój kochanek policjant rzucał się, kiedy mu się wpieprzałaś w śledztwo, ale w końcu poszedłby tym tropem. Wyszło lepiej, niż myślałem. Ty i ta twoja koleżanka – spojrzal na Marlenę – rozdrażniłyście białych heteroseksualnych facetów, którzy kipią od niewykorzystanego testosteronu. Najbardziej niestabilną grupę społeczną, którą policja od dawna ma na celowniku. Wierz mi, nie będą szukać innych winnych.

Uwierzyłam mu.

Siedzieliśmy długo w milczeniu. Nic się nie zmieniało. Miśka nadal kurczowo obejmowała ramionami nogi i wyglądała jak posąg. Marlena nerwowo oglądała swoje paznokcie, a Lola posapywała przez sen pod biurkiem.

– Która godzina? – spytałam nagle.

Łukasz zerknął na zegarek. Był jedyną znaną mi osobą, która jeszcze nosiła zegarek na nadgarstku i nie sprawdzała godziny na komórce.

– Prawie północ. A co, spieszysz się gdzieś?

– Nie, ale ty powinienes. Która dokładnie jest godzina?

Zrobił zdziwioną minę, jednak odpowiedział:

– Jedenasta pięćdziesiąt dwie.

– To masz osiem minut. No, może dziesięć.

Poruszył się na krześle.

– O co ci chodzi?

– Zaraz zadzwoni telefon – wyjaśniłam. – Moja komórka. Jeśli nie odbiorę, w domu obok – skinęłam głową w stronę okna – zapali się światło i sąsiad wyjdzie na ganek. Mam z nim umowę: robi to co wieczór. Jeśli nie dam mu znaku, że wszystko w porządku, zadzwoni do drugiego sąsiada, który chwilę później podjedzie samochodem. Przyjdą tu sprawdzić, co się ze mną dzieje, i wezwą policję.

Łukasz wstał z krzesła i podszedł do okna.

Moja komórka leżała gdzieś w krzakach. Pewnie już padła, bo ziemia i zgniłe liście były napęczniałe od wilgoci, a nawet gdyby jeszcze działała, i tak nie usłyszałabym dzwonka.

Nagle przed domem obok zapaliło się światło. Łukasz cofnął się od okna. Ze swojego miejsca na kanapie widziałam, jak sąsiad w szlafroku i kapciach wychodzi na ganek, po czym zapala papierosa. Rozejrzał się uważnie, popatrzył prosto na nas, a potem wyjął z kieszeni szlafroka komórkę i przyłożył ją do ucha.

Kiedy w końcu podjechał samochód drugiego sąsiada i zatrzymał się, powiedziałam cicho:

– Zostaw nas i wyjdź. Jeszcze zdążysz. Po prostu idź.

Przez chwilę myślałam, że naprawdę mi się udało. Łukasz patrzył na mnie ze zmarszczonym czołem. Wyrzwał przez okno i natychmiast znowu się cofnął.

– Idź, Łukasz – powtórzyłam.

I wtedy wybuchnął śmiechem. Śmiał się, jakbym powiedziała najlepszy dowcip na świecie. Nie udawał, naprawdę było mu wesoło.

– Franko! – wykrztusił w końcu, ocierając łzy roz-bawienia. – Franko, Franko... Jesteś naprawdę niezła, wiesz?



Nie odpowiedziałam. Żadna odpowiedź nie miała już sensu.

– Może nawet bym ci uwierzył, bo potrafisz być naprawdę przekonująca. Problem w tym, moja miła, że ja się przygotowuję. Do wszystkiego, co zamierzam zrobić. Gdybym się nie przygotowywał, nie osiągnąłbym tego, co osiągnąłem. Wiem, jak żyją twoi sąsiedzi, co robią wieczorami. A ten telefon na twoją komórkę codziennie przed północą to wymiana pieca gazowego czy fotowoltaika?

Patrzyłam na niego bez słowa.

– Odpowiadaj, jak cię pytam! – ryknął.

Podskoczyłam, a Miśka zakryła sobie uszy dłońmi.

– To drugie – wyszeptałam.

– Ale i tak gratulacje. – Łukasz znowu wyglądał na zupełnie spokojnego. – Naprawdę nieźle ci to wyszło.

– Wypuść ją – poprosiłam ochryłym szeptem. – Wypuść Miśkę. Ze mną i z tą kretynką obok możesz zrobić, co chcesz, ale pozwól Miśce włożyć buty i kurtkę i wyjść.

Łukasz już otworzył usta, żeby mi odpowiedzieć, gdy nagle Marlena poderwała się z kanapy i rozdała na całe gardło.

## Rozdział 72

– Ty głupia pizdo! – wrzasnęła. – Mam już tego dosyć!

Łukasz i ja gapiliśmy się na nią z otwartymi ustami. Miśka opuściła nawet nogi z siedzenia fotela.

– Kurwa, dosyć tego, ty pizdo niedojebana! – darła się Marlena. – Ile jeszcze będę musiała to znosić?! Poniżasz mnie, wyzywasz od kretynek i idiotek, a to tobie nie wsadzał twój własny mąż! Tobie! – Kopnęła stolik do kawy, który się przewrócił. Jedna noga odłamała się od blatu.

Lola wcisnęła się głębiej pod biurko.

– Taka jesteś mądra?! – Marlena szalała. – Taka przemądrzała? Uważasz, że zawsze masz rację?!

Ponownie kopnęła stolik. Tym razem przeleciał przez pokój i uderzył o ścianę. Blat pękł. Marlena mogłaby grać w reprezentacji Polski.

– A wiesz, co mi mówią na twój temat twój własny mężulek?! Wiesz?!

Podbiegła do biurka, cisnęła o ścianę pustym kubkiem z zaschniętymi śladami po kawie. Rozprysnął się na kawalki.

– Siadaj – powiedział do niej zimno Łukasz.

Ona jednak nie słyszała. Miotła się w ataku furii.

– Wiesz, co mi powiedział?! Że jesteś po prostu głupia! Głupia, słyszysz?! Że on już nie może z tobą wytrzymać! Że ma nudną, głupią żonę i nudną, głupią córkę i że niedługo już mu przestanie stawać z nudów!

– Siadaj! – wrzasnął Łukasz. – Morda w kubeł! – Był tak samo zdezorientowany jak Miśka i ja. Zaciśnął palce na trzonku noża.

Pomyślałam, że za chwilę wbije go Marlenie prosto w gardło, ona jednak nadal nie zwracała na niego uwagi. Zaczęła demolować kuchnię. Otworzyła szafkę z talerzami i po prostu wygarnęła ich zawartość na podłogę. Miśka skuliła się w fotelu, zatkała uszy.

– A ty masz pretensje, że z nim spałam?! – darła się Marlena. Jednym ruchem ręki zrzuciła garnki stojące na kuchni. Spadły na podłogę ze strasznym brzękiem. – Ja mu uratowałam życie, rozumiesz, ty pindo?! U ciebie umarłby z nudów!

Gdzieś w tyle mojego mózgu zamigotała myśl „I tak umarł, to znaczy zginął”, ale natychmiast zgasła.

Marlena otworzyła szafkę ze szklankami i zaczęła każdą z nich ciskać przez salon. Roztrzaskiwały się na ścianach.

Huk był taki, że nie usłyszałam, jak ojciec wyszedł ze swojego pokoju.

– Franko?! Franko, co się dzieje?! – zawołał.

– Zostań na górze, tato! – krzyknęłam. – Słyszysz mnie? Zamknij się w pokoju!

Oczywiście nie posłuchał, jak zawsze, i zaczął schodzić po schodach. Rzucona przez Marlenę szklanka roztrzaskała się na stopniu, ojciec zachwiał się, poślizgnął i spadł na sam dół.

Zerwałam się z kanapy. Łukasz nie zdążył zaprotestować, kiedy podbiegłam do leżącego nieruchomo ojca. Przytknęłam mu palce do nadgarstka – nic. Dotknęłam tam, gdzie powinna pulsować tętnica szyjna. Wyczułam delikatny ruch. Słaby, urywany.

Marlena chyba niczego nie zauważyła. Skończyły jej się szklanki, teraz rzucała kubkami, cały czas mnie wyzywając. Jeden z nich rozbił się o ścianę tuż nad moją głową. Poczulałam ciepło na policzku w miejscu, gdzie odłamek rozciął mi skórę.

– Zadzwoń po pogotowie! – wrzasnęłam do Łukasza. – Wezwij karetkę!

Dopiero wtedy ocknął się z transu, w który wprawił go wybuch Marleny. Nie sięgnął jednak po telefon, tylko ruszył do niej. Chwycił ją za jedną rękę i zamierzył się, żeby uderzyć ją w twarz.

I dlatego nie zauważył, kiedy Marlena drugą ręką wbiła mu w udo szpikulec do mięsa.

## Rozdział 73

Dopiero po chwili spojrział ze zdziwieniem na swoją nogę. Oparł się o ścianę, rozwarł zaciśniętą dłoń. Nóż do mięsa, mój ulubiony, upadł na podłogę.

Zerwałam się z kolan, wbiegłam do kuchni, chwyciłam go i z rozmachem wbiłam Łukaszowi w ramię, a potem odskoczyłam na bezpieczną odległość.

W salonie zapadła cisza. Puk, puk ogona Loli, która nadal chowała się pod biurkiem, brzmiało jak seria wystrzałów.

Łukasz, patrząc mi prosto w oczy, chwycił trzonek noża i jednym szarpnięciem wyciągnął go z rany. Uśmiechnął się lodowato.

– Serio? – rzucił. – Przecież wiesz, że w tym miejscu nie ma żadnej ważnej arterii. Myślałem, że jesteś trochę bardziej inteligentna.

Nie spuszczać z niego wzroku, cofnęłam się do fotela. Miśka poderwała się na nogi. Otoczyłam ją ramionami.

Łukasz oderwał się od ściany i ruszył powoli w naszym kierunku. Dłoń, w której trzymał nóż, była czerwona od krwi.

– Nie zbliżaj się – wychrypiałam.

– Naprawdę myślałaś, że w ten sposób mnie powstrzymasz?

Marlena poruszyła się za jego plecami. Trzymała w ręku talerz. Dała krok w stronę Łukasza, potem drugi. Nagle pod jej stopą zachrząściło tłuczone szkło.

Obrócił się błyskawicznie i wbił jej nóż w ramię, tak jak ja wcześniej jemu. Wrzasnęła, a on wyszarpnął ostrze z rany. Zamierzył się znowu, tym razem w szyję, ale po sekundzie się wyprostował.

Marlena powoli osunęła się na podłogę. Miała białe usta i szeroko otwarte oczy. Przyciskała dłoń do ramienia, spomiędzy jej palców ciekła krew.

– Nie – powiedział Łukasz do mnie. – Wolę, żeby spaliła się żywcem.

– Nie zbliżaj się do nas – powtórzyłam.

– Powstrzymaj mnie. – Znowu się uśmiechnął tym upiornym uśmiechem.

Cofnęłam się o krok i pociągnęłam za sobą Miškę.

– Albo możesz uciec – mówił dalej Łukasz. – Zostaw ojca, jemu i tak po tym upadku zostało już niewiele, o ile w ogóle jeszcze żyje. I tę idiotkę też zostaw. Bierz córkę i uciekaj.

Jeszcze jeden krok do tyłu. Oparłam się o biurko.

– Miśka – szepnęłam jej do ucha. – Uciekaj. Biegnij do sąsiadów. Niech zadzwonią na policję.

Przywarła do mnie jeszcze mocniej.

– Uciekaj – powtórzyłam.

Próbowałam ją odepchnąć, ale wczepiła się we mnie, jakbym była ostatnią deską ratunku. Nie mogłam oderwać jej rąk zaplecionych wokół mojej talii.

– Uciekaj! – wrzasnęłam.

Miśka zaczęła szlochać. Uśmiech Łukasza stał się jeszcze szerszy i jeszcze bardziej upiorny.

I wtedy coś zamigotało za oknem.

Wiedziałam, że nawet na ułamek sekundy nie powinnam spuszczać wzroku z Łukasza, ale mimo to spojrziałam w tamtą stronę.

Moja brama stała w płomieniach.

Przez kilka ostatnich dni nie padało, ale drewno sztachet musiało być jeszcze wilgotne po wcześniejszych deszczach. A to znaczyło, że ktoś musiał je oblać rozpuszczalnikiem albo benzyną, bo płomienie strzelały coraz wyżej. W ich świetle zobaczyłam dwie zamaskowane sylwetki.

Zajął się krzak przy furtce. Może też go czymś polali.

– Miałaś być już wtedy daleko – powiedziałam cicho do Łukasza.

Sąsiad z prawej wypadł przed dom. Zakręcił się wokół własnej osi, wbiegł z powrotem, a po chwili wrócił z komórką w ręku.

– Straż pożarna przyjedzie szybko – uprzedziłam. – Remiza jest kilka ulic dalej.

Łukasz postawił kolejny krok w naszą stronę. Miśka wtuliła głowę w moją szyję. Nie mogłam uwolnić rąk, żeby ją obronić. Nie mogłam zasłonić jej swoim ciałem. Mogłam jedynie z całej siły przyciskać ją do serca.

Z daleka było już słyszeć wycie syreny. Coraz głośniejsze.

– Jeśli teraz wyjdiesz, zdążysz odjechać. Za minutę już nie.

Popatrzył na mnie i na Miśkę. Odwrócił się, zerknął na Marlenę, która nadal siedziała na podłodze oparta o kuchenne szafki. Omiótł wzrokiem salon i ojca leżącego nieruchomo pod schodami, a potem pokuśtykał w stronę wyjścia.

I tak właśnie zniknął z mojego życia.

Och, jak bardzo chciałam wierzyć, że na zawsze. Ale nawet ja nie byłam tak naiwna.

## Epilog

Pierwszego listopada spadł śnieg. Padał przez całą noc. Kiedy poprzedniego wieczora wypuszczałam Lolę na ostatnie siku, trawnik, ulica i osmalone szczątki bramy były już lekko przyprószone.

Zapomniałam nastawić budzik i zasnęłam. Miśka zresztą też, ale przecież było święto, nie musiałyśmy zrywać się o świcie.

Jak każdego z ostatnich dni podświadomie nadśluchiwałam kroków ojca i jego gderania, że nie powinno się spać do późna. I jak każdego z ostatnich dni chwilę trwało, zanim do mnie dotarło, że ich nie usłyszę. Brakowało mi ich, chociaż nie sądziłam, że to możliwe.

Kiedy koło dziewiątej Lola wreszcie trąciła mnie nosem, świat był już biały. Śnieg przykrywał wszystkie poziome płaszczyzny, a nawet te ukośne. Na trawniku zrobiły się zaspasy. Płot wyglądał jak dzieło koronczarki, a gałęzie drzew jak filmowa wersja Narnii.

Na dachu szopy w rogu ogrodu usypała się hałda na dobre pół metra, co kazało mi się zastanowić, jak wygląda dach domu. Może ktoś powinien tam wejść i zrzucić ten śnieg, zanim wszystko się zarwie. Ciekawe kto: baba po czterdziestce czy zbuntowana nastolatka?

Lola wyskoczyła przez drzwi i zapadła się po szyję. Najpierw drapała łapami, jakbym wrzuciła ją do jeziora, i rozglądała się z wyrazem paniki w oczach, szybko jednak odkryła, że to zabawa. Zaczęła skakać i ryć w śniegu tunele, jakby udało jej się cofnąć czas i znowu być rozbrykanym szczeniakiem. Nie mogłam jej przywołać do domu – nie pomogło nawet stukanie miską o futrynę. Kiedy wreszcie wróciła, futro miała mokre, a na pysku wyraz absolutnego szczęścia. Pozazdrościłam jej.

Ciekawa byłam, czy pierwsza odśnieżarka przejedzie tędy jeszcze przed południem, czy później. I czy w ogóle tego dnia, bo przecież musieli rzucić wszystkie siły na odśnieżanie dróg krajowych, którymi ludzie z całej Polski walili na cmentarze. Jeśli któregoś roku zima nie zaskoczy drogowców, to znaczy, że mamy już katastrofę klimatyczną w pełni i można zacząć się pakować.

Dlatego poszłam na cmentarz pieszo. Uznałam, że przyda mi się spacer. Próbowałam namówić też Miśkę. Kiedy była mała, uwielbiała śnieg. Godzinami ciągnęłam ją na sankach, potem miałam zakwasy, musiałam brać gorącą kąpiel, a Marcin robił mi masaż...

Powiedziała, że ma dużo lekcji. Nawet nie chcieli mi się komentować tego kłamstwa.

Nic, ani zawieje, ani zamiecie, ani koniec świata nie powstrzyma Polaka przed stawieniem się na cmentarzu we Wszystkich Świętych. Musiałam się przeciskać w alejkach pomiędzy ludźmi, którzy raz w roku przypominają sobie, że kiedyś mieli rodziców, braci, siostry albo jakąś babcie. Powinnam była poczekać do zmierrchu, kiedy ludzka fala opadnie, a cmentarz będzie rozświetlony zniczami migoczącymi wśród białych zasp, ale ostatnio nie lubiłam wychodzić z domu po zmierrchu.

Stałam przed grobem. Przykrywała go biała czapa, jedyna jak okiem sięgnąć, bo wszystkie pozostałe płyty zostały już oczyszczone. Postanowiłam jej nie dotykać. Tak było ładnie.

Właściwie nie wiedziałam, co zrobić. Ostatnim razem modliłam się jako dziewczynka. Pewnie przypomniałabym sobie słowa jakiejś modlitwy, takie rzeczy zostają z człowiekiem na wieki wieków, tylko po co? Stałam więc z założonymi rękami i patrzyłam na niepokalaną biel.

Myślałam o tym wszystkim, co się wydarzyło, odkąd pochowałam tutaj Marcina. O przeprowadzce do Brwinowa, powrocie do starego domu pełnego starych zapachów, starego ojca, który z każdym kolejnym dniem wydawał mi się coraz starszy, o zasypianiu i budzeniu się w pokoju z czasów dzieciństwa, byciu jednocześnie córką i matką, ukrywaniu żalu przed całym światem.

I myślałam o Łukaszu. Bardzo tego nie chciałam, ale nie mogłam przestać...

A potem myślałam, ile bym dała za to, żeby ten rok w ogóle się nie wydarzył. Żeby moja nastoletnia córka nie uwikłała się w romans z moim kolegą ze szkoły, żeby nie nienawidziła mnie za wypadek jej

ojca, żebym ja nie nienawidziła Marcina za to, co mi zrobił, żebym nie odpychała od siebie tych, którzy mi zostali...

Ale to wszystko już się stało. Teraz mogłam jedynie spróbować żyć od nowa, z Miśką i ojcem, póki jeszcze byliśmy rodziną.

Nie zauważyłam, kiedy podeszła. Spojrzałam na nią dopiero, gdy zatrzymała się obok mnie.

– Co za dziki tłum – mruknęła.

– Zawsze tak jest.

Stałyśmy w milczeniu, aż poczułam, że palce stóp mam całkiem zlodowaciałe. Poruszyłam się.

– On był jednak chujem, ten twój Marcin – powiedziała Marlana. – Ja bym nie zostawiła takiej laski jak ty.

– Dzięki. – Odchrząknęłam. – Możemy o tym nie rozmawiać?

Wzruszyła ramionami i syknęła z bólu. Rana jeszcze się nie zagoiła.

– Jak ojciec? – spytała.

– Lepiej. Może za kilka dni wypuszczą go ze szpitala.

Uśmiechnęła się. Chyba naprawdę ucieszyła ją ta wiadomość.

– A Michalina?

– Dojdzie do siebie. Nastolatki są jak karaluchy, przetrwają nawet koniec świata.

– A... twoi znajomi? – dodała z wahaniem.

– Masz na myśli sąsiadów czy moich kolegów ze szkoły? I jedni, i drudzy są mi zapewne szalenie wdzięczni za tę odrobinę rozrywki w nudnych dniach pandemii, w miasteczku, gdzie nigdy nic się nie dzieje. Chociaż nikt do tej pory nie wyraził tej wdzięczności osobiście.

– Nie. – Machnęła ręką. – Miałam na myśli...

– Łukasza?

Pokiwiała głową, jakby nie mogła się zmusić, żeby wypowiedzieć to imię.

– Nie wiem – odparłam.

– Powiedziałaś temu swojemu policjantowi?

– To nie jest mój... – Urwałam i wzruszyłam ramionami. Nie powiedziałam. I strach, że Łukasz się zemści, był tylko jednym z powodów.

– Powinnaś. Albo ja mu powiem.

– Ty – zaczęłam powoli – powinnaś raczej zająć się swoimi sprawami. I swoimi, jak to powiedziałaś, znajomymi. Oni akurat mają się świetnie. Zagórski namierzył tych dwóch, którzy podpalili moją bramę.

– To nie są moi znajomi! – zaperzyła się i dopiero po chwili załapała ironię.

Teoretycznie rzecz biorąc, powinnam wyrazić im wdzięczność. W końcu uratowali życie mnie i mojej rodzinie. Mogłabym na okazaniu powiedzieć, że to nie oni. Ale nawet wdzięczność ma swoje granice.

Marlena wzięła wdech, jakby chciała coś powiedzieć, ale w końcu nie powiedziała nic.

Pomyślałam, że muszę wracać. Nie czułam już palców u nóg i jedyne, co mogło mnie rozgrzać, to szybki marsz przez nieodśnieżone ulice. Zanim jednak zdążyłam wykonać jakikolwiek ruch, zadzwoniła moja komórka.

Kilka osób rozejrzało się z dezaprobatą, więc szybko odebrałam.

– On tego nie zrobił. Nigdy by się sam nie targnął na swoje życie. Rozumie mnie pani? Przecież wie pani, jak to jest. Po tym jak zabił się pani mąż...

Miałam wrażenie, jakby całe moje życie zatoczyło właśnie koło. Zacinęłam powieki.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ



# Spis treści

Okladka  
Strona tytułowa  
Karta redakcyjna

Rozdział 1  
Rozdział 2  
Rozdział 3  
Rozdział 4  
Rozdział 5  
Rozdział 6  
Rozdział 7  
Rozdział 8  
Rozdział 9  
Rozdział 10  
Rozdział 11  
Rozdział 12  
Rozdział 13  
Rozdział 14  
Rozdział 15  
Rozdział 16  
Rozdział 17  
Rozdział 18  
Rozdział 19  
Rozdział 20  
Rozdział 21  
Rozdział 22  
Rozdział 23  
Rozdział 24  
Rozdział 25  
Rozdział 26  
Rozdział 27  
Rozdział 28  
Rozdział 29  
Rozdział 30  
Rozdział 31  
Rozdział 32  
Rozdział 33  
Rozdział 34  
Rozdział 35  
Rozdział 36  
Rozdział 37  
Rozdział 38  
Rozdział 39  
Rozdział 40  
Rozdział 41  
Rozdział 42  
Rozdział 43  
Rozdział 44

Rozdział 45  
Rozdział 46  
Rozdział 47  
Rozdział 48  
Rozdział 49  
Rozdział 50  
Rozdział 51  
Rozdział 52  
Rozdział 53  
Rozdział 54  
Rozdział 55  
Rozdział 56  
Rozdział 57  
Rozdział 58  
Rozdział 59  
Rozdział 60  
Rozdział 61  
Rozdział 62  
Rozdział 63  
Rozdział 64  
Rozdział 65  
Rozdział 66  
Rozdział 67  
Rozdział 68  
Rozdział 69  
Rozdział 70  
Rozdział 71  
Rozdział 72  
Rozdział 73  
Epilog